

BARSZCZEWSKI STEFAN

CZANDU

powieść z XXII WIEKU

ROZDZIAŁ I.

PAMIĘTNA ROCZNICA.

Śród burzliwych oklasków wstąpił na estradę olbrzymiej hali i mówił głosem, jak spiż, dźwięcznym i donośnym:

— Półtora wieku mija dzisiaj od „Cudu nad Wisłą”. Tak nazwali, jak wiecie, przodkowie nasi ową chwilę pamiętną, gdy wysiłek całego narodu, przy pomocy szlachetnych synów Francji, odparł od murów stolicy naszej nawałę hord bolszewickich. Tak, stał się cud, bo zdawało się, że już nie ma dla nas ratunku. Biedne, zmęczone wojsko nasze cofało się pod naporem ciżby, której groziły kule bataljonów mongolskich, ustawionych na jej tyłach, a nie znających miłosierdzia dla ludzi, na których mordowanie, w razie oporu władzy bolszewickiej, sprowadzili je z głębi Azji, jako najmitów, semiccy przedstawiciele tej władzy. Zdawało się, że nie ma ratunku. Żołdacy moskiewscy wtargnęli już do lasów, wznoszących się wówczas na miejscu, gdzie dziś rozpościera się dzielnica grodu naszego, Miłosna, gdy oto od południowachodu, a następnie i od północo-zachodu ude-

- —
rzyły na najeźdźców te same wojska nasze, które
dnia poprzedniego cofały się jeszcze...

Serce Warszawy drgnęło...

Całe miasto zamieniło się w obóz, i szły na
front nieprzerwane szeregi żołnierzy, z dnia na
dzień wyćwiczonych. I widziano kobiety w sza-
rych mundurach żołnierskich, i wyrostków kilku-
nastoletnich obok starców sędziwych, i kapłanów,
walczących i ginących w okopach...

Zaiste, zazdrościć możemy tym, którzy te wiel-
kie chwile przeżywali, gorączkowym wzrokiem
patrzyli na ten cud, na zmartwychwstającą oj-
czyznę naszą...

A gdy tak mówił, głęboka cisza zaległa halę
ogromną. I płynęły słowa spiżowe w przestwór.
A nie zatrzymywały ich mury, wśród których pa-
dały bezpośrednio z ust mówcy.

Słyszano je również w Krakowie, we Lwowie,
w Poznaniu, w Gdańsku, w Wilnie, słowem, wszę-
dzie, gdzie mowa polska rozbrzmiewa, słyszano je
jednocześnie, tak samo wyraźnie i donośnie.

Więcej jeszcze, widziano postać mówcy żywą,
w barwach naturalnych, odbitą na ekranach, bo
telekinematograf prznosił nie tylko dźwięki, lecz
i obrazy na odległość dowolną.

A gdy w salach tych, o setki kilometrów od-
ległych od Warszawy, bito mówcy oklaski, grzmot
ich rozlegał się tak samo wyraźnie i w hali, w któ-
rej przemawiał bezpośrednio do współobywateli.

— Dziś — ciągnął — gdy z oddalenia półtora

wieku spoglądamy na te czyny ofiarne, gdy przypominamy sobie warunki, wśród których ci ludzie działali, to, zaprawdę, serca nasze wypełnia po brzegi, rozsadza, jedno uczucie: podziwu i czci dla tych bohaterów wolności.

— Bo przypomnijmy sobie my, ludzie pewni jutra, syci, odziani zawsze dostatnio, nie znający dolegliwości sędziwego wieku, zimna, głodu i braku pracy, my, którym chmury nie zasłaniają promieni słonecznych, a widmo chorób strasznych, dziesiątkujących ludzkość w owe czasy, nie staje przed oczyma, my wreszcie, członkowie Federacji ludów Europy — przypomnijmy sobie — powtarzam — jak przodkowie nasi walczyli: O chłodzie i głodzie, w łachmanach, bez widoku jakiegokolwiek nagrody lub przynajmniej zabezpieczenia bytu, szli w ogień weseli i chętni z zapalem w sercach gorących dla myśli jednej: Wolności ojczyzny! A gdy osiągnęli ten cel niebosiężny, wracali często do nor ciemnych i wilgotnych, do walki o kawałek chleba. I nie dziw, że nieraz bunt w nich wzbierał, że ulice naszego grodu rozbrzmiewały wyciem protestu, że podnosiły się pięści i padały strzały. Niech jednak tylko rozległ się okrzyk: Do broni! Ojczyzna zagrożona! — ci sami nędzarze protestujący stawali karnie w szeregach, śpieszyli tam, skąd niebezpieczeństwo zagrażało, i po całej Polsce rozlegał się znów okrzyk potężny: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród!”

— Takim był heroizm wolności przodków naszych, którego my dzisiaj zbieramy owoce.

Gdy mówca głosem dźwięcznym, hipnotyzującym tłumy, wyrzekł słowa powyższe, całe audytorjum, jak jeden mąż, zerwało się na nogi i z tysięcy piersi gruchnęła pieśń popularna:

Cześć bohaterom, cześć,

Cześć bojownikom wolności!

I przelewały się nuty śpiewne po hali, uderzały o jej sklepienia, leciały na skrzydłach prądów elektrycznych po całej ziemi polskiej.

Lecz mówca stał wciąż na estradzie. Znać było, że jeszcze nie skończył, że jeszcze ma coś do powiedzenia. Znow więc cisza zapanowała na sali, on zaś spokojny, wyniosły, ciskając z oczu promienie groźne, mówił głosem wibrującym, jak struny silnie tręcane:

— Przypomniałem wam, obywatele, heroizm przodków naszych nietylko poto, aby uczcić ich pamięć. Przypomnienie to jest także—ostrzeżeniem. Na sali rozległ się szmer zaniepokojenia.

— Tak, obywatele, ostrzegam. Dziś, tak samo jak przed półtora wiekiem, Wschód na nas wali. Być może, iż wy tego jeszcze nie widzicie, ale ja widzę i — ostrzegam. Bo obawiam się, aby nowoczesny komfort, dobrobyt powszechny, radość życia, którą się cieszymy, w przeciwieństwie do bohaterskich przodków naszych, nie zaślepiąły was, nie przejmowały zbytnią pewnością siebie. I dziś — powtarzam — jak przed półtora wie-

--

kiem, Wschód nam zagraża, a zagraża stokroć mocniej, niż wówczas. Pamiętajcie, że będzie może potrzebny nowy „Cud nad Wisłą”, aby ocalić Europę.

I znów, być może, spadnie na nas ciężki obowiązek, obowiązek wstrzymania pierwszego naporu, zanim nie nadażą z pomocą inne ludy sfederowanej Europy. Niech zatem wróg wie, że czuwamy i że nie ułękniemy się okropności wojny nowoczesnej, bośmy na wszystko przygotowani.

Tego żądam od was, obywatele, w tym dniu uroczystym!

Skończył i, skinąwszy zlekka głową, cofnął się w głąb estrady.

Dopiero wówczas, jakgdyby po chwili zastanowienia, czy oczekiwania, rozległ się przeciągły grzmot oklasków.

Gdyby mówca nie był określił bliżej niebezpieczeństwa, gdyby ograniczył się do tajemniczego, ogólnikowego ostrzeżenia, to niewątpliwie dreszcz przeszedłby po tłumie i zagadkowość ostrzeżenia sprawiłaby wrażenie.

Ale, im dokładniej malował niebezpieczeństwo, tern bardziej, wbrew woli, przywracał spokój w sercach słuchaczy i nastrój radosny pamiętnej rocznicy.

Boć ten Wschód stał się już konikiem ujeżdżonym do znudzenia. Wszak już od dwóch wieków odgrzewano tę sprawę, zapowiadając, że przyjdzie czas, w którym Azja rzuci się na Europę,

wszystkie jednak te pisaniny i zapowiedzi nie spełniły się jakoś. Przestano nawet w szerokich masach wierzyć, aby mogły się spełnić kiedykolwiek.

I nie było w tem nic dziwnego. Sfederowanie całej Europy, ustalenie w niej porządku i ładu, zapewnienie wszystkim dobrobytu, światła, ciepła i zdrowia, zrodziły beztroskę i lekkomyślność, unikającą myślenia o rzeczach nieprzyjemnych, zastanawiania się nad skomplikowanymi zagadnieniami, wytworzonymi przez nowy porządek społeczny w stosunku pomiędzy starym Zachodem, a starszym jeszcze, lecz posiadającym zupełnie odmienną kulturę, zupełnie odmienny sposób myślenia, światem Wschodu.

To też minęło kilka sekund, zanim nieprzyjemne uczucie potrzeby wytężenia myśli w kierunku zapowiadanego niebezpieczeństwa przemogła miłość dla mówcy.

Gdy jednak wybuchły oklaski, to już zwykła radość życia opanowała wszystkich, już zapomniano o ostrzeżeniu pod wpływem beztroski. Gdyby wszakże pilny, chłodny obserwator rozejrzał się po hali, to spostrzegłby z pewnością, że nie na wszystkich twarzach maluje się ta beztroska, że nie wszystkie dłonie klaskają gorliwie. Dojrzałby może na najwyższych stopniach olbrzymiego amfiteatru grupy postaci, składających pozer- nie tylko ręce do oklasku, sypiących natomiast z wąskich, skośnych powiek spojrzenia nienawiści

— -
w stronę estrady, ściskających zęby, gdy jednocześnie muskuły szczęk szerokich, zwierzęcych tańczyły nerwowymi ruchami pod skórą o całej skali odcieni: od cytrynowego do ciemnej żółtawy polerowanego brązu.

Znać było, że ludzie ci nie przybyli dla uczczenia pamięci bohaterów, że ściągnęła ich raczej żądza dowiedzenia się czegoś nowego, nakaz poznania środowiska, wśród którego osiedli.

Ale mrowie ludzkie, zalegające halę, zwrócone duszą i ciałem ku estradzie, nie troszczyło się o takie drobnostki. Jedna tylko osoba, której snadź musiało leżeć na sercu wrażenie, wywarte przez mówcę, ogarnęła wzrokiem widownię, a gdy zamilkły oklaski, szepnęła do sąsiadki:

— Czy zauważyłaś, Elo, jak zachowywali się Mongołowie?

Pytająca była kobietą wysoką, piękną, o kształtach posagowych. Twarz jej o płci bez skazy, różowionej przez wzruszenie, okalały bujne włosy jasne, opadające ciężkim zwojem na białą szyję, wielkie zaś piwne oczy czekały z wyrazem jakby troski na odpowiedź.

- Nie! — odparła szybko zapytana, kobieta również piękna, choć drobniejsza, wiotsza i znacznie młodsza.

A gdy wyraz ten padł z jej ust niemal głośno, usta pozostały nawpół otwarte, wielkie zaś oczy, także piwne, rozszerzał niepokój.

— -

Nie było wszakże czasu na objaśnienia, bo inny mówca stanął na estradzie.

Skończyła się wreszcie uroczystość pamiątkowa, zabrzmiały z orkiestry dźwięki hymnu, podchwyczone przez publiczność, a gdy ucichły, podniosły się bez szelestu, jak żaluzje, boczne ściany hali i publiczność rozsypała się swobodnie po obszer-nych korytarzach.

W tej chwili do wspomnianych powyżej kobiet podszedł mężczyzna rosły i wytworny w ruchach. Gdy kroczył przez korytarz, ustępowano mu z szacunkiem z drogi, dokoła zaś rozlegały się przyjazne szepty, a nawet okrzyki powitalne. Istotnie, otaczał go szacunek współobywateli, otaczało uznanie powszechne, bo był to Adam Znicz, jeden z twórców Federacji europejskiej, poseł warszawski do jej parlamentu i właśnie ten mówca, z którego ust padło przed chwilą tak poważne ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem grożącym ze Wschodu.

Na twarzy jego malowała się powaga, a zarazem swobodna pewność siebie. Z pod pięknie zakreślonych łuków gęstych brwi, duże, szare, nieco wypukłe oczy spoglądały wzrokiem dziwnie porażającym, choć czasami migotała w nich stanów« czosć błyskiem stali.

Obie kobiety, oczekujące na korytarzu, spoglądały na zbliżającego się radosnym wzrokiem du-

my i miłości, gdy zaś stanął przy nich, wyciągnęły jednocześnie ręce ku niemu.

I znikły drobne ręce kobiece w uścisku szerokich jego dłoni męskich.

Nie padło przy tern ani jedno słowo. Bo słowa byiy zbyt zbyteczne. Im bardziej rozwija się serce ludzkie, tern częściej gest starczy za słowo. Oczy przemawiają wymowniej, niż usta.

Podawszy paniom płaszcze, ujął obie pod ręce i wiódł szerokimi, płaskimi schodami ku wyłotowi ulicznemu.

Po schodach spływał już tłum uczestników obchodu. Rozbrzmiewały dokoła rozmowy ożywione. Czasem wybuchał kaskadą srebrzysty śmiech młodości. Może tam w niejednej głowie huczało jeszcze echo ostrzeżeń, rzuconych z mównicy obchodowej, ale radość życia, beztroska przemagały przykre uczucie niepokoju. Chłodny wieczór wabił rozrywkami w parkach i na obszernych bulwarach, w pawilonach tańca i ćwiczeń sportowych, śpieszono więc tam po zadośćuczynieniu obowiązkowi patriotycznemu. Połyskiwały oczy, rumieniły się twarze, rozpierało piersi błogie uczucie zadowolenia.

Gdy wszakże do fali tej wmieszała się gromadzka przybyszów z Dalekiego Wschodu, to zdawałoby się, że spływa zimna kra po ciepłym potoku letnim. Tak biło od niej chłodem. Przesuwając się obok Znicza, stojącego już ze swemi paniami na

- -

jasno oświetlonej ulicy, skośne oczy Mongołów zamieniały zagadkowe spojrzenia porozumiewawcze, lub rzucały tygrysie błyski na jego postać

dorodną.

Na szerokim półkolu placu przed gmachem wiecowym rozpraszaly się tłumy. Część ich dążyła ku jezdni, gdzie widniały, ciągnące dwoma długimi szeregami w kierunkach przeciwnych, lub stojące wzdłuż chodników domowych, pod opieką policjantów, samochody, będące przeważnie zarazem statkami powietrznymi typu helikopterów, albo też ortopterów o skrzydłach składanych, aby nie zabierały miejsca. Część inna publiczności wspinała się po szerokich, miękkich schodach ku położonym nad jezdnią chodnikom ruchomym, odstawiającym tłumy w różne strony, a mnóstwo osób znikalo wewnątrz okrągłych pawilonów, stanowiących wejście do podziemnej kolei elektrycznej.

Znicz znalazł się z paniami swemi: małżonką i córką, na chodniku przy jezdni, jaśniejącej światłem o barwie i napięciu, przypominającym dziwnie światło dzienne, a wytryskującym z latarni ulicznych, jak woda z kranów wodociągowych. W promieniach tego światła ściany domów, wystawy sklepowe, powierzchnie chodników ruchomych i jezdni, wreszcie postaci ludzkie malowały się w barwach dnia słonecznego, rzucając cienie brunatne, dzienne, nie zaś przykre, czarne cienie nocy księżycowych lub latarni gazowych

i elektrycznych, używanych jeszcze w XXI wieku.

Znicz prowadził bez pośpiechu panie ku samo-

chodowi, pozostawionemu na ulicy, a gdy stanął przy nim, doręczył blaszkę z numerem kolejnym policjantowi, który jednym ruchem klucza, zabieszonego na ręce, umożliwił mu oswobodzenie kluczem własnym koła samochodowego z klamry, przytwierdzającej je do słupka, wmurowanego w chodnik.

Manipulacja ta, zresztą tak łatwa, że wymagała zaledwie kilkunastu sekund, konieczna była, gdyż prawie każdy właściciel samochodu - statku powietrznego był zarazem jego mechanikiem i pilotem, a jeżeli nawet kto, nie obdarzony zręcznością lub dostateczną przytomnością umysłu do kierowania swym wehikułem na ziemi i w powietrzu, posiadał pilota, to i ów pilot nie był obowiązany wyrzekać się obecności na obchodzie, interesującym zarówno wszystkich obywateli.

Samochód ruszył z miejsca bez szumu i huku silników, o benzynowych bowiem zapomniano już dawno, i znalazł się niebawem w szeregu podążających po prawej stronie jezdni. A choć był zarazem helikopterem, mogącym wzbijać się z miejsca w powietrze, to jednak nie uczynił tego, gdyż wzbijać się w przestwór wolno było tylko na przeznaczonych do tego placach, a to w celu uniknięcia starć i wypadków nieszczęśliwych. Skręcił wreszcie na najbliższy z placów takich

i, wyświeciliwszy na obu swych bokach jasne prostokąty z widniejącym na nich czarnym numerem, lekko oderwał się od ziemi w pobliżu rusztowa-

nia wieży policyjnej, obok której obowiązany był przelecieć dla kontroli przed umieszczoną tam służbą powietrzną, pilnującą porządku i bezpieczeństwa tego rodzaju lokomocji.

Nad lecącymi rozwinęło się w całym majestacie gwiazdziste niebo nocy letniej, pod nimi zaś—sieć ulic i bulwarów olbrzymiego miasta, niemal tak jasnych, jak za dnia, tudzież wielkie plamy parków ze snującymi się wśród nich gromadkami zabawionych obywateli, czyniących z wysokości, na której znajdował się helikopter, wrażenie bardzo ruchliwych mrówek. Ale i przeważnie płaskie dachy domów nowoczesnych rozpościerały się pod lecącym samolotem wyraźnie, gdyż i tu drogi wehikułów powietrznych wytknięte były przy zbiegu ulic przez wielkie, podłużne latarnie z napisami, umieszczone na narożnikach dachów. Bez trudności zatem, śpiesząc za innymi, samochód-helikopter Znicza dotarł do swego dachu, opuścił się nań pionowo i osiadł, jak ptak, bez żadnego wstrząśnienia na ogrodzonym balustradą tarasie.

W tej chwili od dachu oderwał się inny, nieoświetlony samolot i wzbił się w przestwór.

— Gość zapewne — rzekła Ela, spostrzegłszy pierwsza odlatującą maszynę. — Jeżeli do nas —

dodała — to mógłby był poczekać jeszcze kilka sekund.

— Nieoświetlony — zauważyła jej matka, spoglądając w kierunku odlatującego samolotu —

trudno więc orzec, kto to taki.

I Znicz podniósł już głowę, odprowadziwszy helikopter do hangaru, umieszczonego przy jednym z boków tarasu, usłyszał bowiem słowa żony, ale na tle ciemnem przestworu widniała jeszcze tylko bardzo niewyraźnie sylwetka przybysza.

— Rzeczywiście — dodał — wbrew przepisom, nieoświetlony.

Gdy zaś wymawiał te wyrazy, ogarnął go nagle niepokój.

Wszak nietylko był jednym z deputowanych Polski w parlamencie Europy sfederowanej, ale także dzierżył tam stanowisko wybitne referenta komisji spraw azjatyckich, jako taki więc posiadał ukryte w mieszkaniu dokumenty dyplomatyczne, niezbędne do opracowywania referatów parlamentarnych.

Wprawdzie były to jeno odbitki fotochemiczne oryginałów, przechowywanych w archiwum ministerjum spraw zagranicznych, niemniej jednak dostanie się ich w ręce niepożądane mogłoby zaszkodzić wielkiej akcji politycznej, wszczętej obecnie przeciwko zakusom Wschodu.

Jednocześnie wszakże przypomniał sobie, że zdobyty właśnie w tych dniach dokument najważniejszego Czandu,

niejszy, i to oryginalny, zatrzymał w kieszeni, chcąc go jeszcze przejrzeć, zanim złoży do skrytki. Myśl ta uspokoiła go znacznie.

Pani Ira i Ela zniknęły już w klatce windy, gdy stanął przy nich.

— Widziałeś — spytała pierwsza z nich męża — ciemny helikopter, odlatujący z naszego dachu?

— Tajemniczy gość jakiś! — odparł Znicz zamysłony i nacisnął guzik elektryczny.

Cicho, jak cień, zsunęła się winda w głąb domu i po chwili stanęła przed drzwiami mieszkania

posh#
Za naciśnięciem pewnej gamy guzików elektrycznych, ukrytych w ozdobach odrzwi, rozwarły się podwoje mieszkania

Oswobodziwszy panie z płaszczów, Znicz wszedł do swej pracowni, a gdy zabłysło jasne; dzienne światło lampy, obrzucił okiem badawczym pokój. Wszystko było w porządku. Papiery i książki leżały na biurku tak, jak je zostawił. Meble stały na miejscach swoich nieruszone.

Podszedł do biurka i nacisnął guzik, ukryty pod jego powierzchnią. Wisząca z boku na ścianie półka, zastawiona artystycznymi drobiazgami, posunęła się w górę. Wówczas dotknął ręką ściany pod nią. Odchyliły się niewidoczne przedtem drzwiczki, wydając dźwięk metaliczny. Wę wgłębieniu ukazała się skrytka.

Znicz szybkim ruchem przejrzał teczki tam złożoną. Ani jednego dokumentu nie brakowało. Odetchnął głęboko i uśmiechnął się na myśl o niepokoju, którym przejął go widok nieoświetlo-

nego samolotu.

W tej chwili odezwał się za nim srebrzysty głos Eli:

— Ojczy, wieczerza na stole!

Na ten dźwięk ukochany, Znicz odwrócił się szybko i rozwarł ramiona.

Z lekkim okrzykiem radości na ustach Ela przypadła do ojca i przytuliła główkę do szerokiej jego piersi.

I tak przytuloną, wyniosły i promienny poprowadził do jadalnego pokoju.

Niedługo wszakże trwała wieczerza, poseł bo«

wiem miał do wykończenia jeszcze referat na posiedzenie jutrzejsze parlamentu europejskiego, wrócił więc rychło do gabinetu i zabrał się do pracy.

Zaledwie jednak rozłożył na biurku papiery, gdy uczuł lekką, prawie że nieuchwytną woń, której nie odczuł był poprzednio. Wciągnął silnie powietrze nozdrzami. Wrażenie spotęgowało się lecz nie mógł przypomnieć sobie żadną miarą przedmiotu, który taką właśnie mdło- słodką woń wydawał.

Po chwilowem więc zastanowieniu, nie chcąc tracić czasu na rozwiązanie zagadki, wywołanej;

być może, przez przywidzenie, zagłębił się w papierach, rozłożonych na biurku.

Wreszcie sięgnął do kieszeni surduta, przypominającego krojem dawne ubrania wojskowych

a wielkiej wojny, i wydobył zwitek papierów. Był to ów dokument, który otrzymał był świeżo przez swych agentów.

— „Związek palaczy opjum” — przeczytał w tytule pierwszej kartki, i na ten widok w urnyśle jego zamigotało błyskawicznie rozwiązanie zagadki.

Tak, czuć palarnię opjum!

Taką wonią przesiąka człowiek, oddający się zgubnemu nałogowi. Przesiąka mocniej, niż palacze tytoniu dymem tego ziela.

I przypomniał sobie, jak niegdyś, gdy zwiedzał Daleki Wschód, zaprowadzono go do tajnej palarni opjum. Cały jej lokal, wszystkie w nim sprzęty taką właśnie wonią nasiąkły. Tam jednak woń była ostra, przenikliwa, tu zaś w tej chwili odczuwał zaledwie jakby dalekie, niezmiernie słabe jej tchnienie i wkońcu nie mógłby rozstrzygnąć z pewnością, czy ją czuje istotnie, czy też wrażenie, które odnosi, jest tylko przypomnieniem wońni opjum, przypomnieniem, wywołanem przez odczytanie tytułu dokumentu, trzymanego w ręku. Nie chciał jednak niepokoić żony i córki rozważaniem tego zagadnienia, a ponieważ czas naglił, referat zaś musiał być wykończony, szybko więc doszedł do pożądanego wniosku, że uległ złudze-

- —

niu i znów skupił całą uwagę na opracowywane dokumenty.

Ani spostrzegł, jak minęło w ten sposób kilka godzin i już kończyła się noc letnia, ustępując

miejsca brzaskowi dziennemu, gdy nareszcie powstał od biurka.

Przypomniawszy sobie dopiero wówczas, że nie zajrzał jeszcze, co zwykł był czynić, wróciwszy do domu po chwilowej nieobecności, do telefonu automatycznego, notującego skrupulatnie, przy odpowiednim nastawieniu, bądź to rozmowy właściciela aparatu, bądź to słowa osób, które pragnęły się z nim rozmówić podczas jego nieobecności.

Znicz poruszył rączkę, umieszczoną z boku telefonu, puszczając w ruch taśmę z cienkiej bla-

szki metalowej tak miękkiej, że igielka fonografu zaznaczała na niej najłżejsze drgania fal głosowych, przekazywanych przez prąd elektryczny. Widocznie jednak wiadano powszechnie, że Znicz będzie tego wieczora przemawiał na obchodzie rocznicy „Cudu nad Wisłą”, bo odezwał się tylko głos sekretarza parlamentu europejskiego, zawiadamiający posła o jutrzejszym posiedzeniu parlamentu, poczem nastąpiło milczenie i Znicz chciał już odejść od aparatu, gdy nagle uszu jego doleciały wyrazy, wymawiane cicho, niemal szepcąc, w języku niezrozumiałym, ale tak wyraźne, że drgnął i mimowoli rozejrzał się po pokoju, szukając osoby mówiącej.

Ton słów był szorstki, jakby zaniepokojony.

Zdania krótkie, urywane, podobne do szczęknięć.

Znicz słuchał zdumiony. Ani słowa nie rozu-

miał, ale tem bardziej właśnie wzrastał jego niepokój.

Nie ulegało wątpliwości, że fonograf telefonu zanotował automatycznie też rozmowę, która toczyła się w tym pokoju, aparat bowiem powtarzał ciche, szybkie wyrazy tak dobitnie, bez żadnych dźwięków ubocznych, że Znicz odczuwał nawet z napięcia tonów słyszanych ich kierunek, odnosił wrażenie, że stoi wśród osób, kręcących się i rozmawiających szeptem dokoła niego.

Zimny pot wystąpił mu na czoło, bo oto do dźwięku słyszanych szeptów przyłączyło się znów wspomnienie Dalekiego Wschodu.

Pewnością niemal stało się dla Znicza, iż w tych niezrozumiałych dla siebie wyrazach rozpoznaje dźwięki języka chińskiego.

Dreszcz nim wstrząsnął.

Fonograf zamilkł. Cisza grobowa zapanowała w gabinecie, a poseł stał wciąż, jak w ziemię wbity, przy aparacie.

— Tak — szepnął wreszcie przez zęby zaciśnięte — oni tu byli.

ROZDZIAŁ II.

TŁO ZATARGU.

Wielka wojna — r., przywracając Polsce niepodległość, zapewniła Warszawie rozwój ogromny.

Już podczas tej wojny prasa europejska, omawiając przyszłość stolicy wskrzeszonego państwa zwracała uwagę, że jeżeli zakreślimy na karcie Europy koło promieniem, którego podstawą będzie

Warszawa, a szczytem Nordkap, wówczas koło to obejmie całą Europę, sięgając na zachodzie Madrytu, na wschodzie niemal Permu, i zagarnie poza tem na południo-wschodzie Azję Mniejszą, na południu zaś część wybrzeży Afryki północnej.

Warszawa więc jest, pod względem geograficznym, ośrodkiem Europy i jako taka musi odegrać ważną rolę w przyszłości.

Tak przepowiadała prasa europejska i przepowiednia ta spełniła się w zupełności.

W Warszawie zbiegły się nici wszystkich interesów, łączących Europę z olbrzymim Wschodem. Warszawa jednak, jako znająca najlepiej—wsku-

tek półtorawiekowej prawie niewoli, zmuszającej polskie siły żywotne do wyładowywania energii na ołu handlu i przemysłu rosyjskiego i azjatyckiego — rynki wschodnie, stała się nietylko olbrzymią stacją tranzytową dla towarów i siedliskiem biur handlowych i przemysłowych całej Europy zachodniej, ale niejako zwierciadłem wklęsłym, w którym ześrodkowały się wszelkie zamysły polityczne, płynące ze wschodu na zachód lub odwrotnie.

Znaczenie to Warszawy zarysowało się zwłaszcza od chwili, gdy doszło do skutku dzieło, będące wynikiem logicznym idei, wyrosłej na gruncie traktatu wersalskiego przez utworzenie Ligi narodów, mianowicie od chwili, gdy stanęła Federacja ludów Europy.

Wprawdzie nie Polsce, lecz słonecznej Francji przypadł—zresztą zupełnie słusznie—zaszczyt posiadania w swych granicach stolicy Europy sfederowanej. W cichym Wersalu zasiadł areopag przedstawicieli ludów sprzymierzonych, niemniej Warszawa, stolica państwa, o które uderzały od wieków fale kultury innego świata, stała się całkiem naturalnie eksponentem tej kultury, tłumaczem jej wobec reszty narodów europejskich.

Dziś miasto-olbrzym, nowa Warszawa wchłonęła w siebie starą, z początku dwudziestego wieku, tak, że tylko dawne mapy i plany dawały o niej pojęcie. I nie dziw, bo stare dzielnice stanowiły już zaledwie cząstkę tego ogromnego ciała, które

rozrosło się z nich na wszystkie strony w promieniu dziesiątków kilometrów, a przytem ulice i place podległy takim zmianom regulacyjnym, zastosowanym do potrzeb nowoczesnych, że wobec nich głośnie burzenie starego Paryża przez Haussmana za Napoleona III możnaby nazwać igraszką. Ocalał jedynie sędziwy rynek Starego Miasta, były Zamek Królewski i gdzie niegdzie budowla historyczna, nie przeszkadzająca w przeprowadzeniu planu regulacyjnego. Były to jedyne nieme świadki wieków romantyzmu politycznego, w których przy wszelakich poczynaniach przeważało rozrzewnienie nad przeszłością, czułość dla dzięła ojców i praojców. Dziś nad wszystkim górowały względy praktyczności, nad wszystko wybił się cel ułatwienia, uprzyjemnienia życia.

Nowa, ogromna Warszawa, rozciągająca się częściowo i na gruzach starej, zbudowana zaś na podstawie astronomicznej, propagowanej już na początku dwudziestego wieku przez zasłużonego urbanistę francuskiego, Augustyna Reya, stała się dziś miastem pełnym światła, przenikającego wszędzie, pełnym przestrzeni, umajonej zielenią bulwarów i parków. Zagrożający jej swego czasu system potwornych drapaczyw niebios, czyniących z niektórych miast amerykańskich ciemne, wilgotne wąwozy górskie, a być może potrzebny wówczas dla szybkiego załatwiania interesów handlowych i przemysłowych wobec niewystarczających środków komunikacji — mógł być tutaj

w czas poniechany dzięki ogromnym postępom techniki na wszelkich polach działalności ludzkiej. Wzdłuż ulic wyrosły przeważnie domy czteropiętrowe, dostosowane do charakteru otoczenia stylem i barwą, o ścianach jakby polerowanych, gładkich, łatwych do czyszczenia, oknach wielkich i o dachach płaskich, stanowiących platformy dla samolotów, używanych powszechnie. Dzięki specjalnym instalacjom termicznym i przyrządom, ułatwiającym spływanie wody, dachy te, napozór niepraktyczne w kraju zimnie-raz bardzo śnieżnych, przyjęły się łatwo ze względu na ogromną wygodę żeglugi powietrznej. Co jednak w nowym mieście uderzało najbardziej, to przezroczystość atmosfery, brak dymu i sadzy, brak tak charakterystycznych w dawnych

budowlach kominów.

Bo też wiek węgla kamiennego i drzewa, jako opału, minął bezpowrotnie. Wszechwładnie zapanowała elektryczność, dostarczająca ciepła, siły poruszającej w zakładach przemysłowych, roznosząc wymianę myśli i obrazy zdarzeń po świecie całym, a źródłem jej stał się nie węgiel czarny, cuchnący, dymiący, ciężką pracą dobywany z głębin ziemi, lecz węgiel biały — woda.

Wyzyskanie nareszcie praktyczne ogromnej siły przyływów i odpływów mórz i oceanów, tudzież wodospadów i potoków górskich, dostarczało aż nadto prądu elektrycznego dla rozgrzania

— -

wszystkich domów, puszczania w ruch wszystkich kolei i warsztatów świata.

Wprawdzie wskutek intensywnego wyzyskiwania tej siły przyrody przestały istnieć przepiękne widoki Szafuzy, Giessbachu, Staubachu, Tivoli, Ferveroery, Imatry, Niagary, Juansectlanu, Wiktorji, Iguassu i t. d., tak zachwycające romantycznych przodków, cóż jednak znaczyła ta strata niematerjalna wobec korzyści materjalnych, wobec ulżenia pracy ludzkiej, ułatwienia życia człowiekowi, zniknięcia tych krążących dniem i nocą po wszystkich torach kolejowych pociągów z węglem, brudnych, zanieczyszczających wszystkie kraje i pochłaniających niepotrzebnie tyle miejsca i trudu?

Z politowaniem i grozą wspominano teraz o tych niewolnikach podziemi, skazanych na brud-

na, ciężką pracę przy mdłych światełkach lamp górniczych i wciąż narażonych na niebezpieczne choroby lub na wybuchy gazu piorunującego. Wszak rzesze te, pracujące w tak ciężkich warunkach, najczęściej wybuchały niezadowolaniem słusznym i stawały się przyczyną przewlekłych zastój ów w przemyśle i normalnym postępie świata, porzucając ponure podziemia. Dziś zdumiewano się poprostu, jak takie stosunki istnieć mogły, mówiono o nich, jak w wieku dwudziestym o czasach niewolnictwa. Coprawda, nie przestała istnieć potrzeba dozwania z łona ziemi jej bogactw, ale olbrzymie po-

stępy techniki ułatwiły niezmiernie pracę ludzką. Woda i wytwarzana przez nią elektryczność zmywały lub wysysały z ziemi siłą potężną jej skarby. I to jednak już tylko w t. zw. odkrywkach, bo od czasu wynalezienia wyrobu, drogą syntezy, złota, srebra i kilku innych metali, uważanych jeszcze w wieku dwudziestym za pierwiastki — zagłębianie się w skorupę ziemską — przy pomocy kosztownych przyrządów na setki metrów i kopanie tam szybów kilometrowych nie opłacało się wcale.

A jeżeli w wiekach ubiegłych maszyna wypierała stopniowo pracę ręczną, to teraz maszyny robiły niemal wszystko z tą tylko różnicą, że człowiek stał się teraz panem maszyny, gdy przedtem był jej niewolnikiem.

Pod tym względem selekcja sił robotniczych,

oparta na ścisłych badaniach naukowych, których owocem były metody, umożliwiające dokładne określenie uzdolnienia każdego indywiduum, wydała rezultaty nadzwyczajne. Rytm pracy ludzkiej nie potrzebował już pędzić za rytmem maszyn. Właściwi ludzie znaleźli się na właściwych miejscach. Praca stała się przyjemnością, zamiast być ciężarem dla człowieka.

Jeżeli już mowa o pracy brudnej i ciężkiej, to w nowych miastach przestało też być zagadnieniem trapiącym: czyszczenie ulic i utrzymywanie w porządku domów. Pneumatyczne wsysacze nieczystości i kurzu, używane w dwudziestym wieku

tylko w wielkich hotelach i zamożnych domach, oswobadzały teraz codziennie ze skrupulatną dokładnością ulice i place ze wszelkich brudów, wpychając pył zebrany do rur podziemnych, skąd dostawał się, pędzony przez prąd powietrza, do palenisk elektrycznych, zamieniających go w popiół. I w tym jednak procesie palenia umknęło wytwarzania dymu przez zastosowanie wchłaniaczy sadzy i gazów. Tak samo udoskonalony system kanalizacji oswobadzał domy z nieczystości i śmieci, automatycznie dzielił je na części stałe i płynne, odkażał lub palił, wytwarzając nawozy sztuczne, choć pod tym względem azot, otrzymywany z powietrza na ogromną skalę, czynił zadość potrzebom rolnictwa.

Jeżeli wszakże z jednej strony elektryczność spełniała funkcje tak rozliczne w mieście nowo-

czesnem, to z drugiej — przestała być w każdym razie jedynym źródłem światła.

Wyręczały ją pod tym względem promienie słoneczne, chwywane w odpowiednio urządzone przewodniki, rozprowadzone po kuli ziemskiej tak, że gdy na jednej połowie ziemi panowała noc, to światło dzienne spływało na nią z drugiej półkuli, tryskając ożywcze promieniami ze szczytów latarni ulicznych lub lamp pokojowych, regulowane co do natężenia przez barwne filtry kryształowe. Zakłady zaś, chwyające promienie słoneczne, budowano na szczytach górskich, aby dać konsumentom czyste światło górskie, obfitujące

w promienie ultrafioletowe, tak zbawcze przy niektórych cierpieniach organizmu ludzkiego.

Ale właśnie te promienie ultrafioletowe i ciepłe promienie czerwone stały się przedmiotem sporu zaciętego pomiędzy zwolennikami nowego światła a elektryczności. Pierwsi radowali się z triumfu wiedzy ludzkiej, drudzy zaś nazywali inowację szkodliwym pogwałceniem praw natury, domagających się nocnego odpoczynku dla organizmu po dziennym natężeniu światła, i przekładali sztuczne światło elektryczne, jako mniej męczące. Takie jednak spory nie powstrzymują postępu świata. Wszak po wynalezieniu piorunochronów przez Franklina twierdzono, że piorunochrony sprowadzają pioruny; po wynalezieniu piór stalowych ludzie, piszący piórami gęsiemi, przepowiadali naj-

gorsze następstwa dla zdrowia śmiałkom, hołdującym nowemu wynalazkowi; po wynalezieniu gazu oświetlającego mnóstwo amatorów urządzeń odwiecznych wolało jeszcze świeczki łożowe i lampy olejne, a po wynalezieniu oświetlenia elektrycznego — lampy gazowe. Trudno! Bez konserwatystów nie odczuwalibyśmy całej doniosłości postępu.

Z rozwojem olbrzymim miasta szedł w parze, a nawet wyprzedzał go i umożliwiał, rozwój komunikacji. Chodniki ruchome, podziemne koleje elektryczne i pneumatyczne, samoloty i samochody, dostępne dla każdego i dogodne ze względu na niezmiernie lekkie a potężne akumulatory, o

których Edison już marzył, ułatwiały szybkie połączenia pomiędzy najodleglejszemi dzielnicami. O koniach, jako środka lokomocji, zapomniano. Piękne te zwierzęta stały się raczej ornamentem życia, środkiem do rozrywki zdrowej i atrybucją sportsmanów, wyścigi bowiem konne nie przestały przyciągać ludzi, pragnących emocji. Oczywiście i w rolnictwie rola konia i wołu skończyła się prawie zupełnie, przynajmniej w cywilizowanej Europie i Ameryce, wobec gospodarstw bezinwentarowych, powszechnego zastosowania traktorów elektrycznych do pługów, bron, żniwiarek i t. p., to też, aby zwierzęta nie pożarły ludzi, powstrzymano sztucznie reprodukcję inwentarza żywego tak, że zaspakajał tylko potrzeby sportu i aprowizacyjne.

Zyskała też na tern czystość miasta tak wielkiego, ruchliwego i różnojęzycznego, jak Warszawa. Różnojęzycznego i niezmiernie barwnego z tego względu, że starcie się dwu kultur: zachodniej i wschodniej tu, w tym ośrodku odwiecznego terenu starcia, wycisnęło na niem, wskutek nowego politycznego ustosunkowania się świata, piętno wybitne.

Federacja Europy stała się, jak już wspomnieliśmy, faktem. Ludy europejskie zrozumiały bowiem nareszcie, że inaczej Europa musi dojść do zupełnego rozstroju politycznego i gospodarczego. Bo te dwie sprawy stały w tak ścisłym związku, że jedna wchłaniała wprost drugą.

Od czasu wielkiej wojny światowej — roku przestano myśleć o podbojach politycznych, pozostały jednak dążenia do podbojów ekonomicznych, dążenia te zaś zakończyły się już niejednokrotnie walkami krwawymi i rujnującymi. Wskutek tego wyczerpywania się perjodycznego sił twórczych ludów europejskich w walkach o podboje ekonomiczne, wpływ ekonomiczny Ameryki anglosaskiej, żyjącej obecnie życiem zupełnie odrębnym, ale nie przestającej rozwijać się bez przerwy — stawał się coraz groźniejszy. Podzielona na państwa sobie wrogie, Europa musiała albo zjadać się nawzajem, marnieć, wegetować i być wasalem ubogim Ameryki, albo też zjednoczyć się w dążeniach i celach dla dobra społeczeństw swoich i przeciwstawić federacji wob

nych ludów Ameryki federację ludów europejskich.

W pracy nad doprowadzeniem do urzeczywistnienia tego dzieła niemałą rolę odegrał Adam Znicz, jako jeden z delegatów Polski w Lidze Narodów.

Światły umysł jego, obejmujący wielkie widnokręgi, przy wrodzonej Polakom miękkości i łagodności charakteru, tudzież przy dążności do działań pojednawczych, tworzenia związków, opartych na dobrowolnej ugodzie wzajemnej, co się tak wybitnie odzwierciedliło w dziejach tego narodu — zrozumiał niebezpieczeństwo.

To też był jednym z najgorliwszych rzeczników

— -

federacji, a gdy te usiłowania jego i podobnych mu europejskich mężów stanu odniosły, pomimo upartego oporu Rzeszy niemieckiej, zwycięstwo ostateczne, wówczas stał się jednym z najpopularniejszych mężów w Polsce.

Lecz wzrok duszy jego sięgał jeszcze dalej. Widział, że choć Europa dzięki federacji ma zapewniony spokój wewnętrzny i niezależność gospodarczą, choć ludy jej żyją teraz w pełni dostatku materialnego i beztroski, to jednak właśnie beztroska ta i radość życia zasłania im widok innego, bliższego niebezpieczeństwa, na które narażona jest Europa, a przede wszystkim jego kraj rodzinny.

Niebezpieczeństwem tem była nawała wschód-
nia.

Aby zrozumieć obawy Znicza, należy rzucić jeszcze okiem na stosunki społeczne, które wytworzyły się w ciągu ostatniego wieku na ziemi. Świat stanął wobec zagadnienia, tworzącego czworokąt, którego kąty przedstawiały cztery kierunki sprzeczne. Kwintesencję indywidualizmu — anarchję i kwintesencję socjalizmu — komunizm, stojące naprzeciwko siebie tak, jak z drugiej strony stanęły: kapitał, nie w znaczeniu jednak marksowskim, lecz jako symbol sił twórczych i potęgi umysłu, oraz praca, jako czynnik odtwórczy, wykonawczy. Wprawdzie oba pierwsze kierunki uzasadniały uporczywie istnienie swe potrzebą obrony pracy

— -

przed kapitałem, panowanie jednak bolszewizmu w Rosji wykazało całą bezpodstawność tego twierdzenia, niosąc za sobą terror okrutny, niesłychany w dziejach świata, przelewając morze krwi i nb szcząc razem z kapitałem także pracę, a nawet chęć do niej, rozleniwiając tłumy i zastępując współzawodnictwo twórcze tępym etatyzmem i martwą literą dekretów.

Dekretami jednak, opartymi na bagnietach i na mieczu katowskim, nie buduje się świata. Rosja więc stała się wielkim, strasznie cmentarzyskiem nie tylko ludzi, ale wszelkiej pracy ludzkiej.

Pomimo to bolszewizm, jako schlebiający najgorszym instynktom człowieka-zwierzęcia i podniecający straszliwe apetyty motłochu, przewalił się falą czerwoną po Europie. I dopiero, gdy ludy

europeskie odczuły na własnej skórze grozę zagłady kultury i cywilizacji, wytworzonych przez długie wieki ewolucji — nastąpiło otrzeźwienie; kapitał i praca, w znaczeniu powyżej podanem, zetknęły się, zbliżając się stopniowo ku sobie drogą kooperacji, na przekątnej czworoboku i zagroziły drogę czynnikom zguby.

Na tej podstawie wyrósł w Europie nowy gmach działalności ludzkiej. Zaczął się okres pracy pokojowej, opartej na współdzielczości w najszerszym zakresie, poszanowaniu współzawodnictwa, jako bodźca do czynu i udoskonalenia produkcji, wreszcie na rehabilitacji własności indywidualnej, a namiętne hasło Brissota: „La propriété c'est

— -

le vol" — przestało, po krwawych eksperymentach bolszewizmu, hipnotyzować nawet doktrynerów. Zaczął się okres, ustalony ostatecznie przez Federację europejską.

Już teraz myślano tylko o jak największym uproszczeniu pracy, o zdobywaniu dla człowieka jak największej sumy zadowolenia materialnego.

Olbrzymie postępy techniki i ścisłe, naukowe badanie zdolności ludzkich ułatwiły to zadanie.

Dobrobyt stał się powszechny, beztroska o los obejmowała coraz szersze masy. Ale uporczywe to dążenie do zapewnienia wszystkim dobrobytu materialnego, stawiania ponad wszystko względów praktyczności wywołało w ludziach chęć jak najdłuższego utrzymania tego stanu rzeczy.

Zadanie to było trudne, liczba bowiem ludzi

zwiększała się coraz bardziej, i groziła możliwość niezaspokojenia prawa wszystkich do bez troski i dobrobytu. Toć już na początku dwudziestego wieku geograf angielski, prof, uniwersytetu londyńskiego, J. W. Gregory obliczał, że w r. -ym ziemia nasza osiągnie maximum ludności, jaką wyżywić będzie mogła, w roku zaś -ym ludność ziemi dosięgnie miliardów, t. j. liczby niemożliwej do wyżywienia, choćby całą planetę naszą od bieguna do bieguna zamienił w jeden ogród kwitnący. Pomimo wszelkich reform społecznych,

pomimo olbrzymich postępów wiedzy zaczęto stwierdzać, że niesposób tylko tą drogą zapobiec istnieniu proletariatu.

- -

Niemalą tu rolę odgrywały dwa czynniki: z jednej strony postępy na polu przedłużania życia ludzkiego, zwalczania choroby starości, wskutek czego liczba ludzi, cieszących się pomimo wieku kalendarzowego pełnią sił żywotnych, wzrastała ciągle, z drugiej zaś strony nauka Galtona osiągnęła wyniki wspaniałe. Rozwój eugenizmu stał się troską wszystkich rządów. Rodziły się pokolenia zdrowe, uzdolnione do życia pełnego, bez ułomności.

Swego czasu Dühring dowodził, że w miarę zwiększania się ludności, zwiększa się też jej zdolność do wyżywienia się, a Doubleday i Sadler twierdzili, że rozrodczość zmniejsza się, im lepiej odżywia się człowiek. Carey i Spencer byli zda-

nia, że ludzie tern mniej się rozmnażają, im więcej rozwijają się duchowo; według zaś niektórych te-
or etyków socjalizmu, jak Fourier, lepsza organiza-
ej a społeczeństwa dostarczy też wszystkich po-
trzebnych środków istnienia.

Rzeczywistość obaliła te rozumowania. Moż-
ność utrzymania organizmu ludzkiego w długo-
trwałym, jeżeli nie wiecznym stanie młodości
i zdrowia, wzmogła rozrodczość ludzi. Wywołało
to zazdrość o dobrobyt własny, obawę o jego utra-
cenie. Naturalnym więc biegiem rzeczy przystą-
piono do ograniczenia liczby narodzin.

System posiadania jednego tylko lub co najwy-
żej dwojga dzieci dotarł z miast do wiosek; pro-
paganda Ligi Malthusa zwyciężyła we wszystkich

— -

krajach Europy. Ludność krajów europejskich
utrzymywała się na poziomie stałym, pozwalają-
cym żywić nadzieję, że zbudowany z takim tru-
dem gmach dobrobytu powszechnego przetrwa już
wieki.

I oto na tem tle zarysował się zatarg Europy
z olbrzymim Wschodem.

Tam nie dotarły jeszcze, za wyjątkiem kreso-
wej, wyspiarskiej Japonji, nowe idee społeczne.
Olbrzymie masy kontynentu azjatyckiego, prze-
trawiające wciąż cywilizację swą z przed tysiąco-
leci, skamieniały w niej, jak wciąż jednakowy
w perspektywie wieków styl garnka chińskiego
lub budowli chińskiej, gardziły pomysłami „bia-

łych djabłów". Ustrój umysłowy tych mas, napózór pokornych i dających poniewierać sobą, pozostał wciąż zagadką dla socjologów i psychologów europejskich.

Nawet usiłowania publicystów- reformatorów z XIX i XX wieku, jak Czang- szitung, Kang- jujaw lub Liang- kiczao, nie przetrwały długo. Skierowana chwilowo na tory cywilizacji aryjskiej, dusza rasy mongolskiej cofnęła się znów, skurczyła, jak ślimak w swej skorupie.

Wprawdzie zdobycze techniki święciły i tam triumfy, i nie było już miasta w Chinach, Tybecie, Mongolji lub Turkiestanie, w którym nie osiedliliby się przedstawiciele rasy białej, a rozwój lotnictwa pozwalał docierać do najbardziej tajemniczych dolin i wąwozów Tienszanu, Ałtaju,

- -

Karakorumu albo Himalajów, niemniej olbrzymie mrowie azjatyckie kroczyło własnymi, niezrozumiałymi dla Europejczyka torami i, pomimo przestającej pojęcia europejskie nędzy, pomimo panującego wciąż jeszcze haniebnego dla Europejczyka handlu „mui-tsaj”) — mnożyło się w dalszym ciągu bez miary, nie chcąc słyszeć o neomal-tuzjanizmie.

I zaczął wreszcie przelewać się coraz większym strumieniem poza brzegi tej czary azjatyckiej nadmiar jej ludności.

Ale Ameryka zamknęła przed nim już dawno hermetycznie podwoje swego lądu. Za przykładem tym poszła też Australja. Indje holenderskie po-

niewczasie spostrzegły niebezpieczeństwo, gdyż załała je już fala Mongołów. W każdym razie i one zdecydowały się na krok stanowczy. Co zaś tyczy się t. zw. Indyj Wschodnich, tworzących obecnie także federację państw wolnych, to ogromna ich ludność, przedsiębiorcza i natarczywa sama, nie dopuszczała do inwazji mongolskiej. Pozostawała zatem tylko niezmierna granica północna i zachodnia. Tam to parła, przyciągana dobrobytem i wolnym miejscem, inwazja mongolska. Najpierw południowe krańce Syberji, a potem wschód Rosji europejskiej ujrzały coraz liczniejsze zastępy tych potulnych, gotowych do wszelkich usług, poczaw-

) Handel matoletnimi dziećmi z powodu niemożności ich wyżywienia.

— -

szy od niańczenia dzieci, a skończywszy na zimnym morderstwie — wykonywanych z jednakową skrupulatnością i sumiennością — cicho stąpających i usuwających się każdemu z drogi, koso-okich, żółtoliczych przybyszów.

Beztroskie, syte, posiadające teraz zawsze środki na opłacenie swych przyjemności, masy europejskie wyręczały się chętnie w wielu zajęciach, czy to domowych, czy też gospodarskich, zabawami dla nich, posłusznymi, jak marjonetki, postaciami, uważając je za nieszkodliwe, bowiem obce, których, jako nieobywateli Polski i Federacji europejskiej, pozbyć się łatwo. Masom tym dogadzało wysługiwanie się obcymi przybyszami, brakło zaś

zmysłu wstępu rasowego, tak właściwego rasie anglossaskiej.

Najście więc Mongołów, ciche, przeciskające się wszystkimi najwęższymi szczelinami granic, trwało bez przerwy.

Znalazły się wszakże umysły spostrzegawcze, które, badając stopniowy wzrost zjawiska, dostrzegły wkońcu niebezpieczeństwo i zatrąbiły na alarm.

Śród pierwszych, którzy to uczynili, był Adam Znicz.

I całkiem naturalnie.

Bo jeżeli nawet na olbrzymich przestrzeniach państw napoty mongolskich, utworzonych na miejscu byłego imperjum rosyjskiego, zaniepokojono się tem zjawiskiem, to cóż mówić o Pol-

— -

see, a zwłaszcza o jej stolicy, stanowiącej dziś olbrzymie wrota do Europy zachodniej?

Tu, w tern mieście-olbrzymie, powstała już na prawym brzegu Wisły, w miejscu, gdzie jeszcze w dwudziestym wieku ciągnęły się lasy Miłosny, cała dzielnica mongolska.

I jak niegdyś turyści, zwiedzający San Francisco, zaglądali% obowiązkowo do dzielnicy, zwanej „Miastem chińskim” (China Town), tak teraz Warszawa dawała im tę samą sposobność, ale w daleko szerszym zakresie. W warszawskim „Mieście azjatyckim” rozsiadły się teatry i restauracje nietylko chińskie, ale także koreańskie, tybetańskie, syjamskie i anamickie. Na każdym

kroku zwracały tu uwagę dziwaczne szyldy, barwne wystawy sklepowe, słupy uliczne z powiewającymi na nich w dni świąteczne papierowymi smokami, ptakami i flagami. I nieraz zamigotał w oczach przechodnia z głębi świątyni o dachach kanciastych i zakrzywionych złocony posąg Bud; dy, a w nozdrza wpadała woń przenikliwa wonnych pałeczek drewnianych, tłących się przed ołtarzykami domowymi Azjatów.

Z dzielnicy tej wylegały codziennie na Warszawę tysiące kosoookich postaci, śpiesząc bądź na usługi do białych, nie znających już dawnej patryarchalnej służby domowej, bądź to na handel domokrażny lub do zajęć najrozmaitszych, stanowiących niejako odpadki pracy, na których podniesienie nie chciał się trudzić beztroski, syty

- -

Europejczyk, szczególnie zaś lekkomyślny i wesoły Polak.

Doszło do tego, że mnogość Azjatów wycisnęła na Warszawie piętno specyficzne, jak niegdyś mnogość Żydów chałatowych na jej dzielnicach żydowskich.

Ale Żydzi zeuropeizowali się już zupełnie.

Gdy federacja państw sama zajęła się regulowaniem handlu i przemysłu, a ruch spółdzielczy objął wszystkie warstwy społeczeństwa, gdy wreszcie złoto przestało być miernikiem wartości — skończyła się rola Żydów.

Stopniowo natomiast, choć tłumiona energicznie i z niesłychaną zręcznością przez wpływy ta-

jemnicze, na gruncie europejskim wyrastała kwestja mongolska.

Przenikliwy umysł Znicza widział to wyraźnie i dzięki niezmordowanym badaniom osiągnął wyniki nadspodziewane:

Zdobył przeświadczenie, że poza najazdem pokojowym kryje się też—najazd zbrojny.

Z chwilą tą nie wahał się już dłużej i wystąpił w parlamencie europejskim, wskazując na „Żółte niebezpieczeństwo”.

Ci jednak, którym to było potrzebne, przypomnieli sobie wówczas, że już w dziewiętnastym wieku niektórzy politycy, a wśród nich zarozumiały cesarz Niemiec Wilhelm II, potrząsali tym straszakiem, ale wywołali tylko śmiech i drwiny z siebie. Prasa nawet wyszukała w archiwach rysunek,

- -

przedstawiający rzekome to niebezpieczeństwo, a wykonany ręką zarozumiałego monarchy.

I echo tego śmiechu z przed dwustu prawie lat przyłgnęło narazie do Znicza. Altruizm, podsycany przez błogie uczucie dobrobytu, po tylu wiekach krwawych wojen i niedostatku nie mógł darować temu „nacionaliście” nowego typu zakłócić cenią beztroski Europy.

Lecz Znicz nie dał się zbić z tropu. Musiały wkońcu przemówić dokumenty, które zebrał, a których wciąż mu przybywało, znalazł bowiem jednostki również zastanawiające się nad niebezpiecznym zjawiskiem i badające je w cichości z zamkniętymi szperaczów, ale — jak się często zda-

rza — zbyt bojaźliwe, wobec groźnych wpływów, które odczuwały i do których źródła dotarły, aby zebrane materiały przedstawić bezpośrednio ogółowi.

Zasilany przez nie, Znicz mógł zadawać razy coraz skuteczniejsze zbijającym jego argumenty przeciwnikom, mógł druzgotać ich altruizm i optymizm.

Walka jednak była ciężka, gdyż wciąż jeszcze odgrywał w niej rolę i ten взгляд, że Europa, zwłaszcza zachodnia, przywykła niedowierzać ostrzeżeniom, płynącym z Polski, choć tyle już razy na własnej skórze odczuła skutki tego niedowiarstwa. Im dalej na zachód, z tem większą obojętnością przyjmowano już od wieków te głosy ostrzegawcze narodu, który wzrokiem i słuchem,

— -

wyostrzonym przez długoletnią niewolę, widział i rozumiał to, czego widzieć i rozumieć nie chciały szczęśliwsze od niego narody Zachodu.

Przyczyniła się niewątpliwie do tego prasa, będąca wówczas na usługach polityki różnych rządów i nazwana, dzięki wpływowi, wywieranemu na masy, czwartym mocarstwem.

Wprawdzie wpływ ten upadał stopniowo, i już w dwudziestym wieku można było zauważyć, że w krajach o wysokiej kulturze politycznej nie dzienniki kierowały opinią publiczną, lecz przeciwnie raczej opinia kierowała prasą — jednakże prasa nie utraciła znaczenia, jako informator i szperacz dziejowy.

Wygląd dzienników zmienił się zupełnie. Gdy w dwudziestym jeszcze wieku obrazki były w nich dodatkiem, a obszernie rozważania spraw politycznych i społecznych — treścią, obecnie, dzięki olbrzymiemu postępowi iskrowego przesyłania nie tylko rozmów, lecz i obrazów z życia, lwią część dzienników zajmowały obrazki z chwili bieżącej, podawane z dnia na dzień, jak poprzednio depe-
sze, szczupły zaś, w porównaniu do dawnych dzienników, tekst wypełniały komentarze, informacje i dział rozrywkowy.

Ale i krótkie, niewinne napozór uwagi mogą być niebezpieczne.

Gdy zaś nawet ze strony dzienników najbardziej czytanych przez masy, ze względu na bezbrzeżną płytkość i dobór obrazków sensacyjnych,

- -

dzienników, unikających zwykle wszelkich spraw politycznych, aby zadosyćuczynić požądaniu kwietyzmu ze strony czytelników, posypały się ukryte strzały pod adresem propagatora nowej walki — Znicz odczuł już zupełnie wyraźnie działanie wpływów, usiłujących za wszelką cenę zbagatelizować jego agitację.

Ale i te knowania przyczyniły się tylko do umocnienia w nim poczucia słuszności, i oto pewnego dnia wystąpił znów przed parlamentem wersalskim, ale tym razem już z nagłym wnioskiem konkretnym, żądając zupełnego zamknięcia sfederowanej Europy przed najściem Azjatów, a nawet usunięcia z jej granic tych, którzy ostatniemi cza-

sy napłynęli zbyt gromadnie pod różnymi pozorami.

Oczywiście, znów powstała ogromna wrzawa wśród pacyfistów i altruistów, a rozważny pariasment Europy, pojmując całą doniosłość wniosku posła warszawskiego, odesłał go do komisji dla bliższego zbadania, odrzucając jego nagłość.

I tem niezrażony Znicz czekał cierpliwie, pewny swego, choć coraz częściej otrzymywał różnymi drogami najpierw rady i ostrzeżenia rzekomo przyjacielskie, a następnie wprost już groźby.

Cierpliwość ta wszakże nie była wystawiona na zbyt długą próbę, albowiem na parę zaledwie dni przed obchodem „Cudu nad Wisłą” ajenci posła dostarczyli mu ów dokument niezmiernie ważny, o którym wspomnieliśmy w pierwszym rozdziale,

- -

a który musiał wpłynąć rozstrzygająco na losy wniosku o zamknięciu granic Europy dla Azjatów. Tak stały sprawy, gdy, powróciwszy z obchodu, Znicz stwierdził wtargnięcie niepożądanych gości do swego mieszkania.

- -

ROZDZIAŁ III.

ZJAWA.

Długo wpatrywał się Znicz w połyskujące wgłębienia tajemniczych hieroglifów na metalowej taśmie.

Myśl jego krążyła dokoła pytań: jak nieprosze-

ni goście wtargnęli bez naruszenia sztucznych zamków do jego mieszkania i czy osiągnęli cel swej wizyty?

Co do drugiego, to niewątpliwie odpowiedzi udzieli mu taśma, którą trzyma w ręce, gdy dokonany będzie przekład utrwalonej przez nią rozmowy. Załatwią mu to tłumacze biura azjatyckiego sekretariatu stanu w Wersalu, narazie jednak ważniejszą jest sprawa zabezpieczenia na przyszłość posiadanego zbioru dokumentów. Za kilka godzin wyruszy na posiedzenie parlamentu europejskiego, mającego niebawem zakończyć przedłużoną tym razem sesję letnią głosowaniem nad postawionym przez niego wnioskiem azjatyckim. Powróci dopiero późnym wieczorem, jeżeli więc intruzom nie powiodło się przedsięwzięcie, to mogą wtargnąć tu powtórnie w czasie jego nieobecności.

Postanowił zatem natychmiast zawiadomić o

— —
zajściu naczelnika policji stołecznej, a zarazem kolegę z ław szkolnych i przyjaciela, i już wyciągnął rękę po słuchawkę telefonu, gdy nagle przemknęła mu przez głowę myśl niepokojąca:

Jeżeli — rozumował — jest obecnie do tego już stopnia śledzony przez Azjatów, jeżeli potrafili tak zręcznie wtargnąć do jego mieszkania — to nie ulega też wątpliwości, że znaleźli sposób podchwytywania rozmów, prowadzonych przez niego radjotelefonem. Rozmowa przeto z naczelnikiem policji uprzedzi ich, że wie już o wszystkim

i ma się na baczności.

Pod wpływem tej myśli porzucił aparat telefoniczny, siadł przy biurku i skreślił szybko list do przyjaciela.

Wysłanie listu nie wymagało posłańca lub samolotu. Znicz zwinął kopertę, włożył ją do niewielkiego metalowego futerału cylindrycznego, wsunął futerał do rury, umieszczonej obok biurka, zamknął ją i przechylił w dół lewar do niej przytwierdzony.

Załatwiwszy się z tem, powstał, odciął nożyczkami taśmę metalową fonografu z zagadkowymi wyrazami, zwinął ją starannie, położył na biurku i czekał.

Z szybkością błyskawicy futerał z listem podążył wdół do rury podziemnej, biegnącej wzdłuż domów, tam wpadł na ruchome korytko i popędził do najbliższej stacji pocztowej, segregującej listy według adresów.

Stamtąd powędrował taką samą rurą pneumatyczną do stacji, najbliższej prezydium policji, i nie upłynęło jeszcze pół godziny od wysłania go, a już leżał na biurku adresata.

Pomimo, że już skończyła się noc letnia i białe światło dnia wsiąkało przez obszerne okna do biura, dziwnie jeszcze blade wobec złocistych promieni lampy słonecznej, szef czuwał, przeglądając raporty dzielnicowe.

Nie było prawie raportu bez wzmianki o Azjaczach. Tu wywołali bójkę o zarobek i tumult ulicz-

ny, tam schwytano ich na sprzedaży opjum, ow-
dzie spisano protokół z powodu burdy w jednym
z chińskich zakładów rozrywkowych...

Gdy jednak w otworze kwadratowym windy
elektrycznej, umieszczonym w ścianie obok biur-
ka, rozległo się ciche warknięcie dzwonka i sta-
nęła tam, przysłana z wydziału korespondencji,
tacka z listami, adresowanymi do niego osobiście,
odłożył raporty i zabrał się do przeglądania kores-
pondencji.

Jednym z pierwszych, który wpadł mu w ręce,
był list Znicza. Poznawszy rękę posła, którego był
nietylko przyjacielem, ale którego wprost uwiel-
biał, jako jednego z twórców Federacji europej-
skiej, a zwłaszcza jako męża, który odważył się
wystąpić w parlamencie europejskim z wnioskiem,
wymierzonym przeciwko Azjatom—szybko prze-
biegł pismo oczyma.

List był krótki:

- -

„Nie używam telefonu z przyczyn, które wyja-
śnię. Pragnąłbym bardzo widzieć się z tobą jak
najprędzej w sprawie, dotyczącej się nietylko mnie,
ale i dobra ogółu.

„O godzinie dziewiątej wyruszam do Wersalu,
spodziewam się więc ujrzeć cię przed tą godziną.

„Pozdrawiam i czekam”.

Czytający zmarszczył brwi. List drgnął mu w rę-
kach. Po raz to pierwszy Znicz zwracał się do nie-
go w ten sposób, musiało więc zajść coś ważnego
i niecierpiącego zwłoki.

Spojrzał na zegar. Była godzina czwarta. Miał zatem dość czasu. Ale oczy jego padły na wyraz: „Czekam”. W ustach Znicza wyraz ten trzeba było brać dosłownie. Szybko więc przejrzał resztę listów, wydał telefonicznie rozporządzenia dyżurującym urzędnikom, a w kwadrans potem samolot jego stanął na dachu domu posła.

Znicz czuwał, drzemiąc w fotelu. Odezwał się nareszcie dzwonek windy. Na dźwięk ten powstał, nacisnął guzik elektryczny i stanął we drzwiach, czekając na gościa.

Po chwili winda stanęła, i wyniosła postać naczelnika policji ukazała się we drzwiach.

— Jak się masz, Parker — rzekł Znicz, wyciągając rękę do przybyłego. — Musisz mi wybaczyć, że cię niepokoję o tej godzinie, ale sprawa jest pilna.

— Domyślam się z treści listu—odparł przybywający, ściskając rękę gospodarza. — O cóż chodzi?

- -

Gdy to mówił, wkroczyli obaj do gabinetu, w tejże jednak chwili na progu drzwi, wiodących z przedpokoju do jadalni, ukazała się pani Ira w stroju porannym, spoglądająca zdumionym wzrokiem na rozmawiających.

Ocknęła się ze snu, gdy jasny dzień panował już na świecie i, usłyszawszy brzęk dzwonka windy, sądziła, że zasnęła. Spojrzawszy jednak na zegar przy łóżku, spostrzegła, iż dochodzi dopiero godzina piąta.

W tej chwili doleciała jej uszu z przedpokoju

rozmowa przyciszona. Zaniepokojona tem, zerwała się z łóżka i, ogarnawszy bujne włosy, zarzuciła strój poranny i pośpieszyła ku przedpokojowi.

Staneła tam w chwili, gdy mąż wprowadzał gościa do gabinetu, i zatrzymała się, jak wryta, poznawszy w gościu naczelnika policji.

Znicz dostrzegł żonę.

— Ach, już wstałaś! — rzekł, uśmiechając się spokojnie. — Chciałem zawiadomić was o tem, co zaszło, przy śniadaniu, skoro jednak już tu jesteś, tem lepiej. Proszę do towarzystwa.

Pani Ira, trochę zażenowana neglizem porannym, podała rękę Parkerowi, przesunęła się, poprawiając włosy, pomiędzy gościem a mężem i zagłębiła w fotelu mężowskim.

Znicz wskazał drugi fotel Parkerowi, sam zaś siadł na otomanie tureckiej i bez ogródek opowiedział zajścia nocy ubiegłej.

— -

Pani Ira i Parker słuchali uważnie.....

Gdy jednak naczelnik policji, obojętny na stronę uczuciową zdarzenia, usiłował, utkwivszy wzrok badawczy w opowiadającego, odtworzyć sobie w umyśle ze słów słyszanych faktyczny przebieg zajść w tym gabinecie wieczora poprzedniego — serce małżonki Znicza uderzało gwałtownie, źrenice jej rozszerzały się, a na wpół otwartych ustach zamarł okrzyk przestachu. Nietyle obchodziło ją to, co nieproszeni goście mogli zdobyć w gabinecie mężowskim, ile sama obecność tych postaci tygrysiich tutaj; niebezpieczeństwo, na jakie się mógł na-

razić jej mąż, gdyby był spotkał się z niemi.
Pod wpływem tych uczuć, to przywierała oczyma do ust mężowskich, to rzucała wzrok niespokojny po kątach gabinetu, choć dzień jasny złocił już szyby.

A Znicz kończył opowiadanie:

— Zrozumiesz teraz — mówił — dlaczego wolałem wysłać do ciebie list pocztą pneumatyczną, niż rozmówić się przez telefon. Jeżeli bowiem potrafili wtargnąć tutaj, to bezwątpienia też przejmują moje rozmowy telefoniczne, śledzą mnie bez przerwy, Parker, zamyślony, nie odpowiadał. Zapanowała więc cisza, a w tejże chwili, pierwszy promień słońca, przekradłszy się pomiędzy domami, uderzył w okno, przeszył długą smugą gabinet Znicza i położył czerwoną plamę przez drzwi otwarte na ścianie przedpokoju.

— -

Oczy pani Iry pobiegły w tym kierunku, i nagle z ust jej wyrwał się cichy okrzyk:

— On tam stoi!

— Kto? — zawołał Znicz zdumiony, a Parker zwrócił wzrok w kierunku, wskazanym teraz palcem przez Irę.

— Ależ ten Azjata! — zawołała. — Jeden z tych, którzy tu byli w nocy. Zajrzał, gdyś zamilkł. Ale już go niema. Już znikł.

Parker zerwał się z fotela i wyszedł do przedpokoju.

Cisza panowała tam zupełna. Drzwi od sieni były zamknięte. Na wieszadłach wisiały spokoj-

nie płaszcze. Najmniejszy ślad nie wskazywał, aby mógł tu wtargnąć w tej chwili człowiek obcy. Naczelnik policji dotknął jeszcze ręką płaszców, jakby dla przekonania się, czy pod nimi kto się nie ukrywa, i nagle zaśmiał się cicho.

— Oto pani Azjata! — rzekł do małżonki pośła, wskazując na ostry cień, wyrzeźbiony na ścianie przedpokoju przez promienie słońca, które, przeniknąwszy do gabinetu, natrafiły po drodze na przeszkodę, pod postacią stojącej na stoliku przy ścianie, ozdobnej szafki wiedeńskiej.

Znicz puścił rękę żony, którą był ujął zaniepokójony jej podnieceniem, spojrzawszy w kierunku, wskazanym przez Parkera, i zaśmiał się także. Istotnie, cień górnych kantów szafy tworzył w czerwonej plamie słońca na ścianie przedpo-

koju dokładny profil głowy ludzkiej o twarzy przy«
płaszczonej i szyi wyciągniętej naprzód.

— Oto twój Azjata! — powtórzył za Parkerem wesoło. — Widzisz, jak łatwo ulec można złudzeniu pod wpływem chwilowego podniecenia, Pani Ira patrzyła, milcząc, na czarny profil głowy, przesuwający się ledwie dostrzegalnym ruchem po ścianie i wydłużający się ku dołowi. Znicz znów ujął białą jej rękę, Parker zaś mówił, zapomniawszy już o chwilowej przerwie.

— Rozmowę, utrwaloną na taśmie fonograficznej, moglibyśmy i tutaj przetłumaczyć, z konieczności bowiem posiadamy już w biurach miejskich tłumaczy różnych języków azjatyckich Ale

byłoby to niepraktyczne. Wywiadowcy Azjatów dowiedzieliby się niewątpliwie o tem wcześniej, niż należy, lepiej więc będzie, jeżeli zabierzesz ją do Wersalu. Co się tyczy tajemniczego samolotu, który ulotnił się stąd w chwili, gdy wasz stanął na dachu, to nadesłane mi dziś raporty nocne nie wspominają o żadnym wypadku aresztowania za przekroczenie przepisów o oświetleniu statków powietrznych, samolot więc Azjatów musiał zapalić światła, wzbiwszy się na przepisaną wysokość, i zmylił czujność policji.

Pani Ira spojrzała niespokojnie na mówiącego.

Parker dostrzegł to spojrzenie i odparł:

— Niech pani będzie spokojna. Od tej chwili mieszkanie wasze strzeżone będzie specjalnie,

- -

a dziś jeszcze znajdzie się pod taką opieką naszych przyrządów strażniczych, że mysz nawet nie przecisnie się do tego gabinetu bez naszej wiedzy. Możecie spać spokojnie.

Szef policji nie przesadzał. Nowoczesna technika ochronna pozwalała policji czuwać nad wskazaniami jej mieszkaniem zdaleka zapomocą automatycznych przyrządów odzwierciedlających, które zdradzały natychmiast centrali policyjnej obecność w danym mieszkaniu nieproszonego gościa bez względu na przedsięwzięte przez niego ostrożności, a także utrwały jego postać na płycie fotograficznej, ustawionej w centrali, choćby nawet cofnął się niezwłocznie.

O metalowych przewodnikach telefonicznych

i telegraficznych, które złoczyńcy dawniejsi mogli w razie potrzeby usuwać, dziś już zapomniano, a sama próba zniszczenia przyrządu strażniczego nietylko wystarczyłaby do odfotografowania na odległość ich postaci, ale także wywołałaby taki alarm, że nie uszliby agentom policji. Azjaci za«tem, którzy wtargnęli do mieszkania Znicza; musieli wiedzieć, że mieszkanie to nie jest zaopatrzone w takie przyrządy.

— Ale przecież — wtrąciła pani Ira głosem rozdrażnionym — moglibyście przynajmniej ująć tych, którzy zakradli się tu wczoraj. Wszak musieli pozostawić ślady.

Parker zatoczył półkole wyciągniętą ręką.

— -

— Ślady są wszędzie. I na ścianach, i na pułapie, i na podłodze. Dziś przecież wiadomo, że nawet cień pozostawia ślady, uchwytny dla ultraczułych płyt fotograficznych, a ślady nóg na podłodze można z łatwością odfotografować nawet aparatami dawniej szemi. I gdyby przestępcy byli boso, to wystarczyłyby dawniejsze metody daktyloskopijne dla ich odszukania. Jednak przestępcy, zwłaszcza tacy, jak ci, którzy tu wczoraj gościli, są zbyt przebiegli, aby „pracować” gołymi rękoma lub boso, że zaś zdołali otworzyć sztuczne zamki przy drzwiach waszego mieszkania, to także wskutek braku przyrządów strażniczych, o których wspominałem, a które dziś mieć będziecie. Bo co do samego zamku, to jak wiecie, niema zamku dla złodzieją. Nie o to jednak chodzi. Jestem pewien, że

wywiadowcy nasi zdołaliby odkryć bandę, która tu wtargnęła. Czy jednak pośpiech taki byłby celowy? Małżonek pani stwierdził, że nic mu nie skradziono. I dokumenty swoje znalazł w całości. Nieproszeni więc goście musieli tu przybyć albo dla przejrzenia tylko i odfotografowania dokumentów, które ich obchodziły, albo też szukali czego innego i nie znaleźli. Które z tych przypuszczeń jest słuszne i czy dopięli zamierzonego celu, na to odpowie nam rozmowa, utrwalona na taśmie fonograficznej. Sądzę więc, że lepiej poczekać do chwili jej odcyfrowania. Tu może chodzić o sprawę polityczną wielkiej wagi.

Naczelnik policji skończył i powstał z miejsca.

- -

— Parker — rzekł Znicz, powstając również — ma rację. Przez pośpiech możemy popsuć wszystko. Pani Ira milczała.

Skierowano się ku przedpokojowi. Parker jeszcze raz rozejrzał się badawczo dokoła. Obejrzał również starannie drzwi i zamki, ale żadnych śladów najdrobniejszego choćby ich naruszenia nie znalazł.

— Jak mówiłem — zauważył — niema zamku dla złodzieja. Jeszcze przed południem — dodał — przybędą tu moi pracownicy, a teraz już zostawię jednego z towarzyszących mi agentów na waszym dachu.

Po tych słowach uściśnął rękę Znicza i skłonił się głęboko jego małżonce.

A gdy wyciągnęła do niego dłoń, rzekł, uśmie-

chając się do niej, jak do dziecka:

— Niech pani wielkiego męża, który zaszczyca mnie swą przyjaźnią, będzie spokojna. Zniczowi włos nie spadnie z głowy.

— Widzisz — zawołał na to wesoło Znicz — jak poczciwy Parker dba o nas! Idźże więc, połóż się jeszcze, bo i ja muszę odpocząć cokolwiek przed podróżą.

Pani Ira uśmiechnęła się tylko, a zaledwie zamknęły się drzwi za naczelnikiem policji, rzekła:

— A jednak ja go widziałam tu we drzwiach gabinetu.

- - -

— Kogo? - spytał Znicz już śpiący.

— Tego Azjatę! — odparła głosem stanowczym.

— Ach, nie bądźże dzieckiem, Iro! — zawołał, całując bujne jej włosy.

-

Cichy Wersal zaludniał się samolotami posłów wszystkich państw Europy, spadającymi z niebios na jego place lotnicze bądź to pojedynczo, bądź też po kilka naraz.

Niebawem długie sznury tych dziwnych pojazdów ciągnęły ulicami miasta, zdążając ku parlamentowi sfederowanej Europy, a zatrzymawszy się na chwilę przed gmachem, ruszały dalej na wyznaczone sobie miejsca.

W obszernych kuluarach i salach parlamentu zbierał się coraz liczniej tłum różnojęzyczny. Obok rośłych, barczystych Anglosasów i Skandynawów przesuwali się gwarni, ruchliwi, przeważnie śred-

niego wzrostu, przedstawiciele rasy romańskiej; ocieżali Niemcy rozprawiali poważnie w sąsiedztwie wesołej gromadki Polaków, opowiadających sobie najświeższe anegdoty; tu Bułgar targował się o coś z Grekiem; owdzie Rumun przeglądał się w zwierciadle marzącymi oczyma. Gdzie znalazł się Czech, tam padały liczby, albo rozprawiano o muzyce, a Rosjanie zapraszali się śpiewnym głosem do bufetu.

- -

Słowem zebrała się tu cała Europa i, korzystając z chwili wolnej przed posiedzeniem, gwarzyła o wszystkim i o wszystkich lub posilała się w obszernych, widnych salach jadalnych.

Posiedzenie rozpoczynało się o godzinie -ej:, aby przedstawiciele najdalszych krańców Europy mogli na nie zdążyć, co było łatwe do uskutecznienia wobec szybkości samolotów, wynoszącej średnio kilometry na godzinę. I koniec posiedzenia był ściśle oznaczony. Gdy mianowicie wskazówka zegara stawała na godzinie I-ej, dzwonek prezesa parlamentu przerywał wszelkie obrady. Codzienna w czasie sesji praca czterogodzinna wystarczała do załatwienia najżywoźniejszych wspólnych spraw Europy. Jakże bowiem różnił się ten parlament nowoczesny od gadatliwych, pełnych próżności partyjnej i marnujących czas parlamentów t. zw. demokratycznych!

Wiek praktyczności i tu wycisnął swoje piętno. Pojęto nareszcie, że jednym z najważniejszych hamulców, tamujących działalność dawnych rządów,

była marnotrawcza przewlekłość rozpraw parlamentarnych, owe rozstrzyganie najdonioślejszych spraw na podstawie klucza partyjnego, bez względu na szkody, jakie stąd wynikały dla nieszczęśliwych, niby wolnych, „demokratycznych” społeczeństw. Jeden rząd obalał drugi poto tylko, aby usunąć go od władzy, zniweczyć lub zneutralizować poczynania jego najczęściej nie ze względu na dobro ogółu, lecz własnego stronnictwa.

- -

Dziś poznano, że jak do wielkiego interesu handlowego lub przemysłowego mogą należeć bez szkody ludzie wprawdzie rozmaitych przekonań, lecz nie psujący pracy dyrektorów, znających interes i prowadzących go z korzyścią — tak i skomplikowane, wymagające trzeźwości i znanstwa, sprawy każdego narodu, a tem bardziej wielkiej federacji tych narodów, muszą być prowadzone tak, jak prowadzi się wielkie przedsiębiorstwo przemysłowe.

Wiek praktyczności zrozumiał to. Głośno brzmiące hasła, podniecające namiętności, musiały ustąpić miejsca hasłom trzeźwym, żądaniu, aby dwa razy dwa było cztery nietylko wtedy, gdy się to spodoba prawodawcom, spierającym się aż do zaciętrzewienia o swe zasady, o swe platformy, o swe wyznania, lecz zawsze, gdy prawda jest oczywista.

Parlament Europy sfederowanej musiał stać się parlamentem rzeczoznawców, obieranych nie, jak dawniej, pod wzniosłem i słusznem pozornie, lecz

pustem w rzeczywistości, hasłem „przez lud dla ludu”, lecz przez głosowanie pośrednie na kandydatów, przedstawionych przez właściwe instytucje fachowe: ciała naukowe, gremja profesorów szkół wyższych, stowarzyszenia użyteczności publicznej i t. p.

Wreszcie i samochód-helikopter Znicza zjechał przed gmach parlamentu. Wyniosła, piękna

— -

postać posła warszawskiego, a zarazem jednego z twórców federacji, zwracała uwagę nawet wśród tego tłumu, zebranego z różnych krańców Europy. Liczne dłonie wyciągnęły się ku niemu i zwartym pierścieniem otoczyli go poplecznicy wniosku zamknięcia granic Europy dla Azjatów, dopytując o nowiny.

— Bądźcie pewni — odparł — że najupartsze głowy pacyfistów i altruistów przyznają nam słuszność, skoro przedstawię dowody, które świeżo zdobyłem.

Wymówiwszy te słowa, wzbudzające zacieka - wienie powszechnie, przedarł się przez ciżbę przyjaciół i, zamieniwszy jeszcze kilka zdań z kolegami Polakami, skierował się ku wydziałowi spraw azjatyckich.

I tu powitano go ze szczerym szacunkiem. Znicz udał się wprost do gabinetu szefa wydziału, znanego orientalisty.

— Kochany profesorze — rzekł do śpieszącego ku niemu od biurka uczonego — przychodzę do was w sprawie ważnej, wymagającej tajemnicy.

Orientalista skinął poważnie wielką głową o wypukłym czole i spojrzał pytająco na gościa oczyma jasnymi, jakby wyblakłymi, zapraszając go jednocześnie ruchem ręki do stojącej w kącie gabinetu otomany.

Znicz opowiedział przyciszonym głosem zajścia poprzedniego wieczora i, dobywając z teki taśmę metalową, podał ją uczonemu,

- -

Orientalista wziął ją ostrożnie do ręki.

— Muszę — rzekł — sam dokonać przekładu, przyznaję bowiem, że wpływy Azjatów sięgają teraz nawet tu, do biur moich.

Zaniepokoiło to Znicza, ale nie pytał o dowody, profesor bowiem wstał już z otomany, zasunął ciężką zasłonę u drzwi gabinetu i podążył ku fonografowi aparatu telefonicznego, stojącemu za ruchomem przepierzeniem z lekkiej blachy nikłowo-glinowej.

Po chwili przyniesiona przez Znicza taśma znalazła się pod sztyfcikiem błonki fonografu, a gdy profesor nacisnął guzik przyrządu, puszczającego w ruch taśmę, rozległy się wyraźnie dźwięki szybkiej, szeptem prowadzonej rozmowy.

— Chiński! — bąknął profesor do stojącego obok Znicza, notując stenograficznie na przygotowanym arkuszu słowa słyszane.

Upłynęło tak kilka minut. Szept to wznawiał się, to milkł, ustępując miejsca lekkim szmerom, jakby kroków, stąpających po miękkim kobiercu, lub szelestu przierzucanych papierów.

Wreszcie umilkło wszystko. Hieroglify, wyci-
nięte na taśmie, dobiegły końca.

— Ciekawe, ciekawe! — szeptał raczej do sie-
bie niż do Znicza profesor, zdejmując z głowy
półobręcz metalową ze słuchawkami, i już zasia-
dał z arkuszem w ręce przy biurku, zawalonem
foljami.

— A teraz słuchaj, delegacie — rzekł, gdy Znicz

— -

zasiadł obok niego. — Oto przekład słów utrwa-
łonych:

...,„Dobrze sprawił się Tuan... Zamków jakby nie
było... A teraz do roboty... Siadaj Ju... Czandu
rozkazuje ci, śpij!...

W tem miejscu profesor przerwał i, spoglądając
z ponad papieru trzymanego w ręce na Znicza,
rzekł:

— Nie rozumiem, skąd wziął się tu ten wyraz,
bo Czandu oznacza fajkę do palenia opjum: „Czan-
du rozkazuje ci, śpij"! — nie rozumiem.

— Czytaj, czytaj dalej, profesorze — odparł
Znicz gorączkowo, a oczy jego błysnęły uśmies-
chem zagadkowym. — O tym wyrazie pomówimy
później.

Orientalista więc czytał:

...,„Czeng, zaczynaj... Śpi?... Czy widzisz, Ju?...
Widzę... Gdzie? Tu. Otwórz...

Profesor znów przerwał.

— Taśma — rzekł — notuje w tem miejscu
przeciągły szelest i lekki klekot...

Znicz pobladł.

— Odkryli skrytkę! — szepnął przez zaciśnięte zęby.

Lekkie: Ach! wyrwało się z ust profesorowi.

..., „Ten warto sfotografować... Ten także... Prędko... Już...”

— Znów szelest, jakby przewracanych papierów — bąknął profesor, nie odrywając oczu od arkusza, i czytał dalej:

— -

.....I to także... Już wszystko... A ustawy związku niema?... Nie... Szukaj jeszcze... Niema... Może gdzie indziej?... Ju, Czandu rozkazuje ci!... Pomyśl Ju, dobrze pomyśl... Czy niema tu, czy nie czujesz ustawy związku?... Niema?... Nie... W szafce?... Nie... Więc mu jej nie dał ten, który już nie żyje?... Dał... Polak ma ją przy sobie”.

— Słowa — zauważył profesor — wymówione niezwykle głośno, widocznie w uniesieniu.

Znicz nie odpowiadał. Pobladły ze wzruszenia, odtwarzał sobie w umyśle cały przebieg wizyty nocnej. Widział ją teraz w szczegółach najdrobniej szych.

— Już kończę — mówił profesor. — Po słowach: „Polak ma ją przy sobie” dłuższa pauza i znów głos rozkazującego: „Zabrał?... Przekleństwo mu!... Czang, obudź go. Nie mamy tu już nic więcej do roboty... Masz fotograf je?... Mam, Hsu... Wszystko w porządku, na miejscu?... Wszystko... Idziemy”.

Szef wydziału azjatyckiego położył papier na biurku.

— Cóż powiesz na to, delegacie? — spytał, zwracając wzrok z zaciekawiony na gościa. Znicz już ochłonął i, potarłszy ręką wyniosłe czoło, odparł:

— Przedewszystkiem, profesorze, powierzam twej pieczy taśmę i jej przekład, o którego kopję poproszę. Strzeż ich dobrze, skoro mówisz, że ręka Azjatów i tu już sięga... Choć — tu głos jego

- -

zadrzał gniewem — jak widzę z tego, co mi czytałeś przed chwilą, potrafia śledzić nas zdaleka.

— Tak sądzisz? — zawołał profesor.

— Wszak to jasne! — rzekł Znicz. — Wystarczy odtworzenie sobie zająć w moim mieszkaniu. Orientalista spojrział pytająco na posła, a Znicz mówił:

— Było ich trzech: Hsu, widocznie kierownik wyprawy wywiadowczej, Czeng, jego pomocnik a zarazem hipnotyzer, i Ju, medjum. Jakiś Tuan — widocznie elektrotechnik — przypuszczam, że jest to Chińczyk, sprzedający rozmaite drobiazgi, którego zauważyłem kręcącego się od pewnego czasu w domu, w którym mieszkam — zbadał zamki drzwi moich i wkońcu odkrył ich sekret. Z łatwością więc wtargnęli do mieszkania, gdym był z żoną i córką na obchodzie rocznicy „Cudu nad Wisłą”. Na rozkaz Hsu, Czang uspił Ju. We śnie hipnotycznym medjum dojrzało skrytkę w ścianie i odgadło sposób jej otwierania. Hsu przejrzał wszystkie zawarte w niej dokumenty — na szczęście kop je — a kilka z nich sfotografował na po-

czekaniu Czang. Lecz nie znaleźli tego, czego szukali. Bo to ja mam przy sobie.

Przy tych słowach Znicz dotknął palcami kieszeni na piersiach.

— Jak widzisz zatem, profesorze, ten Ju posiada wysoko rozwinięty dar jasnowidzenia na odległość. Wyzyskali to wywiadowcy Azjatów, aby śledzić mnie od chwili, gdy wystąpił ze znanym

ci wnioskiem, i być może, iż widzą mnie nawet teraz tu u ciebie.

— Ale Czandu, delegacie, Czandu! — zawołał orientalista, nie mogąc już pohamować niecierpliwości. — Co ma z tem wszystkim wspólnego fajka do palenia opjum?

— Zaraz usłyszysz, profesorze, bo jeszcze nie skończyłem — odparł Znicz i sięgnął do kieszeni na piersiach, a wyjąwszy z niej zwój papierów, dodał:

— Oto dokument, którego szukali w moim mieszkaniu i nie znaleźli. Dokument niezmierniej wagi. Otrzymałem go przed trzema dniami od naszego wywiadowcy. Niestety, jak widzę z rozmowy, utrwalonej na taśmie, już nie żyje! Widocznie zamordowali go, spostrzegłszy brak dokumentu i domyśliwszy się, kto go zabrał. A szkoda, Azjata ów bowiem służył nam wiernie. Razem z dokumentem dostarczył mi też jego przekładu. Sprawdzisz go, profesorze, i powiesz mi, czy jest ścisły, bo dokument ten muszę przedstawić komisji parlamentarnej. Przekona on nawet najzacię-

szych altruistów.

Profesor wyciągnął chciwie rękę.

— Ach — zawołał. — Więc nareszcie dowiem się, co znaczy owe Czandu!

— Tak — odparł Znicz — oddając mu papiery.

— Jest to symbol, hasło i zaklęcie wielkiego, tajnego Związku palaczy opjum, a dokument, któ-

ry trzymasz już w ręce, zawiera ustawę związku i plan jego akcji.

Szef wydziału azjatyckiego przebiegł szybko oczyma niektóre ustępy dokumentu.

— Przygotowania do najazdu — zawołał głosem przerażonym — zbrojnego najazdu na sfederowaną Europę! Nowy najazd Atylli, czy Czyngischa-na, przy zastosowaniu nowoczesnych środków techniki wojennej. Ależ to straszne!

— Tak jest — szepnął Znicz głosem smutnym — straszne. A myśmy tak długo tolerowali najście ich straży przednich na nasze ziemie. Oszołomione dobrobytem, zmaterializowane masy nie widziały, nie chciały widzieć niebezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ IV.

Dr. CHWOSTEK.

Samolot Znicza, powracającego z Wersalu, zawisł nad Warszawą.

Jeszcze żarzyły się na zachodzie niebios, oświeć

tlając tył samolotu, ale na zenicie już ciemniał olbrzymi strop seledynowy, przechodząc ku wschodowi w szarzyznę zmroku, wśród której tkwiły gdzie niegdzie, jak srebrne świeczki, światełka gwiazd.

Znicz ocknął się z zadumy i wyjrzał przez okno. Głęboka cisza konającego dnia letniego panowała dokoła. Tu i owdzie przesuwały się, jak ćmy, niezmiernie szybko czarne, zgrabne sylwetki helikopterów i ortopterów. Leciały, nie wydając tak przykrego dawnemi czasy łoskotu śmig i silników. To też Znicz drgnął, gdy rozległ się nagle donośny, przeciągły ryk syreny, a prawie jednocześnie przesunął się w pobliżu majestatycznie olbrzymi osobowy okręt powietrzny.

W oknach jego widać było twarze podróżnych, przyglądających się miastu-olbrzymowi i czekających na chwilę lądowania.

Przesunął się potworny kadłub okrętu i wzrok Znicza bez przeszkody już ogarniał miasto. Sieć ulic, placów i zadrzewionych bulwarów, upstrzona plamami ciemnymi parków, ciągnęła się w przezroczystym, niezadymionym powietrzu na wszystkie strony, jak okiem sięgnął. Środkiem przecinała ją, ujęta w karby kamienne, sina jeszcze refleksiem seledynu niebios, Wisła. Kilkanaście rzuconych przez nią mostów robiło z tej wysokości wrażenie kładek na strumyku.

Ale samolot zniżył już lotu i w tejże niemal chwili na ciemniejące miasto trysnęły tysiące sno-

pów promieni lamp słonecznych. Niebiosa po-
ciemniały w tym blasku, zalewającym całą prze-
strzeń widzialną pod samolotem.

Pilot Znicza zwrócił z obojętnością wprawnego
woźnicy, otrzaskanego ze swym zawodem, samo-
lot w kierunku domu posła i po chwili helikopter
opuszczał się pionowo na taras dachu.

Zaledwie koła aparatu dotknęły twardej po-
wierzchni a już Znicz, znużony kilkogodzinnym
siedzeniem, wyskoczył z pojazdu i podążył ku
budce windy. Zatrzymał się jednak, spostrzegłszy
wysoką, szczupłą postać w ciemnym płaszczu, sto-
jącą u balustrady.

Goła głowa stojącego, pokryta bujnym siwym
włosem, zwrócona była ku miastu. Lekki wiatr wie-
czorny igrał srebrzystymi włosami, unosił aż na
ramię siwe pasma brody.

Głowa ta nie drgnęła nawet, gdy samolot stanął

na tarasie, dopiero gdy Znicz podszedł do stoją-
cego i dotknął lekko dłonią jego ramienia, odwró-
ciła się zwolna.

Był to starzec suchy o surowych, jak siekierą
wyciosanych rysach ascety, brwiach nawisłych,
głęboko osadzonych, poważnych oczach i o dłu-
giej, siwej brodzie, zwieszającej mu się rzadkimi
kosmykami na piersi.

Ujrzawszy Znicza, uśmiechnął się przyjaźnie
i, odrzuciwszy połę ciemnego płaszcza, podał przy-
byłemu rękę.

— Z Wersalu? — spytał dziwnie głuchym gło-

sem.

Znicz skinął głową.

— Widziałem już w dziennikach posiedzenie dzisiejsze. Nie przemawiałeś. Sprawa azjatycka jeszcze nie na porządku dziennym?

Znicz znów potwierdził ruchem głowy.

— A porą już, pora! — mówił dalej starzec. — Wszak tam już — tu wyciągnął rękę ku wschodowi — za Wisłą całe miasto Azjatów, a „lud” — wyrażał się dawnymi demokratycznymi kategorjami — tego nie widzi, bo mu z tern wygodnie, bo mu się wysługują...

Znicz spoglądał wzrokiem poważnym w stronę wskazaną.

Złota, słoneczna, nieskończona płaszczyzna miasta, nad którą zwieszający się bezmiar ciemniejących niebios wydawał się anachronizmem, rozbrzmiewała gwarem życia. Niesione wiatrem

nadlatywały dźwięki orkiestr, grających w parkach; to znów wzbijał się w górę, jak balon, odległy gromadny okrzyk rozbawionego tłumu; czasami wyleciał, jak gołąb, z otwartych okien domów dźwięk pojedynczy śpiewu lub śmiechu; syły się perełki rozmów głośnych, wesołych, wszystkiemu zaś wtórował tam w dole poszum chodników ruchomych, sygnałów samochodowych, pociągów elektrycznych, biegnących po szynach...

A starzec stał wciąż z ręką wyciągniętą ku

wschodowi, podobny do posągu grozy. Nagle opuścił rękę.

— Abderyci! — krzyknął głosem piskliwym — Oni i ciebie gotowi zrobić szaleńcem.

— Znajdą w tobie, ojcze, Hipokratesa — odparł, uśmiechając się, Znicz głosem cichym, ale wymawiając wyraźnie każde słowo. — A przytem nie sądź ich tak źle. Choć ogarnięci beztroską dobrobytu, muszą zrozumieć niebezpieczeństwo, gdy im dowiodę...

— Tłum zawsze tłumem! — przerwał zgryźliwy starzec. — Wieki mijają, a jedno i to samo hasło brzmi ponad wszystkie inne: „Panem et circenses” lub „Ukrzyżuj!”

Nie zmienił się tłum i dzisiaj. Daliście masom szkoły, daliście dobrobyt i beztroskę. Nikt nie kłopoce się dziś o jądło jutrzejsze. Prawda! Ale — tu wskazał palcem kościstym na strzeliste wieże

— -

świętyń, ogarnięte złotem światłem lamp słonecznych — ale tam — cisza!

Zaśmiał się gorzko i przycichł. Znicz słuchał niecierpliwie, a starzec, ująwszy go kościstymi palcami za rękaw, jakby w obawie, aby mu się nie wymknął, i wpatrzony w jego oczy, mówił dalej tym dziwnym, głuchym głosem, zdaniami zagadkowymi :

— A jednak nieraz dziecko uderzy mędrca mądrością słowa, pozostawi bez odpowiedzi...

Kapitał ducha, to nie emanacja tłumy...

Gdy tłumowi zdaje się, że rządzi, wówczas wła-

śnie jest niewolnikiem, bo rządzi się nie rozumem, lecz namiętnością...

— Ależ, ojciec — przerwał zniecierpliwiony już na dobre Znicz — wszak czasy ludowładztwa minęły! Wszak mamy teraz rządy mocne, ludzi wybranych, rządy rozumu.

Starzec chwycił chciwie oczyma słowa z warg Znicza.

— Tak — zawołał — ale kultury ducha brak, za leniwi na to! A tylko duch zwycięża.

Znicz spojrzał pytająco na dziwaka i, choć śpieszył się do żony i córki, chciał odpowiedzieć, gdy uszu jego doleciał szum nadlatującego samolotu. Samolot stanął już na dachu, a z wnętrza pojazdu wyłonił się naczelnik policji miejskiej.

— Przybyłem — rzekł — aby sprawdzić osobiście, czy technicy moi wywiązali się dokładnie z otrzymanego zlecenia. Wiedząc przytem, że

wróciłeś już z Wersalu, pilno mi było poznać treść rozmowy, utrwalonej na taśmie fonograficznej, którą zabrałeś z sobą. Chodzi mi o to tern bardziej, że dziś z rana zaszedł tu wypadek, który, być może, stoi w związku z twoją sprawą.

— Cóż się stało? — spytał Znicz zaciekawiony.

— Dziś z rana wyłowiono z Wisły zwłoki znanego ci wywiadowcy naszego, Szuna. Widocznie zamordowano go na rzece lub na jej brzegu i wrzuciono do wody. Postrzał w tył głowy. Zabito go zdradziecko, albo w pościgu. I nie dla rabunku, bo

pieniądze zostały w kieszeniach.

— O śmierci jego już wiem — rzekł Znicz spokojnie.

— Skądże? — spytał Parker. — Czyżby już telefonowano ci o tem do Wersalu?

— Nie! Ale zgadłeś, naczelniku, że morderstwo to stoi w związku z moją sprawą. Dowiedziałem się o niem z owej taśmy. Chodźmy!

Tu skinął też na starca, który, stojąc z boku i nie widząc warg rozmawiających, spoglądał, jak człowiek głuchy, tona jednego, to na drugiego wzrokiem pytającym.

Istotnie, dr. Chwostek był głuchy. Niegdyś lekarz, wzięty i namiętnie interesujący się postęпами wiedzy, ogłuchł zupełnie wskutek wybuchu gazów, nad którymi robił doświadczenia. Było to jeszcze w dwudziestym pierwszym wieku. Rozpoczęte w dziewiętnastym wieku przez Brown Sequarda, a następnie wznowione w dwudziestym

przez Steinacha, Woronowa i innych uczonych próby zwalczania choroby starości osiągnęły wkońcu wyniki zupełnie konkretne, dostępne wszystkim, jak inne wynalazki ducha ludzkiego. I dr. Chwostek poddał się raz temu leczeniu w nieokreślonej nadziei odzyskania też słuchu. Niestety, nadzieja ta zawiodła. Dr. Chwostek pozostał głuchy. Zaniechawszy wskutek tego kalectwa praktyki lekarskiej, tem bardziej poświęcił się badaniom naukowym. Ale teraz nastąpił zwrot w jego upodobaniach. Nie zajmowały go już tyle po-

stępy techniki, na które cały niemal świat zwracał uwagę tak pilną i którym poświęcał wszystkie swe wysiłki — ile sprawy ducha ludzkiego, ile ukryte jeszcze, lecz wyłaniające się coraz szybciej i wyraźniej wśród wybranych, potęgi psychiczne. Im poświęcił się całkowicie.

Kalectwo uczyniło go zgryźliwym i małomównym i, choć z ruchu warg osób przemawiających doskonale rozumiał rozmowę, to jednak rzadko w niej uczestniczył, a jeżeli czasem głos zabrał, wówczas przemawiał zdaniami oderwanymi, aforyzmami, pozornie nie mającymi często związku z tem, co się mówiło, a stanowiącymi jakby wyładowanie myśli w mózgu jego krążących i dotkniętych tajemniczą iskrą skojarzenia wyobrażeń z rozmową, którą w jego obecności toczono. Z biegiem lat powróciła znów starość, ale nie chciał już słyszeć o ponownem usunięciu tej „choroby”, o odmłodzeniu się raz jeszcze. Krążył więc

- -

ten zgryźliwy, dobrowolny starzec wśród ludzi, podziwujących z jego dziwactw.

Powszechnie też nazywano go ojcem lub dziadkiem, o co się wcale nie gniewał, wiecznie zajęty teraz dociekaniem psychicznymi.

I Znicz nazywał go ojcem, lecz w ustach posła wyraz ten miał brzmienie serdeczne, od dziesięcioleci bowiem łączyły ich stosunki zażyłej przyjaźni. Mieszkając w jednym domu, spotykali się

często i schodzili na gawędy, z których wywiązy-

wały się niejednokrotnie zacięte dysputy, praktyczny bowiem, choć głęboki i dalekowszycący umysł Znicza nie mógł się godzić z zupełnym abstrahowaniem przez Chwostka potęgi materji od potęgi ducha.

Te wszakże spory sierdziły starca tylko na kilka godzin lub dni, poczem pomiędzy dziwakiem a posłem warszawskim do parlamentu Europy sfederowanej nastawała dawna harmonja.

I teraz więc na zaproszenie Znicza ruszył za nim i Parkerem do windy.

Panie oczekiwały już w jadalni z wieczerzą.

Na widok wchodzących Ela zerwała się, aby powitać ojca i powiększyć liczbę nakryć na stole. Pani Ira wyciągnęła ku przybyłym rękę.

Pomimo zrzeszenia się ludów i zaniku pojęć o władzy absolutnej, pozostała na świecie jedna monarchini wszechwładna i czczona przez miliony: moda. Kapryśnica ta nakazała teraz kobietom ubierać się w suknie rzymskie.

Pani Ira i Ela zastosowały się do tego nakazu. i trzeba przyznać, że uroczo wyglądały w białych, wełnianych stolach, ściągniętych lekko błękitnymi paskami, ozdobionych u szyi i rękawów błękitnymi również szlakami z wyhaftowanymi na nich srebrem kwiatami. Wyglądające z pod stoli również błękitne, safjanowe cizemki, starorzymskie calceae, uzupełniały ten strój najmodniejszy.

Pod rączkami Eli szybko stanęły na białym

obrusie jeszcze dwa nakrycia niklowo-glinowe, połyskujące w świetle lampy słonecznej, a w ustawionym na elektrycznej maszynie imbryku zaszumiała woda na herbatę.

— Dziękujemy — rzekła pani Ira do Parkera — za opiekę i szybkie spełnienie obietnicy. Rozporządzenie. rzeczywiście, przyrządami zadziwiającymi. Ale też — dodała, a na pięknej, poważnej twarzy wykwitł uśmiech zakłopotania — jesteśmy zupełnie pod waszą kontrolą.

— Bynajmniej — zaprotestował naczelnik policji. — Niedyskrecja nasza nie sięga tak daleko. Wystarczy rozłączyć przyrządy, aby wzrok nasz i słuch nie mogły tu dotrzeć.

— Ale w takim razie — wtrąciła Ela, podając gościom zimne mięsna na połyskującym półmisku — i nieproszeni goście mogą je rozłączyć?

— Nie! — odparł Parker. — Przy każdym rozłączaniu odzywa się dzwonek alarmowy i utrwała

się na płycie fotochemicznej postać rozłączającego, a my czuwamy.

Pani Ira spytała męża o nowiny z Wersalu i potoczyła się rozmowa o sprawach bieżących. Dopiero gdy poznikały ze stołu nakrycia i popijano już tylko aromatyczną herbatę, poruszyła sprawę, która nie dawała jej spokoju przez dzień cały.

— Cóż wyczytaliście na taśmie? — spytała męża głosem zdławionym przez wzruszenie.

Słyszając to pytanie, Ela przysunęła się do matki,

jakby szukając jej opieki, wiedziała już bowiem o zajściach nocy ubiegłej.

I zetknęły się bujnemi włosami obie piękne główki, matki i córki. Różnicę wieku pomiędzy nimi wskazywały u jednej pełniejsze kształty i powaga, u drugiej — wdzięk rozkwitającego dopiero życia.

Rozszerzone ciekawością źrenice zwróciły się ku Zniczowi.

Doktór Chwostek chwycił wyrazy z warg rozmawiających. Dotychczas milczał. Nagle spytał głuchym głosem:

— Taśma?

Przypomniało to Zniczowi, że przyjaciel jego nie wie jeszcze o jej pochodzeniu.

Zwrócił się więc ku starcowi i opowiedział znane reszcie obecnych zajście.

W głęboko osadzonych oczach Chwostka znać było wzrastające zaciekawienie.

— A oto — mówił dalej Znicz, wydobywszy

z kieszeni kopję przekładu, otrzymaną w Wersalu — co naczelnik wydziału wschodniego przeczytał na taśmie.

— Rozumiecie teraz, o co im chodziło — kończył, skreśliwszy obraz nieproszonej wizyty. — Szukali tu zdobytej przeze mnie ustawy tajnego Związku palaczy opjum. Na szczęście, miałem ją przy sobie.

— Jak to dobrze się stało! — zawołała Ela, a twarz jej promieniała radością.

Pani Ira milczała. Siedząc nawprost drzwi, położyła rękę na stole i machinalnie kręciła w palcach serwetę. Oczy jej, utkwione w przestrzeń, jak u osoby zasłuchanej lub błądzącej myślami zdaleka od otoczenia, zamglone były i wpółsenne. Nagle wyprostowała się w krześle, rozwarła szeroko powieki, a z pobladłych warg wyrwał się szept pełen przerażenia:

— On tam jest, on tu zagląda!

Drzwi oświetlonego przedpokoju stały otworem i wyraźnie widać było każdy jego szczegół. Oczy siedzących przy stole zwróciły się automatycznie w tę stronę.

Ale przedpokój był cichy i pusty. Wówczas wzrok siedzących powrócił zdziwiony do pani domu.

— Znów ten Azjata? — spytał zaniepokojony Znicz, zajmujący miejsce naprzeciwko żony, i powstał, aby do niej podejść. Parker patrzył na panią Irę wzrokiem zimnym i badawczym, osłupiała

zaś Ela stała się podobna raczej do marmurowego posagu, niż do istoty żywej.

Jeden tylko dr. Chwostek, wyczytawszy z warg pani Iry wyrazy tajemnicze, nie zwrócił się wcale ku drzwiom, do których siedział zwrócony plecami, lecz utkwiał olśniony, jakby przez wielkie odkrycie, wzrok ciemnych swych, głęboko osadzonych oczu w twarzy pani Iry. Po chwili, przerwawszy milczenie, szepnął niemal uradowany:

— Nie przypuszczałem, nie przypuszczałem!

A gdy Znicz zerwał się z krzesła, aby podejść do żony, długa, koścista ręka doktora wyciągnęła się przez stół ruchem wolnym, ostrożnym, wysuwając się jak wąż z rękawa, i wreszcie spoczęła lekko na białej ręce, ściskającej kurczowo serwetę.

W tejże chwili pani Ira przechyliła się wtył i przymknęła oczy.

Ela, spoglądająca zdumionym wzrokiem na ruch ręki doktora, krzyknęła lekko na widok omdlenia matki, Znicz zaś rzucił się ku żonie, lecz Parker zagroził mu drogę wyciągniętą ręką, prosząc

szeptem:

— Nie przeszkadzaj, nie przeszkadzaj!

Znicz, powstrzymany silną prawicą naczelnika policji, stał, jak wryty, tymczasem zaś Chwostek, z którego oczu zdawały się sypać iskry, mówił rozkazująco do śpiącej:

— Mów, Czy widzisz, gdzie oni są?...

Tego samego wieczora w obszernej, wybielonej wapnem, prawie nieumeblowanej izbie małego domku na krańcach barwnej, lecz brudnej, pomimo wszelkich wysiłków władz miejskich, i krzykliwej dzielnicy azjatyckiej na prawym brzegu Wisły siedzieli na tapczanach Hsu, Czeng i Ju. Przed ustawionym u północnej ściany izby ołtarzykiem domowym, przybranym barwnymi wycinkattii, chorągiewkami i sztucznymi kwiatami,

tlili się, utkwione w skrzynce, napełnionej piaskiem, wonne patyczki czerwone, roznoszące woń ckliwą w upalaniem, cichem powietrzu.

Obecni w izbie, przybrani w obszerne bluzy chińskie, spodnie, związane u kostek, i obcisłe pantofle o grubych filcowych podeszwach, oczekiwali widocznie kogoś, bo Hsu, schylony na tapczanie, podniósł wreszcie twarz żółtą, połyskującą, spojrział skośnemi oczyma na towarzyszków i rzekł:

— Powinien tu już być.

I znów cisza zaległa pokój.

Po chwili jednak przerwało ją lekkie stuknięcie.

Hsu zerwał się z tapczanu, podbiegł ku drzwiom i przyłożył ucho do nich.

— Czandu! — rozległo się za drzwiami.

Na to hasło Hsu otworzył drzwi, cofnął się i, schowawszy dłonie złożone na piersiach w fałdach obszernych rękawów, zgiął się wpół pokornie.

Czang i Ju poszli za jego przykładem.

— Pozdrawiam cię — rzekł Hsu do wchodzącego wysokiego Azjaty o ostrych, energicznych rysach twarzy, ubranego w wytworny strój europejski — pozdrawiam cię, Futse, pozdrawiam cię, tchnienie wschodu, jako rosę odżywczą, jako tego, który jest panem naszym.

— I cóż nowego powiecie mi wierni Palacze opjum? — spytał wchodzący, idąc ku stołowi na środku pokoju i siadając na jednym ze stojących przy nim stołków.

— Dowiesz się, Futse — odparł Hsu — rzeczy złych i dobrych. Dobrych, bośmy usunęli panterę, która nas zdradziła; złych, bo ciało jej wpadło do rzeki, na rzece bowiem stoczyliśmy z nią walkę, i może być wyłowione; złych, bośmy nie znaleźli u posła wykradzonej nam ustawy...

Ten, którego nazwano Futse, to jest mistrzem, zmarszczył brwi.

— Gdzie jest? — spytał krótko.

Znicz nie zostawił jej w domu. Jasnowidzący Ju, wierny twój, jak i my, pacholek, powiada, że poseł polski zabrał ją do Wersalu.

Przy tych słowach Hsu schylił pokornie głowę, a towarzysze jego skłonili się jeszcze głębiej. Przybysz milczał, jednak z błysku jego zielonych, tygrysiich oczu i ruchu mięśniów szczękowych znać było, że przeżuwa wybuch gniewu.

— Nowiny złe — rzekł wreszcie głosem stłumionym — przewyższają stokrotnie to, coście mi

dobrego powiedzieli. Ale i śmierć pantery nie zmaże winy waszej, żeście zawczasu nie poznali się na kręcącej się wśród was zdradzie. Powinniście, jak ów zdrajca, zdechnąć, nie doczekawszy chwili...

— Twoja wola, Futse! — jęknął Hsu pokornie, ale przybysz nie zważał na ten okrzyk i mówił dalej :

— Jasnowidzący Ju nie widział okiem ducha nic więcej?

— Owszem — odparł Hsu. — Z rana posłaliśmy ducha jego tam, do mieszkania Znicza. Widział

przelatujący samolot i człowieka w mundurze wchodzącego do mieszkania posła. Poznał w nim naczelnika policji.

— Czy Znicz go wezwał?

— Tak być musiało, bo rozmawiali o nas.

Futse zerwał się ze stołka.

— Więc nawet śladów nie potrafiłście zatrześć!

— zawołał groźnie.

— O, Futse! — odparł z westchnieniem Hsu — wąż pozostawia znaczniejszy ślad w trawie, niż my, spełniając obowiązki nasze. W jaki sposób Znicz odkrył, żeśmy byli u niego, to tajemnica dla nas. Jasnowidzący Ju wie tylko, że o nas rozmawiali, Znicz pokazywał im...

— Któż był tam jeszcze? — spytał niecierpliwie przybysz.

— Jasnowidzący Ju poznał żonę Znicza. Poseł pokazywał im drut błyszczący i mówił, że każe go odczytać w Wersalu...

— Drut błyszczący? — powtórzył Futse, a po chwili wybuchnął, zaciskając pięści: — Psy głupie! Tajemnicą dla was jest rzecz najprostsza! Nie zajrzeliście do telefonu, a telefon utrwalił na taśmie waszą rozmowę!

Hsu, Czang i Ju zadrżeli.

Wszak to tak jasne, a oni nie pomyśleli o tem.

Milczeli więc przerażeni. Wreszcie Hsu szepnął:

— O, Futse! Mędrców jest mało, a tyś między nimi. Miej zmiłowanie nad głupimi psami!

Futse świdrował ich wzrokiem przenikliwym.

— Mów dalej ! — rozkazał.

— Jasnowidzący Ju byłby widział więcej, ale ona go spostrzegła...

— Kto?

— Żona posła.

— Spostrzegła ducha? — szepnął Futse zdumiony.

— Tak, ducha. I Ju ocknął się odrazu.

Futse milczał, zapatrzony przed siebie. Wreszcie otarł jedwabną chustką perlisty pot z czoła i spytał już głosem cichym, łagodnym:

— Znicz musiał już wrócić z Wersalu. Czy duch jasnowidzącego Ju mógłby nam powiedzieć, co się teraz dzieje u posła polskiego?

Cisza zaległa izbę. Mrok nocny ogarnął ją już zupełnie. Tylko przed ołtarzykiem Buddy migotało światełko lampki, napełnionej olejem wonnym. Słabe jej promienie zaledwie uwydatniały w mroku blado-żółte twarze Azjatów i rozniecały

czasem w ich oczach światełka zielonawe, jak u wilków.

Woń patyczków, tlejących przed ołtarzykiem, oraz oliwy w lampce, mieszała się z wyziewami ciała i odbrzaskiem opjum w tej izbie, zamkniętej szczelnie, pomimo upalnego wieczora letniego.

— Czy możesz, Ju? — powtórzył Hsu pytanie mistrza.

— Jak rozkażesz, panie! — odparł głosem mocnym zapytany, którego postać wyprostowała się nagle i jakby zeszywniała w oczekiwaniu.

Po chwili słabe światełko lampki odbiło się czerwono na powierzchni połyskującej kuli, ustawionej cicho przez Hsu na stole.

Futse odsunął się, a ręka jego, która przy tym ruchu dotknęła kantu stołu, zadrżała widocznie, bo stół i stojąca na nim kula zadygotały lekko.

Ju zasiadł przed kulą i, ruchem sztywnym skłoniwszy głowę, wpatrzył się w migoczącą niewyraźną powierzchnię kulistą.

I znów cisza głęboka zaległa izbę.

Wreszcie stojący obok stołu Hsu spytał głosem cichym, lecz stanowczym:

— Co widzisz, Ju?

Przez chwilę zapytany nie odpowiadał, poczem z gardła jego wyrwały się dźwięki ochryple, poszarpane przerwami:

— Jasno jest... bardzo jasno... blask oczy razi...

Siedzą przy stole... Raz, dwa, trzy... pięć osób...

Jeden bardzo stary z siwą brodą... drugi - poseł,

trzeci — naczelnik policji... dwie kobiety... ona i druga... podobna do niej... młodsza... córka...

Ju zamilkł. Dyszał tylko ciężko.

— Mów, Ju — odezwał się Hsu po dłuższej chwili oczekiwania — co widzisz, co słyszysz jeszcze? Czandu nie przynosi ci widzeń błogich?

Zahipnotyzowany nie odpowiadał. Wreszcie z ust jego wyrwało się syknięcie bolesne.

— Oni wiedzą — szepnął głosem ochrypłym — o wszystkim. Wstęga im powiedziała, Znicz odczytał... I panterę znaleźli w rzece... I Tuan wy-

mieniony...

Nastąpiła przerwa brzemienna niepokojem. Twarze słuchających błyszcząły w słabych promieniach lampki, jak mosiądz.

Nagle z ust, schylonych nad kulą, wyrwał się szept, pełen przerażenia:

— Stary wyciągnął rękę... trzyma ją... rozkazuje... ona, ona...

Ju nie mógł widocznie mówić dalej, bo z gardła jego wyrwał się tylko charkot niewyraźny. Czołm dotykał niemal kuli, a ręce chwyciły za brzeg stołu. Przez chwilę słychać było tylko trzeszczenie stołu i stołka. Całe ciało Ju wiło się konwulsyjnie.

— Ona... ona tu idzie! — zawołał wkońcu i zerwał się ze stołka.

Płomieniem gwałtownym zdawał się w izbie ciemnej ten okrzyk.

Ale płomień zgasł i huczał tylko echem w uszach.

Twarz Futse znikła gdzieś w ciemności, Hsu cofnął się o krok od stołu i patrzył osłupiały, a Czang skulił się i drżący zwrócił twarz ku ołtarzykowi. Ju stał teraz pośrodku izby, wpatrzony w przestrzeń i wyciągnąwszy przed siebie ręce.

— Ona tu idzie... — ona tu jest! — szeptał teraz zupełnie innym głosem, miękkim i jakby pokornym. — Idzie do mnie... do mnie...

Ciche, jakby błagalne łkanie perliło się po izbie. Zamarło jednak nagle, a Ju cofał się, rozstawivszy dłonie, jak dla odparcia zjawiska. Wreszcie

zachwiał się i runął na podłogę.

Hsu poskoczył ku ścianie i nacisnął guzik.

Z pod pułapu trysnęło światło, przyćmione zasłoną z jedwabiu.

Ju zamilkł już zupełnie i leżał bezwładny. Na stołku, przypartym do jednego z tapczanów, siedział Futse. Na połyskującej twarzy jego gasł wyraz przerażenia, ustępując miejsca wściekłości.

Czang, klęczący dotąd kornie u ołtarzyka i powtarzający szybko świętą formułę: Om, mani padme hum! — podniósł się i spoglądał trwożnie na gościa. Hsu zasuwiał firanki u okien.

Futse powstał wielki i groźny.

— Psie podły! — warknął, podszedłszy do leżącego i kopnąwszy pogardliwie ciało bezwładne.

Hsu schylił się nad leżącym i cucił go, dmuchając w twarz.

— Zaprzestań! — syknął Futse. — Niech zdycha! On nam już niepotrzebny. Ducha jego opętała

djablica. Mówił, że ona tu jest. Może słucha przez niego. Precz z nim. Precz, a szybko!

Ju ocknął się już i, oparty jedną dłonią o podłogę, drugą tarł czoło. Głowa przechylała mu się to wtył, to naprzód. Widocznie jednak dosłyszał ostatnie słowa mistrza, bo wpatrzył się w niego szeroko rozwartymi oczyma, podźwignął się, oparł plecami o ścianę i sunął wzdłuż niej ku pobliskim drzwiom, blady, parszając zlekka, jak kot.

I było coś strasznego, coś hipnotyzującego w tej postawie i w tym ruchu kocim, bo ani Futse, ani

Hsu i Czang nie ruszyli się z miejsc. Ju zaś otworzył wyciągniętą w bok ręką drzwi i znikł za nimi. Futse westchnął, jak ze snu obudzony.

— Co to było, Hsu? — spytał. — Sen?

Hsu skłonił się głęboko.

— O Futse — szepnął — prawdę mówią usta twoje. To musiał być sen ciężki. Biada nam, jeżeli nie usłuchamy ostrzeżenia...

— Czandu! — zakończył Futse już zimny i spokojny.

Hsu i Czang schylili przed nim głowy niewolniczo.

Powstrzymany silną ręką Parkera, Znicz utkwił wzrok niespokojny w żonie.

Na twarzy pani Iry rozlał się wyraz błogości, powoli jednak na białym czole zarysowały się

zmarszczki, jak przy natężeniu myśli. Rozdwojona jej istota przemówiła:

— Za Wisłą — szeptały usta, — na krańcu miasta... pokój ciemny... nie znam ich... Ten, który tu był, wrócił... opowiada...

Śpiąca zamilkła.

— Czy słyszysz, co mówi? — spytał głucho dr. Chwostek, wciąż trzymający rękę kościstą na białej dłoni pani Iry.

Czoło uspiionej znów się zmarszczyło pod wpływem natężenia myśli.

— Opowiada — odparła głosem sennym — co widział... Nie rozumiem... Słyszę... Parker... Tuan. Znicz poblądł, a Parker zmarszczył brwi gniew-

nie.

— Trzeba temu przeciwdziałać! — szepnął prawie mimowoli.

Dr. Chwostek, wpatrzony w twarz pani Iry, nie słyszał oczywiście tego cichego okrzyku, a jednak musiał dojść w tej samej chwili do podobnego wniosku, bo gdy pani Ira ponownie zamilkła, z ust jego padł głuchy, mocny rozkaz:

— Każ mu, aby nic więcej nie słyszał i nie widział! On jest pod wpływem twoim, on musi cię słuchać, on ma być niewolnikiem twoim!

Na mocne te słowa w postawie zahipnotyzowanej zaszła zmiana raptowna: Pani Ira wyprostowała się w krześle. Twarz jej, piękna regularnością rysów Junony, przybrała wyraz majestatu królewskiego, a łuki brwi ściągnęły się dumnie.

Pomimo niepokoju, Znicz spoglądał na żonę z zachwytem. Nigdy podobnego majestatu w niej jeszcze nie widział. Odkrywał przed sobą kobietę

całkiem nową, czarującą wdziękiem nieznanym, przed którą serce jego chyliło się kornie. I wdzięczny był nawet w tej chwili starcowi za tę rewelację.

Ela również zdumionem okiem przypatrywała się matce. Wogóle uczucie przestachu, którego doznała, gdy dr. Chwostek wywołał u pani Iry sen hipnotyczny, ustąpiło miejsca zaciekawieniu. Młoda, zdrowa, żądna wrażeń, przyglądała się z bijącym sercem niespodziewanemu widowisku, za-

pominając, zarówno jak ojciec, o niepokoju. Nawet Parkera zasugerowała majestatyczna postawa małżonki posła warszawskiego. Czuł, że gdyby ta kobieta zwróciła się teraz do niego z najszałemszym rozkazem, to gotów byłby spełnić go bez wahania.

Jeden tylko dr. Chwostek pozostał zimny, skuł piwszy całą moc ducha w oczach, które zdawały się razić śpiącą falami piorunów rozkazu kategorycznego.

Tak niesłychana moc cząsteczek radu rozkłada piorunami swemi jądro atomu pierwiastków. Syczała woda w imbryku na maszynie elektrycznej, zegar cykał poważnie, zdawało się, że w jasno oświetlonym mieszkaniu niema nikogo. Ciszę przerwał głos dra Chwostka.

— W imię zdrowia i spokoju śpiącej — rzekł

starzec stanowczo — żądam, aby nic o tem, co tu zaszło, nie doszło do jej świadomości. Gdy się obudzi, zdawać jej się będzie, że zasnęła chwilowo pod wpływem znużenia. Niech trwa w tem przekonaniu, przynajmniej do czasu. Tego wymagam. Wymówiwszy te słowa, puścił ruchem wolnym rękę pani Iry. Oczy jego zagasły.

W tejże chwili pani Ira westchnęła lekko i, ociekawszy się, spojrzała zdziwiona po obecnych. Na twarzy jej zarysował się wyraz zakłopotania.

— Ach, przepraszam! — zawołała, uśmiechając się prosząco. — Nie spodziewałam się, aby dzi-

siejsze całodzienne oczekiwanie na nowiny tak mnie wyczerpało nerwowo. I wyobraźcie sobie, zdawało mi się, widocznie pod wpływem rozmowy, że jestem nie tu, lecz w otoczeniu Azjatów i że ten, którego widzenie miałam dzisiaj, przypadł mi do nóg... Jeszcze raz przepraszam. Może przeszkodziłam panom w rozmowie?

— Bynajmniej! — zawołali jednocześnie Znicz i Parker, a Ela przysunęła się do matki i, obejmując jej szyję, przycisnęła wargi do twarzy matczynej.

— Zmęczona jesteś matuchno — rzekła czule. — Trzeba odpocząć.

Parker i dr. Chwostek powstali.

Po chwili znaleźli się wszyscy trzej na terasie dachu, gdzie oczekiwał samolot naczelnika policji.

— Wybacz, pośle, to, co się stało — rzekł wów-

czas dr. Chwostek do Znicza — ale wobec sytuacji i, jaka się wytworzyła, nie miałem chwili do stracenia. Nie przypuszczałem, aby pani była tak wrażliwa. Zrozumiałem, że mam broń w ręku, której użyć należy natychmiast. Azjaci śledzą twe kroki, pośle, za pośrednictwem medjum. I oto znajduję pod ręką w chwili krytycznej medjum wyższe od nich duchowo. Czuję, że zapomocą niego zniweczę dalsze kroki wroga. Przyznasz, iż nie mogłem zwlekać. Resztę widziałeś. I pewien jestem, że ten, któremu kazano was szpiegować, nie podda się już rozkazom współbraci. Ba, jest teraz niewolnikiem pani.

— Jesteś tego pewien, doktorze? — spytał Parker.

— Najzupełniej! — odparł spokojnie starzec, patrząc na wargi mówiącego. — Jeżeli wasze mechaniczne aparaty bezpieczeństwa nie zawiodą, to pod tym względem sparaliżowaliśmy zabiegi Azjatów.

Znicz milczał. Po chwili jednak, nie mogąc widocznie opanować uczucia niepokoju o żonę, trącił lekko doktora.

Starzec spojrział na niego.

— A Ira? — spytał.

— O niczem wiedzieć nie będzie. Zresztą, ja teraz czuwam nad nią.

ROZDZIAŁ V.

FATALNA WYCIECZKA.

Rozkołysane dzwony świątyń radośnie wydzwaniały odwieczne „Jam jest, który jest!” Bo, pomimo przemiany tak wielkie, pomimo postępu, nagromadzającego w stosunku geometrycznym zdobycze wiedzy i tak hojnie szafującego niemi wśród ludzkości — komun ja człowieka z Panem Świata nie przestała istnieć. Zmieniły się formy, pozostała treść. Treść może głębsza nawet i więcej odczuta, niż ongiś przed wiekami, ale tylko przez wybranych, bo masy podlegały złudom wieku praktyczności, zleniwiały dla spraw ducha, o ile nie chodziło o jaskrawe objawy metapsychiki, notowane tak często przez prasę.

Piękna, upalna niedziela letnia wywabiła od

wczesnego ranka tłumy z domów stolicy. Setki samolotów szybowały szlakami powietrznymi, rozlatując się we wszystkich kierunkach, przeważnie zaś na chłodne wybrzeża Bałtyku i morza Północnego, z tysiącami zwolenników kąpieli morskich. Od czasu do czasu wzbijały się w powietrze z dworców żeglugi powietrznej balony ste-

rowe, których siłę nośną tworzył już nie ów niebezpieczny, używany jeszcze przed wiekiem, gaz oświetlający, czy też wodór, lecz niepalny hel — a ogromne ich cielska sunęły poważnie poniżej samolotów, rozbrzmiewając okrzykami i śpiewami setek uczestników wycieczek.

Ale i na powierzchni ulic było rojno i gwarno. Środkiem warczały cicho chodniki ruchome, wypełnione tłumami. Na jezdni, umieszczonej poniżej, pędziły samochody — samoloty. A nawet chodniki boczne przedstawiały w tej godzinie porannej widok ożywiony, kończyły się bowiem nabożeństwa w świątyniach.

Snuły się więc i tu gromadki barwne. Dziewczęta w zgrabnych białych, różowych lub błękitnych tunikach, panie starsze w stolach najrozmaitszych barw i fasonów. Moda rzymska stała się katastrofą dla kapeluszniczek, gdyż nie licowały z nią najmniejsze nawet kapelusze. I nie dziw, że świat kobiecy chętnie zgodził się na taką tyranję mody. Rozwój eugeniki, ćwiczenia fizyczne, warunki higieny takie, o jakich nie miały wyobrażenia pokolenia dawniejsze, dały kobietom włosy bujne,

lśniące, mocne, któremi każda z pań szczyć się była rada. Gdzie niegdzie więc tylko lekkie palje lub lacerny-), opadając wdzięcznymi fałdami na ramiona i kibić, osłaniały przed słońcem uczesania na sposób grecki i rzymski. Przeważnie jednak

-) Pallium, lacerna — zarzutki.

pięknych, bujnych włosów, ozdobionych kwiatem rozkwitłym, nie kryła przed słońcem żadna zasłona.

I brzydsza połowa rodu ludzkiego podlegała, pomimo wszystko, kaprysom mody. Radość życia zniosła monotonną szarzyzną barw, tak charakterystyczną w dziewiętnastym i dwudziestym stuleciu. Dziś, w wieku dobrobytu i beztroski, nie unikali mężczyźni barw żywych w ubraniach.

Gdy jednak kapryśna królowa moda kazała przywdziać kobietom strój starorzyski, u mężczyzn, bardziej konserwatywnych pod względem zmian w ubraniu, znać było jeszcze wpływy wielkiej wojny światowej. Uznany wówczas za najpraktyczniejszy krój mundurów wojskowych zaznaczał się jeszcze wyraźnie, choć rozpaczliwa szarzyzna znikła. Brak sztywnego kołnierza i szyja obnażona nie raziły już nikogo.

Barwny zatem, w całym tego słowa znaczeniu, tłum śpieszył chodnikami, by użyć zabaw niedzielnych. Tylko odwieczne granatowe lub szare ubrania żółtolicznych Azjatów, tworzyły od czasu do czasu przykre plamy na tym tle tęczowym.

Pani Ira i Ela wracały do domu z nabożeństwa. Nie użyły ani samochodu, ani samolotu z powodu bliskości świątyni, a przy tem interesował je zawsze obraz ruchu ulicznego, cząstkę którego same stanowiły.

Ela ujęła matkę pod rękę i, przyciśnięta do niej, gwarzyła wesoło.

- —

— Jules — mówiła — obiecał przyjść dzisiaj około południa. Zaprosiłam go na śniadanie.

— Więc wrócił? — spytała pani Ira, usłyszawszy imię narzeczonego córki, a usta jej rozchyliły się uśmiechem zadowolenia.

— Tak, wczoraj! — zawołała Ela, dodając zaraz z dumą w głosie: — Ukończył już budowę olbrzymich transformatorów nad ujętym w karby wodospadem Wiktorji, tak, że już cała Afryka środkowa ma zapewnioną energję elektryczną... Po śniadaniu zabiera mnie samolotem na wycieczkę. Pojedziesz z nami, matuchno?

— Niestety, nie mogę! — odparła pani Ira. — Wybieramy się na garden parły do prezydenta. Będzie tam cały świat dyplomatyczny. Ojciec twój musi tam być.

— Ach — skrzywiła się Ela. — Nudne przyjęcie urzędowe! O ile weselej byłoby ci z nami, matuchno.

— Wierzę — westchnęła pani Ira.

W tej chwili znalazły się na przecięciu dwu ulic, i przystanąły na chwilę, zanim sygnał policyjny nie zapewni bezpiecznego przejścia przez jezdnię,

gdy uszu ich doleciał szept wyraźny:

— O, pani — mówił szybko głos tajemniczy —
pilnuj córki, oni chcą ją porwać!

Obróciły się obie zdumione. Niewątpliwie sio-
wa te wymówił Chińczyk. Zdradzał to akcent,
jak również okoliczność, że mówiący nie wymawiał

głoski r. Śród przechodniów jednak widać było
w tej chwili kilku Azjatów, skręcających na pra-
wo i lewo, a wszyscy odwróceny byli tyłem do
stojących kobiet, niesposób więc było rozeznać,
który z nich szepnął tajemnicze ostrzeżenie. Przy-
tem słowa wymówione były tak szybko, że pani
Ira, której serce zabiło gwałtownie, nie miała pew-
ności, ochłonawszy, czy wogóle jej się tyczyły
i czy istotnie je słyszała.

— Co sądzisz o tem, Elo? — spytała córki.

— Chyba to nie do nas mówiono — odparła
zapytana. — Obróciłyśmy się natychmiast, a jed-
nak żaden z tych przechodzących Azjatów nie
spojrzał na nas. Nie, to złudzenie. Ale idźmy,
matuchno, bo jezdnia już wolna, a Jules może cze-
ka na nas.

Gdyby jednak pani Ira i Ela, rozglądające się
dokoła, podniosły wzrok także na stopnie, wiodą-
ce ku chodnikowi ruchomemu, to spostrzegłyby
tam przytuloną do barjery i wpatrzoną w nie
wzrokiem pokornym, niemal błagalnym, wątłą po-

stać młodego Chińczyka.

Ale nie spojrzały w tę stronę i szły dalej spo-

kojne, przynajmniej pozornie, wkrótce zaś zapomniały zupełnie o tajemniczym szepcie, spostrzegłszy dorodną postać młodzieńca, śpieszącego ulicą.

Młodzieńcem tym, szukającym widocznie kogoś wśród tłumu, był narzeczony Eli, Francuz, inżynier-elektrotechnik, Jules Lecrane.

- —

— Jules! — zawołała Ela i pociągnęła matkę ku rozglądającemu się wśród przechodniów inżynierowi.

Lecrane dojrzał je już także i, uśmiechnięty radośnie, wyciągnął ku nim ręce.

— Jedzie pani z nami? — spytał, po przywitaniu się z panią Irawą. Pogoda prześliczna, ani jednej chmurki, widoki wspaniałe. Nad morzem będzie cudownie!

— Niestety! — wyręczyła Ela matkę. — Rodzice muszą być po południu na przyjęciu u prezydenta, pojedziemy więc sami.

Pani Ira przybladła. Bo w tejże chwili zdawało się jej, że znów słyszy za sobą szept ostrzegawczy:

— Pilnuj córki, oni chcą ją porwać!

Spojrzała więc za siebie i ujrzała istotnie szybko oddalającą się, skuloną postać Azjaty. Jeżeli to z jego ust padły te słowa ostrzegawcze, to dlaczegoż ucieka tak szybko?

Myśl ta nie zgasła jeszcze w jej umyśle, a już Ela spostrzegła wyraz niepokoju na twarzy matczynej.

— Co ci jest, matuchno? — spytała troskliwie.

— Oh, nic! — odparła pani Ira. — Zdawało mi się...

— Może znów to ostrzeżenie? — zawołała Ela.

— Tak jest. Obróciwszy się, ujrzałam nawet uchodzącego szybko Azjatę.

Ale już i narzeczony Eli, ująwszy obie panie pod

ręce i wiodąc je ku domowi, wtrącił się do rozmowy. Opowiedziały mu więc zdarzenie.

Lecrane wszakże, z natury żywy i zuchowaty, zawołał lekceważąco:

— Oh, la, la! Jakże można przejmować się taką mistyfikacją. Co za szkoda, że nie dojrzałem tego nicponia, natarłbym mu porządnie uszu, a przynajmniej oddałbym w ręce najbliższego policjanta.

Uspokojone zupełnie tą pewnością siebie młodego Francuza, a więcej może jego obecnością i błyskotliwą rozmową, pani Ira i Ela nie zauważyły nawet, kiedy stanęły, wesołe już i rozbawione, w progu mieszkania.

Znicz czekał na żonę i córkę, Ela skoczyła więc do jadalni i niebawem całe towarzystwo zasiadło do stołu.

I tu Lecrane ust nie zamykał, podniecony obecnością pięknych kobiet, z których przecież jedna była jego narzeczoną. Wracając przytem z serca Czarnego lądu po dłuższym tam pobycie, miał więc w zanadrzu dość przygód. Opowiadał teraz o nich z werwą i humorem prawdziwego syna słonecznej Francji, dla którego wszystko się kończy par

une chanson, to też śniadanie minęło wesoło i o przygodzie ulicznej nawet nie wspomniano. Dopiero gdy czwórka nasza stanęła na platformie dachu, gdzie czekał już piękny helikopter podróżny młodego inżyniera, pani Ira, jakby tknięta przeczuciem, rzekła pół żartem do Lecrane'a,

podającego rękę Eli, wsiadającej do powietrznego pojazdu:

— A pilnuj że, aby ci jej nie porwano!

— O to niema obawy! — odparł pewny siebie młodzieniec. — Przynajmniej na dzisiaj — dodał wesoło — muszą się wyrzec swych zamiarów...

Helikopter wzbił się w powietrze, a Zniczowie, uśmiechnięci, odpowiadali skinieniami rąk Eli, wymachującej chusteczką z okna samolotu.

Gdy wreszcie nie można już było rozróżnić helikoptera Lecrane'a wśród innych samolotów, krzyżujących się w różnych kierunkach, oboje ruszyli ku windzie.

Znicz przypomniał sobie wówczas słowa, wyrzeczone przez Lecrane'a na odjeździe.

— O kim to — spytał — Jules mówił, że musi na dzisiaj przynajmniej wyrzec się swych zamiarów?

— Prawda! — zawołała pani Ira, wyrwana z zamyślenia, w które pogrążył ją odjazd córki w związku z dwukrotnym ostrzeżeniem, usłyszanem na ulicy. Gdyż teraz dopiero, gdy Ela i jej narzeczony byli już daleko, do serca jej powrócił niepokój, rozproszony przez wesołego Francuza. — Prawda, nie wspomniałam ci o zdarzeniu, jakie

nas spotkało podczas powrotu z kościoła.

Tu zaczęła opowiadać o tajemniczych ostrzeżeniach, w miarę wszakże, jak opowiadanie płynęło z jej ust, uspokajała się, jakby dochodząc do wniosku, że istotnie obawy jej były niedorzeczne, i zakończyła już spokojnie słowami, wyrzeczone-

- —

mi przez Lecrane'a na wiadomość o tajemniczych szeptach.

Znicz uśmiechnął się, bo choć odczuwał dobrze, iż Azjaci śledzą go pilniej i czujniej, niż przypuszczał przed kilkunastu jeszcze dniami, i że gotowi są na wszystko, aby tylko zmusić go do zaniechania wszczętej przeciwko nim agitacji, to jednak wprost śmieszną wydało mu się rzeczą, aby tą drogą chcieli dojść do celu, a przytem w takim dniu, jak dzisiejszy.

— Istotnie — odparł wesoło żonie — jakże można nawet przypuszczać, aby taki niedorzeczny zamach był możliwy w dzień piękny i słoneczny, gdy tysiące samolotów wycieczkowych krąży w powietrzu, wszystkie miejscowości nadmorskie są pełne gości, a policja powietrzna i lądowa czuwa nad bezpieczeństwem publicznem? Potrzebaby na to chyba całej armji!

Jakże się mylił!...

Trzy godziny lotu nad lądem Europy były jedną chwilą dla rozbawionej pary, której wtórował śpiewem i śmiechem również młody pilot Lecrane'a, helikopter bowiem, lecąc wprost na zachód równo i bezpiecznie, nie wymagał napięcia uwagi.

Wreszcie przed lecącymi ukazała się połyskująca w słońcu, srebrno-siną taflą morza Północnego i spowita w zieleń parków i ogrodów stolica Ho-

landji, Haga, a tuż obok, na północ, rozbawione, rojące się tłumem świątecznym, Scheveningen. Tu, ze względu na nadlatujące zewsząd samoloty, ostrożność była konieczna, to też w helikoptery zamilkły śmiechy i rozmowy, a Lecrane tudzież jego pilot skupili całą uwagę na drogę powietrzną.

Dolatywały już zdołu oderwane dźwięki orkiestr i widać było tłumy, snujące się po ogromnym bulwarze nadbrzeżnym lub wylegające się na pełnej słońca i woni morza plaży, obejmowanej białymi płatami piany fal morskich.

Wreszcie helikopter stanął w przestworzu nad lotniskiem, oczekując chwili dogodnej do lądowania. Setki samolotów znalazły już przytułek w hangarach, zbudowanych dokoła olbrzymiej białej, kolistej przestrzeni lotniska, jak stajnie dokoła cyrku, lub, zamieniane na samochody i kontrolowane przez służbę bezpieczeństwa, rozjeżdżały się stąd w różne strony, trzepocąc małymi flagami, oznaczającymi ich pochodzenie. I trójbarwna flaga francuska Lecrane'a zatrzepotała wesoło, gdy helikopter jego, kierowany znakami policji powietrznej, stanął swobodnie na białym boisku lotniska i podążył ku jednemu z hangarów, podróżnych bowiem naszych zbyt nęciła przechadzka piesza po bulwarze nadbrzeżnym i plaży,

śródm rozbawionych tłumów w orzeźwiającym powietrzu morskim, aby mieli korzystać z helikoptera w roli samochodu.

Otrzymał więc od dozorca hangaru płytkę metalową z numerem przedziału, w którym stanął ich samolot, ruszyli w stronę wysuniętego w morze pomostu, na którego końcu widniała wielka rotunda kawiarni tudzież sali koncertów i widowisk telekinematograficznych.

Po drodze zatrzymano się przed kolumnadą bazaru wschodniego, gdzie kupcy tureccy, bucharscy, hinduscy, chińscy i japońscy rozłożyli swe cacka i materje, połyskujące wszystkimi barwami tęczy, zachęcając przyjezdnych do kupna.

Bo pieniądz nie przestał istnieć, choć miernik wartości uległ ewolucji.

Od chwili, gdy genialny badacz dwudziestego wieku, „rozbijacz atomów”, sir Ernest Rutherford, rozszczepił bombardowaniem promieniami Alfa radu atom azotu na wodór i hel, a prof. Miethe rozłożył rtęć i otrzymał złoto, jako jeden z produktów tego rozkładu — ziściły się sny alchemików średniowiecznych, przewidujących możliwości, lecz nie mających środków do ich urzeczywistnienia.

Otrzymywanie złota drogą sztuczną stało się kwestią czasu.

I czas ten nadszedł. Edison wiedział, co mówi, gdy przepowiadał to z zupełną pewnością. Otrzy-

mano złoto syntetyczne, i cały gmach ekonomistów, zbudowany na fundamencie złota, jako miernika wartości, runął.

Przez pewien czas przerażone rządy podtrzyma-

wały pękający we wszystkich spójnościach gmach ten rozmaitemi zarządzeniami wspólnymi, co do wyrobu sztucznego złota, ograniczając go i wreszcie monopolizując, wkońcu jednak wszelkie zarządzenia okazały się bezskuteczne i musiano szukać nowego miernika wartości.

Ponieważ zaś wyrazem energii, a zatem dóbr każdego społeczeństwa, stało się zużycie prądu elektrycznego, w nim więc znaleziono najdogodniejszy miernik.

Zmonopolizowanie przez rządy sfederowanych państw Europy olbrzymich wytwórni siły elektrycznej pozwalało kontrolować ściśle ilość zużytych kilowatów, jako wyrazu pracy danego społeczeństwa.

Wyrazem zaś tego nowego miernika wartości: kilowatu, pod postacią monety, stał się piękny hełjos ze złota syntetycznego, nazywany na mocy tradycji i przyzwyczajenia w każdym kraju inaczej: bądź to szylingiem, bądź to frankiem, złotym, guldenem, marką lub lirem. Wyrób jego — jak i dawniej wyrób wszelkich monet obiegowych — zmonopolizowany był przez państwa.

I tylko snem przykrym wydawały się czasy, w których ludzkość ugięła się pod jarzmem waluty złotej, w których nie praca i wytwórczość,

lecz zręczność w nagromadzeniu złota stanowiła miarę bogactwa państwa.

Tu, przy tym bazarze, którego egzotyczne towary zajęły mocno Elę, Monthuc — młody pilot

Lecrane'a — nie chcąc widocznie przeszkadzać narzeczonym, pożegnał się z nimi.

— A nie zapominaj — zawołał za odchodzącym Lecrane — że punktualnie o godzinie osiemnastej odlatujemy!

Gdyby Lecrane odwrócił się w tej chwili, spostrzegłby uśmiech zadowolenia, rozjaśniający twarz opasłego jegomościa w wytwornym ubraniu europejskim, ale o twarzy niewątpliwie mongolskiej, śledzącego naszą trójkę od samego lotniska aż tutaj do kolumnady bazaru.

Usłyszawszy okrzyk młodego inżyniera, opasły jegomość wykręcił się na pięcie lekkim ruchem rozbawionego lowelasa i, pogwizdując wesoło, ruszył zpowrotem w stronę lotniska, gdy tymczasem Jules i Ela zniknęli w barwnym tłumie.

Słysząc tu było dzisiaj wszystkie prawie języki europejskie. Postęp komunikacji powietrznej zniósł przestrzenie, a dobrobyt powszechny umożliwił każdemu zwiedzanie świata w chwilach wolnych od pracy, zbliżał i bratał obywateli sfederowanej Europy. Przyzwyczajeni już do tego zjawiska powszedniego, Jules i Ela czuli się w tym tłumie jak u siebie, obojętnie odpowiadali na powitania znajomych z Paryża, czy też z Warszawy, zajęci tylko sobą i używając w pełni, jak dzieci na prze-

chadzce, tych przyjemności i uciech, których udzielić im mogło rozświetlone, świąteczne Scheveningen.

Nie spostrzegli się nawet, że minęło im w ten

sposób kilka godzin i trzeba było powracać na lotnisko.

Ela, oparta na ramieniu narzeczonego, spoglądała w rozmarzeniu przymrużonemi oczyma na wielkie zwały fal, nadbiegające ku wybrzeżu i rozlewające się z sykiem na białych jego piaskach.

— Bu-u-m! — wykrzykiwała zcicha za każdym razem, gdy szmaragdowy wał wodny, ugrzywiony białą pianą, zwijał się jak wąż i padał z hukiem na plażę, aby rozplaszczony podążać coraz cieńszą taflą pod stopy gromadek dzieci, budujących zamki fantastyczne z wilgotnego piasku.

— Bu-u-m! — powtarzał wesoło inżynier za narzeczoną i przyciskał jej rękę do boku.

— Szkoda, że to już! — westchnęła Ela, gdy stanęli na lotnisku.

— A więc pozostajmy! — zawołał szybko Lercane. — Wyjedziemy po teatrze. Noc zapowiada się piękna, a zresztą droga bezpieczna.

Ela zawahała się chwilę. Tak błogo było jej u boku ukochanego. Tak wesoło spędziłaby jeszcze parę godzin wśród tego gwaru i podniecenia świątecznego. Ale przypomniała sobie złowróżbne słowa, słyszane tego poranka, i niepokój matki.

— Nie, nie! — odparła żywo. — Trzeba wracać. Rodzice będą niespokojni...

— Ależ — przerwał Lecrane — porozumiemy się z nimi natychmiast telefonicznie.

— A jeżeli są jeszcze u prezydenta? I tak jest bezwątpienia, boć to dopiero godzina osiemnasta.

— Więc połączymy się z pałacem prezydenta. Ela przystanęła.

Pokusa była silna. Pozostać, czy wracać?

Oczy jej padły w zamyśleniu na szmaragdową powierzchnię morza, połyskującą wdali, jak stal, i spostrzegły na niej refleks rdzawy. Podniosły się więc ku niebu.

Od zachodu nadciągał szeroki pas chmur, podążając ku słońcu. Rąbek ich przybrał ową barwę rdzawą, odbijającą się w morzu.

— Widzisz? — zawołała na ten widok do narzeczonego. — Nadciągają chmury, a ja tak się obawiam burzy.

— Chmury te nie zapowiadają burzy — rzekł młody inżynier, spojrzawszy w niebo. — W każdym razie prognoza moja była, jak widzę, mylna. Nadciąga deszcz. Może więc lepiej wracać.

— Wracajmy! — potwierdziła już wesoło Ela, pociągając narzeczonego ku hangarom.

Na widok nagłego ruchu narzeczonych, kręcących się w pobliżu opasły jegomość o mongolskiej twarzy podążył także w tę stronę.

Helikopter Lecrane'a stał wpogotowiu przed hangarem, a pilot jego, już na swem miejscu, wychylił się przez okno.

— Hallo, Montluc! — zawołał inżynier, widząc,

że podwładny jego spogląda w inną stronę.

Montluc obrócił się szybko ku nadchodzącym.

— Dobry wieczór! Właśnie wytoczyłem samolot z hangaru. Możemy ruszyć choćby zaraz.

Przy tych słowach otworzył drzwiczki pojazdu, a gdy Jules podawał rękę Eli, dodał, wskazując głową w stronę, w którą był zwrócony w chwili nadejścia narzeczonych:

— Co za dziwne statki!

Istotnie, w odległości kilkudziesięciu kroków, przed sąsiednim hangarem stały dwa helikoptery niezmiernie długie i wysmukłe o potężnych śmigłach i wysokich podwoziach, czyniące wrażenie os, wysoko podniesionych na łapkach.

— Rzeczywiście!—zauważył Lecrane, spojrzawszy na oryginalne samoloty, ale, widząc, że Ela siedzi już na swem miejscu, wskoczył do helikoptera i zatrzęsął drzwiczki.

Montluc nacisnął lewar, samolot, oderwawszy się z miejsca od ziemi, wzbił się lekko w przestwór i, zanotowany przez służbę bezpieczeństwa, ruszył na wschód szlakiem przepisany.

Spojrzawszy na altymetr i kompas, pilot wstrzymał dopływ prądu z małego akumulatora, umieszczonego pod jego siedzeniem. Zdawałoby się, że samolot szybuje bez silnika, a jednak śmigła poziome i pionowa obracały się bez przerwy z jednakową szybkością.

Sprawdziła się bowiem zapowiedź Tesli, dana jeszcze na początku dwudziestego wieku, po

pierwszych pomyślnych próbach radjotelefonu przez ocean Atlantycki, że nadejdzie czas, w którym będzie można przesyłać energię elektryczną bez drutu na znaczne odległości. Większość samolotów, zwłaszcza turystycznych, używała dziś elektryczności bez drutu, dostarczanej przez wielkie elektrownie lądowe zapomocą odpowiedz nich przyrządów odbiorczych. Małe, lekkie akumulatory, umieszczone w samolotach, służyły tylko do wzbijania się w powietrze i w razie przypadku.

I „Cid” Lecrane'a leciał zapomocą prądu, dostarczonego z lądu. Leciał równo i spokojnie, znów więc pomiędzy narzeczonymi a pilotem zawiązała się ożywiona pogawędka.

Teraz jednak przedmiotem jej były owe dwa dziwaczne helikoptery, spostrzeżone przy odlocie z Scheveningen.

— Muszą to być — mówił Montluc — samoloty wyścigowe, jachty powietrzne nowego typu, bo tak wąskich i długich jeszcze nie widziałem.

— Nic dziwnego — odparł inżynier. — Nie zapominaj, żeśmy spędzili kilka miesięcy w Afryce, a przez ten czas musiało powstać wiele rzeczy nowych w lotnictwie europejskim, wobec tak szybkich postępów techniki i współzawodnictwa urnysłów twórczych.

— Przypuszczam jednak — rzekł na to pilot — że owe dziwadła nie są wyrobem europejskim, gdyż widziałem kręcących się przy nich Azjatów.

— Azjatów? — zapytała Ela, drgnąwszy na słowa pilota, i spojrzała trwożnie na narzeczonego. Ale inżynier odparł spokojnie:

— Widocznie jacyś turyści japońscy, podróżujący po Europie.

— A oto jeden z nich leci — dodał Montluc, wskazując cienką, wydłużoną sylwetkę samolotu, rysującą się wyraźnie na seledynowym tle nieba w odległości kilkuset metrów z prawej strony „Cida”.

Ela i Jules zwrócili oczy w tę stronę i przyglądali się ciekawie statkowi.

— Jest i drugi! — zawołał nagle pilot. — Szybko lecą, skoro, opuściwszy po nas Scheveningen, już nas prześcigają.

Narzeczeni przechylili się jeszcze bardziej ku oknu.

Za pierwszym samolotem ukazała się w pewnej odległości sylwetka bliźniaczo do niego podobna. I rzeczywiście, oba statki prześcignęły helikopter Lecrane'a.

Upłynęło zaledwie kilkanaście minut, a już pierwszy z samolotów znajdował się tak daleko przed „Cidem”, że sylwetka jego, skracając się stopniowo, tworzyła tylko plamkę na siniej ącem tle nieba wschodniego, gdy nagle patrzący ujrzeli, że skręca ku północy, przecina drogę „Cida”, poczem wykręca się i leci dalej na wschód. Tymczasem towarzysz jego, trzymając się wciąż prawej

strony „Cida”, zwalnia jakby biegu i leci teraz równo z jednakową szybkością, wciąż wysunięty nieco naprzód przed naszym helikopterem.

Montluc przypatrywał się z zajęciem tym manewrom, wychwalając od czasu do czasu krótkimi, wesołymi okrzykami sprawność niezwykle statków. Ela, uspokojona wzmianką Lecrane'a o turystach japońskich, przyglądała się obojętnie odległym sylwetkom tak, jak i innym przesuwającym się szlakami powietrznymi samolotom różnych typów i wielkości. Lecrane'a jednak, który wziął na siebie bezpieczeństwo narzeczonej, zaczęło niepokoić to uporczywe, choć na znacznej odległości, eskortowanie „Cida” przez oba samoloty azjatyckie.

Nie dał wszakże poznać po sobie niepokoju, choć stopniowo ogarniało go wrażenie, że są to dwa drapieżne ptaki, czekające na chwilę odpowiednią, aby uderzyć na wroga.

Gdy wszakże wrażenie powyższe skryształizowało się w jego umyśle, prawie natychmiast przyszła za nim refleksja, i roześmiał się w duchu z takiego przypuszczenia.

Wszak może w każdej chwili opuścić helikopter na ziemię i znaleźć się w okolicach zaludnionych i bezpiecznych Niemiec środkowych. A zresztą sygnały alarmowe, wysyłane aparatem radjotelegraficznym, sprowadziłyby natychmiast samoloty policyjne, patrolujące na szlakach powietrznych. Obawy więc były złudne.

Uspokojony tern, przymknął oczy, bo i Ela, nieco znużona wycieczką, drzemała, położywszy rękę na dłoni narzeczonego, co widząc, gadatliwy zwykle i wesoły, Montluc umilkł dyskretnie. Minęła już przeszło godzina od odlotu z Scheveningen.

W kajucie samolotu panowała cisza. Wreszcie Lecrane ocknął się i spojrzał w okno. „Cid” miał właśnie sterczący nieruchomo w przestworzu helikopter policyjny, ale statków azjatyckich nie było widać. Inżynier napróżno badał wzrokiem widnokrąg. Wprawdzie pręły przestwór w różnych kierunkach samoloty większe i mniejsze, lecz kształty bliźniaków z Scheveningen były tak oryginalne, że mógłby je rozpoznać wśród setek innych statków powietrznych.

Zaintrygowany, przechylił się do otwartego okna, dzielącego kajutę od przedziału dla pilota, i trącił lekko w plecy Montluca.

— Co się stało — spytał szeptem ze względu na drzemającą wciąż Elę — z jachtami azjatyckimi? Montluc uśmiechnął się.

— Widocznie — odparł również szeptem — nie są bardzo wytrwałe, bo stopniowo wyprzedziliśmy je tak, że znajdują się już daleko poza nami.

Lecrane ucieszyła bardzo ta wiadomość, rozpraszająca do reszty jego obawy, cofnął się więc i spojrzał z rozrzewnieniem na narzeczoną. Ale i Ela ocknęła się już z drzemki i, widząc uśmiech na twarzy inżyniera, odpowiedziała mu także

uśmiechem, a poprawiwszy wdzięcznym ruchem włosy, rzekła:

— Nie wiem sama, kiedy zasnęłam, odurzona powietrzem morskiem. A musi być już późno, bo mrok zapada.

— Ach, nie! — zawołał Lecrane. — Spałaś chwilę, ale nadciągające od zachodu chmury zasłoniły słońce, zmrok więc zapada wcześniej, niż być powinno.

Istotnie, na zachodzie rozciągały się chmury gęste szerokim koliskiem, i tylko złoto-amarantowy ich rąbek wskazywał, że kryją za sobą tarczę słoneczną. Na zenicie panował jeszcze seledyn złotawy, na wschodzie jednak niebo przybierało barwę coraz ciemniejszą.

I czy to ze względu na nadciągający deszcz, czy też na dostępną teraz wszystkim sposobność zachwycania się z ponad chmur zawsze nowem i wspaniałem zjawiskiem wschodu słońca, wskutek czego często wyruszano z miejsc wycieczek dopiero nad ranem — liczba samolotów, spotykanych na drodze przez „Cida”, rzedła tak, że w miarę zbliżania się do wschodniej granicy Niemiec mijało po kilkanaście minut bez spotkania jakiegokolwiek statku powietrznego.

Tern łatwiej było też Eli dostrzec wkońcu nieobecność statków azjatyckich.

— Eh — odparł lekceważąco inżynier na zadane sobie z tego powodu pytanie — są już daleko

— -

poza nami i widocznie tylko przypadkowo znaj-

dowały się przez pewien czas przed „Cidem”.
A jednak, gdyby Lecrane spojrzeć był przez okienko, znajdujące się w tylnej ścianie kajuty, a zasłonięte teraz obiciem, to przekonałby się, że helikoptery azjatyckie nie były znów tak daleko od „Cida”, a co dziwniejsze, że zbliżyły się do siebie do tego stopnia, iż leciały, niemal stykając się kadłubami.

I dostrzegłby może, pomimo zmroku, błyskawicznie wykonany manewr przerzucenia z jednego na drugi lin, które pochwycone i umocowane połączyły oba statki, a następnie przesunięcia po tych statkach tkaniny połyskującej...

Minęła już druga godzina od chwili opuszczenia Scheveningen. Zmrok zapadał coraz gęstszy.

W helikopterze Lecrane'a zapanowała urocza cisza marzeń wieczornych, kiedy to umysł ludzki, nasycony wrażeniami dnia, daje folgę wyobraźni, usta milczą, a zato myśl przemawia bez słów, stwarza epopeje bajeczne lub snuje plany na przyszłość.

Złączyły się dłonie, głowa Eli spoczęła na ramieniu narzeczonego i, zapatrzeni oboje w ciemniejący widnokrąg, ulecieli myślą w przyszłość świetlaną.

W przednim przedziale helikoptera Montluc nucił cicho jakąś piosenkę.

„Cid” pędził jednostajnym, równym lotem wprost na wschód, i tylko lekki szum śmig i ocie-

rającego się o kadłub statku powietrza zwiasto-

wały, że nie stoi na miejscu.

Już minięto granicę Niemiec i nastąpiła chwila, w której ani jednego samolotu nie było widać na widnokręgu, gdy nagle rozległ się świst potężny, jakby nadciągającego gwałtownie huraganu, i cienie ogromne zasłoniły z obu stron okna helikoptera.

Ela krzyknęła przerażona, a Lecrane i Montluc zerwali się ze swoich miejsc.

— Azjaci! — zawołali obaj prawie jednocześnie, spojrzawszy przez okno.

— Oszaleli chyba! — syknął inżynier.

— Co za głupi żart? — zawtórował pilot. — Gotowi nas zgnieść! — i przy tych słowach nacisnął lewar śmig poziomych. Śmigły zwolniły biegu, i helikopter zaczął się opuszczać, aby się wyswobodzić z niebezpiecznego uścisku. Trwało to wszystko tylko chwilę, gdyż, drgnąwszy, osiadł, jakby na mieliźnie, a statki Azjatów jeszcze bardziej nachyliły się ku niemu.

Lecrane przypadł do szyby. Wystarczyło szybkie spojrzenie, aby zrozumieć, co się stało.

„Cid” wisiał w mocnej metalowej siatce, rozwieszanej pomiędzy jachtami Azjatów, a z poza szyb obu jachtów spoglądały na naszą trójkę zimne, skośne oczy twarzy mongolskich.

Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że twarze te polowały na „Cida” i że go ujęły.

Lecz w jakim celu? Tego Lecrane, który ostat-

nich kilka miesięcy spędził w głębi Afryki, mało

wnikając w sprawy polityczne, pojąć dobrze nie mógł. Wprawdzie dziś jeszcze pani Ira i Ela powtórzyły mu słyszane dwukrotnie ostrzeżenie, ale wziął je raczej za zły żart, niż za przestrożę wartą głębszego zastanowienia, i zlekceważył zupełnie, pewny bezpieczeństwa w środku Europy.

Teraz dopiero poznał, jak źle postąpił, i gorzko wyrzucał sobie lekkomyślność nie do darowania, skoro wycieczka świąteczna, za której bezpieczeństwo ręczył, mogła się skończyć tak fatalnie. Ale nie było już czasu na rozmyślanie. Trzeba było działać. Rzucił się więc ku aparatowi radiotelefonicznemu, aby posłać w przestwór sygnał alarmowy.

Jednocześnie Montluc, przypuszczając w tern wszystkim poprostu niesłuchanie śmiały napad bandycki — nacisnął teraz odwrotnie lewar śmig poziomych, pragnąc szybko wzbić w górę helikopter, aby wydobyć go z siatki, nie pozwalającej mu opuścić się na ziemię. Śmigły wszakże zgrzytnęły tylko i pękły, przechylone pod naciskiem mocnych lin metalowych, rozpostartych również zgóry pomiędzy obu jachtami.

Kadłub „Cida” wstrząsnął się raz jeszcze i legł bez ruchu, skrepowany zupełnie. A zanim inżynier zdołał użyć radiotelefonu, elastyczną szybę kajuty przebiło ostre żądło rurki metalowej.

Ela, siedząca bez ruchu, z szeroko rozwartymi oczyma i z załamaniem rękoma, na kanapce ka-

— -

juty, Lecrane, nachylony nad radiotelefonem,

i Montluc, naciskający jeszcze całą siłą lewar śmig poziomych, usłyszeli wydobywający się z rurki syk przeciągły i uczyli gwałtowny zawrót głowy. Po chwili wszyscy troje leżeli bez przytomności na kanapkach „Cida”, helikoptery zaś azjatyckie, które przez cały czas zająć powyżej opisanych wzbijały się szybko w mało uczęszczaną strefę atmosfery, teraz, ścisnąwszy swą ofiarę jakby kleszczami, runęły na wschód z szybkością bolidu.

ROZDZIAŁ VI. TELEKINEMATOGRAF.

W tej samej chwili, gdy helikoptery azjatyckie, opanowawszy „Cida”, pędziły z niesłychaną szybkością na wysokości kilku tysięcy metrów w kierunku wschodnim, unosząc Elę, Lecrane'a i Montluca — w małej izdebce wielkiego karawanseraju, położonego na krańcu azjatyckiej dzielnicy Warszawy, wił się na posłaniu nasz znajomy Ju, którego widzieliśmy zahipnotyzowanego i opowiada-

jącego członkom Związku palaczy opjum o tem, co się dzieje w mieszkaniu Zniczów.

Teraz, gdy dr. Chwostek poddał go wpływowi pani Iry, ukrywał się przed tymi, którym doniedawna służył za medjum do śledzenia akcji Znicza. Bał się ich, unikał, a zarazem czuł do nich odrazę i nienawiść, dziką żądzę przeszkodzenia im w doprowadzeniu do skutku planów, knutych przeciwko Europie.

Wprawdzie, jako maleńka śrubka w olbrzymim

organizmie spisku, mało wiedział o całości planu, wypracowywanego przez kierowników tysięcy ta-

kich samych, jak on, śrub, kół i trybów, za to domyślał się dużo, a w tej sprawie, dla której sił jego użyto, widział jasno, o co położonym jego chodzi, i był z nią tak ściśle związany tajemniczymi nićmi ducha, że nawet wygnany z grona wtajemniczonych zgadywał, co zamierzają względem rodziny Zniczów.

Gdy tajemnicze fale eteru przyniosły mu wiadomość o zamierzonym porwaniu Eli, czyhał na sposobność zawiadomienia o tem pani Iry. Zdawałoby się rzeczą prostą podążyć do jej mieszkania z ostrzeżeniem, czuł jednak, z jednej strony, strach zabobonny przed tą, której stał się niewolnikiem, z drugiej zaś—obawiał się, że nie znajdzie wiary i będzie wyśmiany, a może nawet oddany w ręce władz polskich. Pomimo to krążył w okolicy domu Znicza od świtu do późnej nocy i wreszcie dziś z rana, poznawszy panią Irę, powracającą w towarzystwie córki z nabożeństwa, odważył się rzucić im ostrzeżenie, poczem, przerażony tą śmiałością, ukrył się w tłumie. Wreszcie, nie będąc pewny, czy usłyszały jego słowa, powtórzył ten sam manewr i, przepełniony uczuciem szczęścia, wrócił do swej izdebki.

W miarę wszakże upływania dnia radosna egzaltacja mijała, a miejsce jej zajmowało wciąż rosnące niewytłumaczone uczucie niepokoju.

Doszło ono do tego stopnia, że, nie mogąc już

wytrzymać nieznośnego naprężenia nerwów, postanowił szukać ukojenia w narkotyku makowym.

- —

Schyliwszy się, wysunął z pod tapczana skrzyńkę podróżną.

Po chwili na stołku obok tapczana znalazły się przyrządy do palenia opjum.

Ległszy na tapczanie, otworzył maleńkie blaszane pudełko, zawierające ciemno - bronzową, prawie czarną masę, zanurzył w niej długą stałową igłę i, nabrawszy na jej koniec trochę tej lepszej, brunatnej masy, przeniósł igłę nad płomień lampki olejnej.

Pod wpływem ognia masa zaczęła skwierczyć i pęcznieć. Ju obracał ją zwolna nad płomieniem, wpatrzony w pęczniejącą kulkę chciwymi oczyma. Wreszcie zsunął rozżarzoną kulkę opjum z igły w maleńki otwór fajki o długim cybuszku i pociągnął.

Nagle jednak rzucił czandu i wzdrygnął się cały:

Oto ujrzał wyraźnie oczyma duszy pościg w przestworzu statku powietrznego przez dwa inne, krótką walkę i ujarzmienie ściganego, a w jego kajucie — padającą bez przytomności Elę.

Wił się więc teraz w bezbrzeżnym bólu na swem posłaniu. Od czasu do czasu wyrywał mu się z piersi ryk ciężko ranionego zwierzęcia. Rękoma chwycił to za bluzę na piersiach, jakby dla stłumienia tych wybuchów, to znów za krawędź tapczana, chcąc zerwać się z niego, ale niepewny

jeszcze, co począć, opadał znów na posłanie.
Widocznie jednak powziął wkońcu decyzję sta-

nowczą, bo uspokoił się nagle i, choć cały drżący ze wzruszenia, stanął na podłodze, ogarnął się nieco i, schwyciwszy kapelusz, wybiegł z domu. Niebawem znalazł się przed wejściem do podziemnej kolei elektrycznej. Gwarno tu było, wesoło i rojno. Z obszernych schodów hali stacyjnej wylaniały się tłumy świąteczne, powracające z wycieczek, drugimi zaś schodziły i nikły pod ziemią takie same tłumy rozbawione, podążające do innych dzielnic miasta-olbrzyna. Obco i dziwnie czuł się szczupły, kosooki Ju w tej ciżbie rozbawionej. Bez troska malowała się na wszystkich twarzach, jego zaś przejmowała troska dojmująca. Ale zaciskał zęby, tłumiał wzruszenie i, przeciskając się, jak wąż, pomiędzy tłumami rozbawionych warszawian, zbiegł szybko po schodach do obszernej stacji podziemnej, oświetlonej jasno snopami promieni słonecznych, spływających z lamp, rozwieszonych w górze.

Pomimo tłumy podróżnych nie było tu ścisku, ani ogonków przy kupnie biletów.

Wprawdzie większość podróżnych posiadała roczne lub półroczne karty na dowolną ilość przejazdów, ale i kto karty takiej nie posiadał, mógł z łatwością wykupić bilet do żądanej stacji przez wrzucenie monety do otworu jednego z licznych automatów kasowych.

Zaledwie Ju nabył bilet i, przepuszczony przez

turnikiet kontrolera, stanął na peronie, gdy na stację wpadł pociąg tak cicho, jakby ślizgał się po

— -

szynach, łoskot kół i zgrzyt hamulców usunięto bowiem przez zastosowanie urządzeń, odpowiednich wiekowi nie lubiącemu zgrzytów.

Ju wiedział, że pociąg ten dąży do południowo-zachodniej dzielnicy miasta, inne bowiem istniało wejście dla pociągów, dążących w stronę przeciwną, bez namysłu więc wskoczył do wagonu i nie upłynęło pół minuty, a już pociąg popędził ku następnej stacji tunelem pod Wisłą.

Zniczowie powrócili właśnie z przyjęcia u prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Wrócili wcześniej, niż zamierzali, gdyż pani Ira czuła się zdenierwowana i choć narazie zajęło ją liczne i świetne towarzystwo, to jednak, gdy zmrok zaczął zapadać, a niebiosy przybrały barwę blado-seledynową, uczuła nieprzezwykłe pragnienie powrotu do domu.

Zaledwie stanęli w mieszkaniu i zrzuciła z siebie płaszcz wizytowy, gdy u drzwi przedsionka rozległ się gwałtowny brzęk dzwonka.

— Zapewne Chwostek — rzekł Znicz, dążąc do przedpokoju, głuchy bowiem lekarz, nie słysząc dzwonka, naciskał go mocno.

Jakże się więc poseł zdziwił, ujrawszy na progu, zamiast spodziewanego gościa, zdyszana, drżącą postać mongolską.

— Do kogo? — spytał surowo, cofając się jednocześnie, gdyż przypomniały mu się zajścia dni

ostatnich.

- -

— Do pani — jęknął głosem rozpaczliwym Ju—
do panil

Pani Ira, stojąca w jadalni, odwróciła na te słowa głowę i dojrzała mówiącego.

— To on! — krzyknęła przerażona.

— Kto taki? — zawołał poseł, puściwszy drzwi i śpiesząc zaniepokojony ku żonie.

— Mongoł, którego widziałam tu dwukrotnie!—
odparła głosem drżącym ze wzruszenia, oparta ręką o futrynę drzwi jadalni, bo czuła, że się chwieje na nogach.

Nie zdążył jeszcze Znicz zastanowić się nad sytuacją, gdy Ju klęczał już u stóp jego małżonki i tłukł czołem o podłogę.

— O pani! — jęczał głosem rozpaczliwym. — Ja mówiłem, ja ostrzegałem! Oni porwali twą córkę...
Znicz, który był się pochylił, aby odepchnąć natręta, wyprostował się nagle, usłyszawszy te

słowa.

Pani Ira stała z szeroko rozwartymi oczyma w drzwiach, podobna do posągu, nie mogąc przemówić słowa, ani też ruszyć się z miejsca.

— Podnieś się! — szepnął Znicz głosem zdławionym. — Skąd możesz wiedzieć? Bredzisz!
Ju, wciąż klęcząc, podniósł ręce do góry, jakby prosząc o zmiłowanie. Był blady, wargi krzywiły mu się w skurczu nerwowym, palce u rąk to krzywiły się, jak szpony, to prostowały sztywno, a sko-

śne oczy utkwiał w pani Irze.

— O pani! — zawołał namiętnie. — Ja mówię

- —

prawdę. Oczy moje widziały wszystko... Na niebie, tam, gdzie słońce zachodzi, dwa samoloty nasze goniły trzeci, w którym było dwóch mężczyzn i wasza córka. Dopędziły go, związały, chciał się wyrwać. Nie mógł... Porwali... O pani, ostrze? gałem...

Na dźwięk tych słów urywanych, wydobywających się ciężko w łamanej polszczyźnie z piersi Azjaty, Znicz spojrział przerażony na żonę.

Spodziewał się okrzyku rozpaczony, a tymczasem zdumiony ujrzał, że stoi wciąż nieruchoma w drzwiach jadalni, utkwivszy wzrok w mówiącego. I odrazu stanął mu przed oczyma dr. Chwostek, trzymający suchą swą rękę na jej białej dłoni i pytający, co widzi we śnie hipnotycznym.

A pani Ira wciąż stała, jak posąg, jakby nasłuchując jeszcze słów słyszanych.

Wreszcie z ust jej wyrwało się ciche pytanie:

— A córka, a oni?...

Na ten rozkaz, wymówiony głosem bezdźwięcznym, a tak cichym i obcym, że zdawało się Zniczowi, iż wymówiła go nie żona, lecz, że nadlatuje zdaleka, twarz Ju przybrała wyraz kornej uległości, rysy zmiękły i przymknęły się oczy.

Przez chwilę panowała cisza złowroga, poczem od klęczącej postaci doleciały słowa urywane:

— Widzę, o pani... Widzę! Pędzą, jak strzała, tam wysoko, wysoko, ku nocy... Dwa samoloty,

a pomiędzy niemi ten trzeci... Dwaj mężczyźni

— -

i córka twa, o pani, leżą... Nasi już tam wtargnęli...
wiążą ich.

Przy ostatnich słowach szarpnął gwałtownie rękoma, jakby usiłując rozerwać te więzy, o których właśnie wspominał. Nerwowa czkawka przerwała mu mowę, wyprężył się i padł na podłogę.

Znicz jednak nie zważał już na to, gdyż poskoczył ku żonie i objął ją troskliwie ramieniem.

— On mówi prawdę — szeptała, przymknawszy oczy. — Tak, widzę, widzę! Lecz, porwani w noc ciemną! — poczem, oparłszy głowę na ramieniu mężowskim, załkała cicho.

Znicz poprowadził płaczącą do otomany.

Pod pierwszym wrażeniem strasznej nowiny, w którą już nie wątpił, chciał biec do telefonu i zawiadomić o wszystkim Parkera, lecz wzdrygnął się na myśl pozostawienia żony z leżącym w pobliżu niej Azją.

Prócz nich zaś trojga w mieszkaniu nie było nikogo więcej, bo przychodziła gospodyni, usługująca codziennie Zniczom, korzystała z odpoczynku niedzielnego. Wahał się więc, co czynić, i spoglądał jeszcze bezradnie na otwarte drzwi sieni, których nie zamknął był w pośpiechu, gdy w drzwiach tych stanął dr. Chwostek i, spojrzawszy na leżącego Azją, pochylił się nad nim.

Głuchy lekarz zapowiedział był wprawdzie swe odwiedziny, ale Zniczowi wywietrzało to zupełnie z głowy pod wpływem wiadomości o porwaniu

córki, zjawienie się więc lekarza w tej chwili krytycznej powitał okrzykiem ulgi.

A dr. Chwostek, oparłszy głowę leżącego na kolanie i położywszy mu dłoń na czole, spoglądał już wzrokiem pytającym na przyjaciela.

Znicz, nie odstępując od boku żony, opowiedział w krótkości o tern, co zaszło, wymawiając pomimo wzruszenia, które go ogarniało, każdy wyraz dobitnie.

Dr. Chwostek spoglądał uważnie, ale spokojnie na mówiącego. Na surowej jego twarzy nie znać było zdziwienia.

Gdy zaś Znicz skończył, odezwał się zwykłym sobie bezdźwięcznym głosem:

— Moglibyśmy może dowiedzieć się więcej jeszcze od niego — tu wskazał głową na Mongoła — ale narazie jest zbyt wyczerpany. Rzuć mi z otomany poduszkę i zatelefonuj po ambulans. Niech go zabiorą do szpitala. Będzie tam pod moją opieką. Zatelefonuj też do Parkera, a ja tymczasem zajmę się twoją małżonką.

Znicz pośpieszył wykonać zlecenie przyjaciela. Pani Ira uspokoiła się pod wpływem zabiegów dra Chwostka. Ale starcowi chodziło widocznie też o to, aby nie dręczył ją niepokój o dalsze losy córki, bo wkrótce skłoniła głowę na poduszki, po - grążona we śnie spokojnym.

Pochylony na krześle obok otomany, dr. Chwostek wciąż trzymał w swej ręce białą dłoń uspio -

- —
nej, wpatrując się przytem w piękną twarz z wyrazem cichego upojenia.

W takiej postawie zastał go poseł, wróciwszy od telefonu, przy którym spędził kilkanaście minut, szukając Parkera po mieście.

Podszedłszy do krzesła, dotknął ramienia przyjaciela. Dr. Chwostek drgnął i, zanim odwrócił głowę ku Zniczowi, podniósł dłoń uspiętej do ust swoich, poczem złożył ją delikatnie na otomanie. Posła nie zdziwił ten niemy hołd starca, wiedział bowiem, że dr. Chwostek żywi prawdziwy kult dla pani Iry. Kult ten objawiał się niejednokrotnie w sposób tak rozrzewniający, jak teraz, co przywiązywało tylko jeszcze bardziej prawe serce Znicza do starego, samotnego dziwaka. Zaledwie przyjaciele zdołali zamienić kilka słów, gdy odezwał się dzwonek windy, a po chwili lekarz ambulansowy i sanitariusze, wysłuchawszy sprawozdania dra Chwostka i jego wskazówek, zabrali wciąż nieprzytomnego Ju do ambulansu powietrznego.

Znicz towarzyszył im na dach domu, gdyż oczekiwał niecierpliwie przybycia naczelnika policji.

Parker dotrzymał słowa. Jeszcze samolot ambulansowy nie zdołał wzbić się w powietrze, gdy już na dach domu opuszczał się samolot naczelnika.

Niezwykła droga, jaką wiadomość o porwaniu Eli i jej narzeczonego doszła do Zniczów, nie

zdziwiła Parkera. Uważał ją za całkiem naturalną, bo jakże odległe były już owe czasy, w których albo drwiono ze zjawisk okultystycznych, albo też uważano je za sztuki zręcznych oszustów i ostrzegano przed nimi, nie posiadając organów odpowiednich dla zbadania tajemniczych objawów energii.

Wszak promienie X widzimy dopiero pośrednio, gdy zamienione są na światło zwykłe przez odpowiednie ekrany, a jednak istniały i wówczas, gdy ich nie znano; wszak w dwudziestym dopiero wieku, dzięki przede wszystkim genialnym pracom małżonków Curie, poznano rad i wypływające z niego zjawiska, choć przecież istniały i przedtem; wszak dotychczas nie znamy istoty elektryczności, choć korzystamy z niej na każdym niemal kroku.

Ileż jeszcze innych objawów energii, lekceważonych lub nieznanych przed półtora wiekiem, stało się teraz rzeczą naturalną?

Do nich należał też okultyzm.

Gdy świat naukowy jeszcze dziewiętnastego wieku lekcewał go ze spokojem zdumiewającym, to już na początku dwudziestego — zwłaszcza po tej wojnie straszliwej, która pchnęła ludzkość na tyle dróg nowych — nastąpił zwrot niespodziewany, prawdziwy wyścig o poznanie prawdy.

Stowarzyszenia takie, jak paryski „Institut Métapsychique International”, angielskie i amerykań-

skie „Society for Psychical Research” lub wiedeński „Parapsychisches Institut”, skupiające badaczy niezamordowanych; studja umysłów tak przenikliwych i wytrwałych, jak Geley i Richet w Paryżu, Schrenck - Notzing w Monachium, Ochrowski w Warszawie, Czernin-Dirkenau w Wiedniu, Morselli w Medjolanie, Oliver Lodge w Londynie, William James w Nowym Yorku i wielu innych - stały się źródłem rewelacji o skutkach ogromnych.

Metapsychika, jak nazwał ów dział zjawisk tajemniczych prof. Charles Richet, albo parapsychologia, względnie parapsychofizyka, jak proponował prof. Oesterreich z Tybingi, otworzyła nowe widnokręgi, i nie pomógł opór luminarzy materializmu, wzdragających się uznać nowe odkrycia, jak owi uczeni koledzy Galileusza, wzdragający się spojrzeć w teleskop, aby nie stwierdzić istnienia księżyców Jowisza.

Ludzkość stanęła ponad tern, co mogły stwierdzić najdokładniejsze, najzwyklejsze badania fizjologów.

Mózg ludzki zbadano przy pomocy nowych środków naukowych jak najdokładniej, komórki jego, włókna nerwowe, gruczoły — słowem szczególne najdrobniejsze, ale, gdy już, już zdawało się, że dotarto do jądra ostatniej komórki, że już nieuchwytnie prawie nici aparatu mózgowego podzielono i rozklasyfikowano tak, iż utworzył się doskonały system mechaniczny — zawsze powsta-

— -
wała nowa luka. I choćby ta luka była tak drobna, jak niedostrzegalna nawet przez mikroskop szczelina między cząsteczkami pozornie jednolitego kryształu, to jednak okazywała się tak trudna, tak niemożliwa do zapełnienia, jak przestrzenie międzyplanetarne.

I oto tajemnica tego, co kapłani i magowie Egiptu, Chaldei, Babilonu i Indyj osiągnęli byli pracą tysiącoletnią w głębi sanktuarjów świątyń swoich drogą żmudnych dociekań, ujarzmiania ciała i doskonalenia ducha, a co trzymali w tak ścisłym ukryciu wobec rzesz, nad którymi panowali, że doszło do nas tylko w ułamkach niezrozumiałych, lub pod postacią legend potwornych; to, co od narodzin chrystjanizmu napróżno usiłowały wznowić duchy buntownicze naiwnymi formułkami — za« jaśniało nagle światłem zdumiewającym.

Owa Cybela Maia ezoteryków starożytnych, owe Sensorium Dei Newtona, owe Światło astralne Paracelsa — stały się znów aktualne i czy to pod nazwą eteronu, czy inną, ogarnęły umysły badaczy, nie będących w stanie wytłumaczyć wszystkich zjawisk metapsychiki istnieniem fal na podobieństwo hertzowskich; fal, trafiających do mózgów, nastrojonych jednakowo, jak aparaty radjotelegraficzne, lub wydających dźwięk, jak dwie struny o jednakowym tonie, gdy się jedną z nich trąci.

Prawa tej „jaźni ukrytej”, o której mówił swego czasu Karol du Prel (*Philosophie der Mystik*), wy-

- -

laniające się z osłonek tajemnicy, stawały się coraz jaśniejsze dla genialnych badaczy nowego zmysłu, pozwalającego ogarnąć to, czego żadne przyrządy naukowe ogarnąć nie zdołały.

Przyznano — jak przewidywał Edward Schuré — transcendentalnym władzom duszy należną im godność i rolę i zorganizowano je pod kontrolą nauki.

Dla ogółu wszakże były to rzeczy prawie nieznanne. Ogół interesował się (tem bardziej teraz, gdy pod wpływem zupełnej beztroski ogarnęło go lenistwo ducha), tylko przejawami najjaskrawszymi tej wiedzy, o których donosiła mu prasa w rubryce wiadomości potocznych, a które przywykł już uważać za całkiem naturalne narówni ze zjawiskami radjotelegrafu, radjotelefonu, telefotografji lub telemechaniki.

I Parker zatem, który przy spełnianiu obowiązków urzędowych winien był polegać tylko na danych pozytywnych, przyjął bez zdziwienia wiadomość, udzieloną mu przez Znicza, choć okoliczności, wśród których nastąpiło porwanie Eli i Le-crane'a, zdawały mu się — jako szefowi policji, odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo obywateli także na szlakach powietrznych — prawie nie do wiary.

— Ależ to raport niesłychany! — zawołał, zanim poseł zdążył mu opowiedzieć wszystko o zaj-

) „Wielcy wtajemniczeni”.

— -

ściach dnia tego. — Musimy ująć zbrodniarzy!
Zmobilizujemy policję całej Europy!

— A czy wiesz, naczelniku — mówił Znicz,
oparłszy się o balustradę dachu, z poza której do-
latywały echa świąteczne beztroskiego miasta-ol-
brzyma — co ja o tem sędzę?

Parker wpatrzył się badawczo w twarz posła.

— Mojem zdaniem — ciągnął Znicz, uderzyw-
szy zlekka w balustradę dłonią, zwiniętą w pięść—
ten zamach Związku palaczy opjum dowodzi,
że może znajdujemy się już w przededniu wojny
Azji z Europą...

Naczelnik policji drgnął.

— Niesłychane, niesłychane! — szeptał, pochy-
liwszy w zadumie głowę.

A zewsząd dolatywały dźwięki muzyki i śpie»
wów, perlił się śmiech, tryskały w niebiosa ognie
sztuczne, rozlewające potoki różnobarwnych
iskierek, tysiące lamp słonecznych nasycalo powie-
trze miasta złotym pyłem, cichy wietrzyk letni
niósł woń kwiatów z kwietników, urządzonych
w rogach płaszczyzny dachu.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie drugiego
samolotu — ambulansu, przywożącego zamówioną
przez dra Chwostka pielęgniarkę.

Pani Ira spała snem głębokim. Znicz i dr. Chwo-
stek zajęli się przy pomocy pielęgniarki przenie-
sieniem śpiącej do sypialni, tymczasem zaś Par-
ker rozgospodarował się przy aparatach radjotele-

- —
fonicznych, a zamówiwszy do mieszkania Zniczów naczelnika wydziału spraw wschodnich i jego pomocnika, wtajemniczonych w knowania Azjatów, jał badać posła o szczegóły zajść dnia tego.

Dr. Chwostek wszedł właśnie do gabinetu, Znicz więc powtórzył obu swe obawy.

— Sprawa — mówił — zakazu imigracji Azjatów będzie, jak wiecie, rozstrzygnięta już w dniach najbliższych przez parlament naszej federacji. Nie spuszczam jej z oczu i nalegam na pośpiech. Wiecie również, na jak liczne groźby narażany jestem z powodu ujawnienia działalności fanatycznego Związku palaczy opjum, która utwierdziła mnie w przekonaniu o olbrzymich planach zbrojnego najścia na Europę. Ostrzegałem przed niem i dawniej, przewidując, że musi nastąpić. Nie wierono mi, a raczej nie chciano wierzyć. Masy ogarnęła beztroska. Pewne są, że i dalej tak być musi, choć burza nadciąga. Musiałem więc niemal sam jeden wziąć na swe barki tu, na tej odwiecznej rubieży dwóch odmiennych cywilizacji, ciężar pracy wywiadowczej i uświadamiającej Zachód. A jeżeli teraz przypominam o tem, to dlatego, że porwanie córki mej i Lecrane'a jest ściśle z akcją związane...

Przy tych słowach głos mu zadrżał, ale opanował się szybko i mówił dalej:

— Wizja tego Azjaty, którego nazwiska nawet nie znam...

— Nazywa się Ju — przerwał głuchym głosem

dr. Chwostek, w którego zapadłych oczach błyszczał zagadkowy ogień podniecenia.

— Wizja Ju — powtórzył Znicz machinalnie, zajęty swymi myślami — i całe jego zachowanie się są dla mnie dowodem wystarczającym, że zamach istotnie nastąpił.

— Ależ — zawołał Parker — to szaleństwo, bo czy można przypuszczać, że Europa sfederowana nie posiada dość siły, aby ukarać takie zuchwalstwo?

— Zdarzały się i zdarzają — odparł Znicz — w dziejach świata czyny szalone, nieobliczalne, których następnie wypierają się rządy i stronnictwa, potępiając zupełnie szczerze ich sprawców, ale które wypływają z nastroju chwili i mogą stać się zapowiedzią wielkich przewrotów. Mieliśmy przykłady tego w przeszłości. Dzisiejszy zamach jest, być może, również taką zapowiedzią. Do czego zmierza bezpośrednio, o tem dowiemy się zapewne wkrótce, łatwo jednak domyślić się już teraz, że jest skierowany przede wszystkim przeciwko mnie osobiście.

Gdy to mówił, do gabinetu wkroczyli wezwani przez Parkera jego pomocnicy. Rieczowa ich narada z naczelnikiem policji trwała niedługo i wnet fale elektryczne rozniosły do wszystkich stacyj Europy wschodniej wiadomość o zamachu i wezwaniu do pościgu zbrodniarzy, a zawiadomiony o nim rząd Federacji europejskiej zwrócił się na-

— -
(ychmiast, pomimo spóźnionej pory, do przedstawicieli państw azjatyckich z energicznym przedstawieniem i żądaniem niezwłocznej interwencji. Już kończyła się krótka noc letnia i z obszernego okna gabinetu posła widać było nad uśpionym miastem-olbrzymem niebios, nasiąkające białością świtu.

W gabinecie czuwali obok Znicza Parker i dr. Chwostek, oczekując na wiadomości ze Wschodu. Wszystkie jednak otrzymane dotychczas od rosyjskich władz policyjnych depesze brzmiały niepomyślnie. Nigdzie nie natrafiono na ślad samolotów azjatyckich, pomimo wyprawienia na zwiady policyjnych flotyl powietrznych.

Znicz zachmurzony nasłuchiwał pilnie nowego dzwonka, pogrążywszy się w fotelu naprzeciwko aparatu radjotelefonicznego. Parker badał pilnie rozłożoną na biurku mapę Wschodu, bębniąc przytętn niecierpliwie palcami po papierach. Jeden tylko dr. Chwostek, który, zajrzawszy do pani Iry, wrócił właśnie do gabinetu, nie zdradzał niepokoju.

Nagle odezwał się znów trzeszczący dźwięk dzwonka radjotelefonu, a w górnej części szafki, w której był umieszczony, stanowiącej ciemne wgłębienie pudełkowe, błysnęło światło, ukazując

- -
obraz, na którego widok Znicz i Parker zerwali się na równe nogi.
Telekinematograficzny ten obraz przedstawiał

jasno oświetloną izbę drewnianej chaty typu rosyjskiego o niskim pułapie belkowanym i małych okienkach, zasłoniętych okiennicami, z ikoną w kącie i wielkim piecem.

Na pierwszym planie, na długiej ławie siedzieli rzędem, zwrócenii twarzami do patrzących: Lecrane, Ela i Montluc.

Wszyscy troje mieli ręce skrępowane, a usta przewiązane chustkami. Obaj Francuzi siedzieli wyprostowani, jakby wyzywający, pomimo więzów, Ela natomiast przechyliła się ku przodowi, a oczy jej pełne niepokoju wpatrywały się błagał«nie w ojca.

Po każdej stronie więźniów widniał Mongoł w szerokim kaftanie wschodnim z obnażoną szablą w ręce i z bezmyślną twarzą siepacza, na drugim zaś planie, poza ławą i stojącym za nią stołem na krzyżakach, trzech Mongołów w wytwornych ubraniach europejskich spoglądało drwiąco na przypatrujących się temu straszному widokowi z odległości może kilku tysięcy kilometrów.

Znicz rzucił się gwałtownym ruchem ku obrazowi, ale opamiętał się i stanął, jak wryty, a w tejże chwili poruszyły się wargi jednego z Mongołów w ubraniu europejskiem i zabrzmiał głos w aparacie radjotelefonicznym:

— Wzywamy posła Znicza — mówił Azjata po-

- -

prawnym językiem polskim — aby dał nam słowo, że na najbliższym posiedzeniu parlamentu Federacji europejskiej oświadczy, iż padł ofiarą misty-

fikacji co do dostarczonej mu ustawy Związku palaczy opjum i że po głębszym namyśle cofa nagłość wniosku, tycaącego się zakazu imigracji azjatyckiej do Europy. W przeciwnym razie — tu wskazał na siedzących na ławie: Lecrane'a, Elę i Montluca — straceni będą w jego oczach.

— Uprzedzamy przytem — dodał po chwili milczenia, jakby dla przekonania się, co za wrażenie sprawią te słowa na ojcu Eli — że wiemy już o depeszach gończych, wysłanych na Wschód, oraz do rządów państw azjatyckich i że zabiegi te na nic się nie zdadzą. Dajemy panu posłowi piętnaście minut do namysłu!

Zaledwie wymówił te słowa i zanim rażony niemi Znicz zdołał odzyskać przytomność umysłu, obraz znikł tak nagle, jak się ukazał, i zdawałoby się Zniczowi, że to tylko sen potworny, gdyby nie przekleństwo, które wyrwało się z ust stojącego obok Parkera.

Wielkie okno gabinetu srebrzyło się coraz bardziej białością świtu. Stojąca na biurku lampa oświetlała wyraźnie aparat radjotelefoniczny i czarną, pudełkową ramę telekinematografu. Znicz, oparty jedną ręką o fotel, drugą potarł zroszone potem czoło. Wargi mu drżały, ale z poza zębów zaciśniętych padł wyraz pełen stanowczości:

- —

— Nie!

Parker zaklął ponownie i, zwróciwszy się ku dr. Chwostkowi, który, nie ruszywszy się z miejsca

podczas całego tego dramatu, spoglądał teraz ciekawie na obu, zawołał gniewnie:

— Oh, gdybym przynajmniej wiedział, gdzie ich znaleźć. Byłby może jeszcze czas!

Jeszcze nie skończył, gdy dr. Chwostek odparł mu spokojnie, bezdźwięcznym swym głosem:

— U podnóża góry Ułan daba w Ałtaju, niedaleko granicy Rzeczypospolitej Syberyjskiej.

Bo chociaż i Parker zauważył, że, gdy Azjata zwracał się z groźną zapowiedzią do Znicza, Ela zdołała ruchem dolnej szczęki usunąć chustkę, zasłaniającą jej usta, i że porusza wargami, to jednak tylko dr. Chwostek wyczytał z tego niemego ruchu warg wyrazy, pozwalające mu teraz odpowiedzieć na okrzyk Parkera.

Naczelnika policji zdumiała w pierwszej chwili szybka odpowiedź lekarza, wnet jednak przypomniał sobie ruch warg córki Znicza i domyślił się wszystkiego. Nie bacząc więc już, czy i tę depeszę przejmą Palacze opjum i czy zdoła zapobiec katastrofie w odległym zakątku górskim, siadł u przyrządu radjotelefonicznego i zawiadomił władze syberyjskie o miejscu pobytu jeńców i o groźbie Azjatów.

Znicz, otrząsnąwszy się z ciężkiej zadumy, patrzył szeroko rozwartymi oczyma na telefonującego przyjaciela, a gdy Parker skończył, spojrział ma-

chinalnie na zegar. Za ledwie dwanaście minut upłynęło od zniknięcia okropnego obrazu, bo w chwili, gdy znikł, zegar wybijał godzinę trzecią,

co słyszał podświadomie, całą myślą znajdując się przy córce.

— Już tylko trzy minuty ~ pomyślał, a patrzący teraz na niego dr. Chwostek powtórzył tę myśl głośno:

— Tak, jeszcze tylko trzy minuty! — gdy zaś Znicz spojrział na niego wzrokiem pytającym, dodał:

— Zresztą, to nie gra roli. Wiem, że nie ustąpisz.

A mówił to takim głosem, jakby los Eli i jej towarzyszków był mu całkiem obojętny.

Znicz odczuł to i szepnął głosem smutnym:

— Córka!

W wyrazie tym jednak brzmiał raczej wyrzut pod adresem lekarza i pragnienie współczucia, niż chęć wywołania dyskusji, co do odpowiedzi, jaką ma dać Azjatom za parę minut, bo już odruchowy wykrzyknik jego zaraz po zniknięciu obrazu dowodził wymownie, że gotów jest poświęcić wszystko dla sprawy.

Dr. Chwostek odparł głosem pewnym:

— Nie ruszą...

Dalszą rozmowę przerwał Parker.

— Zaledwie parę minut pozostaje — mówił szybko. — Władze syberyjskie zaczęły już nie-
wątpliwie poszukiwania. Należy więc koniecznie

- -

przedłużyć rozmowę z Azjatami, aby zyskać na czasie.

Ale Znicz milczał.

Słowa Parkera trafiły w próżnię, bo i dr. Chwostek, zapatrzony gdzieś w przestrzeń, zdawał się ich nie słyszeć i powtórzył spokojnie:

— Nie ruszą...

Parker spoglądał osłupiały.

W tejże chwili zaskrzeczał dzwonek, błysnęło światło i w głębi czarnej ramy pudełkowej zjawił się znów okrutny obraz.

— Piętnaście minut minęło — mówił Azjata w europejskim ubraniu, stojący wprost za Ela. — Czekamy odpowiedzi.

Znicz wyprężył się. Dławiło go wzruszenie.

Wpił chciwie oczy w jedynaczkę, jakby pragnąc jeszcze wrazić sobie obraz jej w pamięć. A Ela spoglądała na niego błagalnie. Piersi jej podnosiły się i opadały szybko. Przechyliła się jeszcze bardziej ku ojcu.

Znicz nie mógł już dłużej wytrzymać tego widoku. Czuł, że słabnie, szybko więc, ale głosem pewnym i donośnym odparł:

— Nie!

Na twarzy przemawiającego Azjaty odmalowało się uczucie zawodu i wściekłości. Sekundę jeszcze czekał, poczem wyrzucił z gardła krótki rozkaz i dał znak ręką.

Mongoł, stojący po stronie Lecrane'a, podniósł szablę do ciosu... '

— -

Znicz zbladł śmiertelnie, a Parker pobiegł z przekleństwem na ustach ku obrazowi, wygrażając pięścią. Tylko dr. Chwostek nie ruszał się, jak mar-

twy, ze swego miejsca.

W tejże chwili stała się rzecz dziwna:

Z poza pleców Lecrane'a wysunęła się ręka jego i, trzymając niewielki przedmiot, skierowała go błyskawicznie ku Mongołowi, wznoszącemu szablę do ciosu. Rozległo się ciche klaśnięcie i Mongoł, jak piorunem rażony, padł na podłogę.

— Pistolet pneumatyczny! — zawołał Parker.

Ale już Lecrane zerwał się z ławy i, odwróciwszy się ku oszołomionym Azjatom za stołem, raził ich z szaloną szybkością i pewnością ręki, jednocześnie zaś Montluc schylił nagle głowę i potężnym jej uderzeniem przewrócił na siebie stojącego po jego stronic Azjatę z szablą, a otrząsnąwszy się z tego ciężaru, przywalił go swem ciałem i uchwycił zębami za uzbrojoną rękę.

Ośłupieni widzowie niespodziewanej walki dostrzegli jeszcze, że i Ela zrywa się z ławy, biegnie ku nim, słania się i pada, poczem wszystko znikło, jak sen, i przed oczyma ich widniała tylko czarna rama, a w jej głębi matowa tafla, w której odbijało się już światło nastającego dnia.

W gabinecie słyhać było tylko szybkie, gwałtowne oddechy Znicza i Parkera. Ciszę przerwał znów bezdźwięczny głos dra Chwostka:

— Zawiadomić władze nasze. Niech śpieszą na spotkanie!

- —

Wyrzekłszy te słowa, podniósł się z fotela i wyszedł z gabinetu.

Nie upłynęło jeszcze godziny, a już w parkach

lotniczych Rzeczypospolitej Polskiej wszczął się ruch niezwykły, i wnet cała eskadra samolotów wojennych poszybowała na wschód całym pędem swych maszyn, zawiadamiając po drodze władze rosyjskie o celu podróży.

ROZDZIAŁ VII. PALACZE OPJUM.

W rozwidleniu południowego Ałtaju, w sercu niemal dawnego chanatu Hun«un, owej ojczyzny Hunnów, stoi cichy monaster lamaicki.

Przez długie wieki wiedziano o nim tylko tyle, że jest, jak i inne, siedliskiem pobożnych łamów, gdy oto nagle sława jego zaczęła się szerzyć na północ i na południe, na wschód i zachód, docierając do stepów kirgiskich i do Chin, do mroźnej Syberji i Syjamu upalnego. Bowiem zabłysnął w nim, jak meteor nieznośnego blasku, hipnotyzując tłumy, chubilchan promienny, Bełtys lama, uznany powszechnie za bodisata, za nowe wcielenie Buddy.

Wcieleń takich znał lamaizm już wiele. Oddawien dawna czczono, jako największego chubilchana Mongolji, Czebzun-dambę-chutuchtę w Urdze; oddawien dawna cały świat lamaicki wie, że Dalajlama z Potali to wcielenie bodisata Awalokiteszwary, tworu Buddy Amitaby, a chubilchan PanczeńsErdeni to nawet wcielenie samego Buddy Amitaby.

Ale sława Bełtysa lamy zaćmiła tamtych, jak ogień ogromnego pożaru, buchającego dymami, zaćmiewa na pewien czas nawet blask słońca.

Dokoła lamy z monasteru ałtajskiego krążyły już niezliczone legendy. Powiadano nawet, że jest niezemskiego pochodzenia, że począł się, na podobieństwo protoplasty Mongołów, Budancara, w łonie matki ze związku jej z tengrjem — duchem niebiańskim. Trzeźwiejsi jednak i starsi ludziska, pamiętający młode lata słynnego lamy, wzruszali na takie opowiadania ramionami. Wszak wiedzieli, że Bełtys jest synem Burjata selengińskiego, którego przodkowie, uciekając w siedemnastym wieku przed najściem chana Ojrotów, Boszoktu, powędrowali nad dolną Selengę w granice rosyjskie i tam osiedli, i że ojciec Bełtysa, wielce pobożny lamaita, sam przywiózł syna do Mongolji, aby tu poświęcić go stanowi duchownemu. Wszak pamiętali jeszcze, że w młodym wieku nazywano Bełtysa Orosem, ze względu na jego pochodzenie. Ale to ziemskie, zgoła naturalne pochodzenie Bełtysa nie przeszkadzało, że już jako młodzieńiec, będąc jeszcze skromnym bandim, okazywał niezwykłą moc ducha i ciała, że jako getsuł poddawał się dobrowolnie najcięższym próbom fizycznym, znosząc bez szemrania straszne dla innych męki, że zagłębiał się w kontemplacji religijnej do tego stopnia, iż stawał się całkiem nieczuły na to, co się dokoła niego dzieje, i że w chwilach takich promieniał jakąś siłą niesamowitą, poruszającą do-

- —
koła niego przedmioty nawet martwe. Gdy zaś po próbach stał się gelongem, sława jego świątobliwości i wytwarzanych przez niego czynów niezwykłych towarzyszyła mu już wszędzie. Cóż dopiero mówić o tem, co się działo, gdy, obrany chanpo-lamą, stanął na czele monasteru?

Gdy wkraczał do świątyni, wówczas nietylko, jak przed Dalaj-lamą w Potali, zapalały się same lampy, tam wiszące, ale i wrota jej otwierały się przed nim samorzutnie, a gdy wzniesiony na ołtarz w szatach złocistych siedział na tronie, wtedy tłumy, przed świątynią zebrane, przejmował lęk nieopisany i wpadały w ekstazę, gotowe na wszystko dla tego, którego uznawały już za bodisata -). I najpobożniejsi nawet getsułowie i gelongowie obawiali się spojrzeć w oczy swego przełożonego, takie z nich były pioruny ducha, przeszywające ich myśli najtajniejsze, choć senne, zdawałoby się, powieki przysłaniały blask źrenic chubilchana.

-) Lama — dosłownie „starszy”, właściwie: opat. Tytuł ten jednak dawany jest wszystkim duchownym lamaickim. Bandi— nowicjusz, getsuł — mnich, gelong — kapłan wyświęcony, chanpo — przeor.

-) Oroś — Rosjanin.

-) Chubilchan, chutuchtu, bodisat (bodhisat)—wcieleni święci lamaiccy różnych stopni.

Zawiła doktryna metafizyczna Bodisatu, zwana przez zwolenników jej Wielkim Wozem (Maha-jana), w odróżnieniu od stworzonej przez Saktę Muniego (Jotamę (Budę) doktryny Arahatu (Nirwany), zwanej przez nich Małym Wozem (Hina-jana), opiera się na dowodzeniu, że wielkość, dobroć i prze-

- -

Przemawiał rzadko, bo rozkazywał myślami, jego zato myśli nikt odczytać nie potrafił. I długo trwało, zanim myśli te ujawnił czynem, bo długo sączył je w tłumy, nasiąkające niemi bezwiednie i nie przeczuwające, skąd pochodzi to dziwne ocaknienie się i powrót energii wojowniczej w rasie mongolskiej?

A były to myśli złe, choć potężne.

Uznany za chubilchana przez świat lamaicki, nie czuł jednak w głębi serca wdzięczności dla czczonych przez Mongolję świątobliwych chanów Ałtana i Atabaja. Bo jakżeż mógł być wdzięczny tym krzewicielom lamaizmu w Mongolji południowej i północnej on, w którego krwi odżyły w sposób tajemniczy atawistyczne cechy Mongołów: wojowniczość, dzikość i żądza zwycięstw, skoro wiedział, że buddyzm właśnie cechy te poskromił i złagodził do niepoznania obyczaje plemienia mongolskiego?

nikliwość Buddy były zbyt doskonale, aby mogły być dziełem jednego życia i rozwinąć się w ciągu niego. Na końcu każdego istnienia Karma (prawo przyczynowości, los, t. j. czyny i

dzia»
lalność, nagromadzone podczas poprzednich istnień) przekazana jest nowej osobistości, będącej tą samą indywidualnością, wytworem, produktem tej samej Karmy. Wcielenie to, o ile biega doskonałości, zwą bodisatem.

Stan Bodi — według prof. Pozdniejewa — wyobrażają sobie buddyści, jako byt, który wyzwolił się ze związku z materją

i stawianymi przez nią przeszkodami, był zupełnie czysty, nieruchomy, „jak płomień lampy, płonącej wśród ciszy powietrza”.

- -

Zato z jakąż lubością marzył o tym synu Hunów, który, zawędrowawszy do dalekiej Panonji, założył tam królestwo swoje i stał się Biczem bożym Europy; jakąż dumą rozpierały mu piersi dzieje Isukej bohadura i syna jego, potężnego władcy, chachana -) Czingisa; pogromcy Kaukazu, Ugedeja; groźnego Batyja, który rozciągnął granice państwa swego niemal po Wisłę; największego w swoim czasie władcy świata, pogromcy Chin, bogdychana Chubilaja (Kublajaja); a nawet okrutnego Timura chromego, bo choć to już wyznawca Islamu, to jednak zawsze syn Mongolji! Tych władców wojowniczych i dumnych, nie zaś świątobliwych Ałtanów i Atabajów, czciła buntownicza dusza jego i pragnęła im dorównać. A przecież nie on pierwszy był takim lamą buntowniczym, boć dawno już, dawno także lama Tszu-juarkszan wypędził z Pekinu bogdychana Togontemura, zasiadł na tronie chińskim i stał się założycielem dynastji Ming. Aby tylko mieć siłę! A on ją posiada. Większą, niż szamanowie Czingisa lub Batyja, niż mułowie Timura lub jogowie hinduscy. Skrystalizowała się w nim cała siła duchowa plemienia mongolskiego. Wszak nie jest wcieleniem od dziecka żadnego poprzedniego świątobliwego lamy; wszak nie wyszukano go wśród mrowia dzieci przy modłach i ob-

-) (chachan — wielki chan.

- -

rzędach zâ wskazówkami innych chubilchanów. Tylko niepojęta, poskramiającą wszystko potęgą ducha zdobył cześć i hołdy, pociąga za sobą rzesze.

Wszak wymownym dowodem tej potęgi jest niepokój, który ogarnął Dalajlamę, i Bogdo-lamę i lamę Sakjaskiego, i chutuchtów, a nawet dalekiego radzę Butanu na wieść o rosnącym wpływie jego wśród lamaitów wszystkich krajów. Ale nic obawiał się skutków tego niepokoju. Potęgą ducha odgadywał tych, których nadsyłano, aby go usunąć. Wystarczało mu spojrzenie dla rozeznania wśród obcych przybyszów pod żółtą szatą świątobliwych lamów lekarzy-trucicieli, i usuwał ich samych na zawsze.

Zew jeden, ale potężny, ruszy rzesze! Garstka dzielnych i wiernych wojowników pociągnie za sobą cały świat mongolski. Przecież Czingis i Timur nieinaczej rozpoczynali swe słynne podboje! A podłoże do podbojów istniało gotowe. Widział i czuł dobrze wrzenie, szerzące się wśród ludności wszystkich krain azjatyckich wskutek ich przeludnienia. Japończycy dusili się wprost z tego powodu na swych wyspach, a ileż to setek tysięcy ludzi kosił corocznie głód w płodnych Chinach wskutek braku ujścia dla nadmiaru ludności? Wszak nawet stepową Mongolję zalewali już wygłodzeni Chińczycy! Jednocześnie Europa cie-

szy się dobrobytem i bez troską i, choć ma tyle jeszcze miejsca dla głodnych Azjatów, jednak za-

- -

mierzą zamknąć przed nimi zupełnie swoje granice.

Tam łup, tam żywność dla wszystkich!

Prawda, że Budda nie pozwala zabijać nawet pasorzyta, ale jakże sprzeczne jest życie z nauką Oświeconego! Jakże często przecież nawet święta Lhasa staje się w czasie uroczystości noworocznych, skupiających tłumy wiernych, widownią rzezi krwawych i to wśród bogobojnych łamów? Lamaizm uczy, że tylko lamaity ciało jest cenne, lamaita więc tylko może być zbawiony. Inni ludzie, choć posiadają wygląd człowieka, nie stoją pod względem duchowym wyżej, niż zwierzęta. Dlaczego więc nie zapewnić im zbawienia choćby siłą, rozszerzając przytem panowanie lamaizmu nad światem -).

Tak rozmyślał potężny a buntowniczy chubilchan z monasteru altajskiego, i drgało już, jak powietrze upalne nad łanami zboża lub nad pasące-

-) Ciekawą jest rzeczą, jak buddyzm pierwotny, oparty na intelekcie i wyłączający w poglądach swych na przeszłość i przyszłość zupełnie wiarę w Boga oraz w istnienie duszy i świata pozagrobowego w pojęciu chrześcijańskim, staje się; /czasem religią ezoteryczną. W wędrówce z nad Gangesu na północ wchłania cześć dla mnóstwa bóstw hinduskich, zwłaszcza?

cza wyznawców Siwy, a dotarłszy do Tybetu, przesiąka tam

szamanistycznym kultem mnóstwa duchów, wytwarzając nową wiarę: lamaizm, będący już—jak pisze prof. Rhyss Dawids—

wprost przeciwieństwem pierwotnej ateistycznej nauki Sak»kia Muniego Gotamy (Buddy, t. j. Oświeconego), który z postaci historycznej stał się z biegiem czasu bóstwem.

- -

mi się w stepach stadami, hasło nieme; Na zachód, na zachód! Szeptano o niem, jak o dziwnem objawieniu, we wszystkich chanatach mongolskich, i w prowincjach chińskich, i tam daleko na południu, w Annamie, Syjamie, Birmanji...

Mistyczny szal ogarniał ludy azjatyckie. I nadeszła wreszcie chwila wybuchu, a wywołali ją Palacze opjum.

Przed laty wielu, gdy pod naciskiem kongresów międzynarodowych i agitacji higjenistów całego świata zakazano zupełnie pod surowemi karami handlu opjum i gdy pod rządami nowego bogdychana — prastare bowiem Chiny nie mogły ostać się, jako rzeczpospolita — poskromiono nareszcie samowładztwo tuchunów -), uprawiających handel ten na własną rękę — gdzieś nad brzegami Hoang - Ho niedaleko Wielkiego muru powstało bractwo tajemnicze, nie mogące się pogodzić z nowym porządkiem rzeczy. Bractwo to wzięło sobie za cel pielęgnowanie starych zwyczajów i obyczajów a jednym z nich było palenie opjum.

Bowiem zupełny zakaz palenia opjum stał się gwałtem, zadany naturze Chińczyka. Narkotyżujący wyciąg makowy przez tyle wieków używa-

ny z pokolenia w pokolenie wszedł w krew synów

-) Tuchun — wielkorządca prowincji.

- -

państwa Niebieskiego, jak betel lub haszysz w południowych krainach Azji. Pożądanie go było silniejsze wśród ludu prostego, niż wszelkie zakazy. Gdy więc nabywanie narkotyku drogą legalną stało się niemożliwe, zdobywano go potajemnie, a pośrednikiem stało się bractwo z nad Hoang-Ho. Nie dziw, że rosło i potężniało, zyskując wpływy coraz większe i rozporządzając ogromnymi kapitałami.

W chwili, gdy Bełtys lama zaczął snuć swe projekty, a myśli jego promieniowały na wszystkie krainy Azji — bractwo, które nazywano już powszechnie Związkiem palaczy opjum, osiągnęło takiej potęgi, że nawet rząd chiński drżał przed nim.

Zorganizowane jako olbrzymia armja żołnierzy, zespolonych uroczą przysięgą, której złamanie karane było zawsze śmiercią, posiadało placówki na całym świecie, gdzie tylko skupiły się gromadki przedstawicieli rasy żółtej. Dzięki też środkom posiadanym i potrzebie przemycania zakazanego narkotyku, rozporządzało własnymi linjami komu-

nikacji powietrznej. Krążyły po nich niezmiernie szybkie i lekkie ortoptery i helikoptery, rzekomo własność bogatych turystów, zrećźnie omijające

posterunki policji powietrznej, ale w razie zaczepienia meldujące się zawsze dokumentami w jak największym porządku. Rozporządzało wreszcie portami i składami, ukrytymi w niedostępnych zakątkach ziemi,

Oczywiście, że taka potęga tajna, obejmująca niemal wszystkich Azjatów, musiała z konieczności, poza handlem opjum i walką z nowatorstwem, niweczącem dawne zwyczaje i obyczaje, zetknąć się także z potrzebami, krzywdami i niedomaganiem członków swoich bądź to w Azji, bądź to rozsypanych po świecie. Nabierała więc stopniowo charakteru politycznego, stawała się rządem nieoficjalnym i orędownikiem Azjatów tam, gdzie rządy azjatyckie działać nie mogły lub nie chciały. Ona też wkońcu stała się środkiem, za pomocą którego potężne zamysły, promieniujące z mózgu Beltysa, przedostawały się w najodleglejsze zakątki Azji.

I oto w dymach opjum, w rozkosznych marzeniach sennych członków Związku palaczy opjum poczęły zarysowywać się coraz wyraźniej cele wojownicze porachunku z „Białymi djabłami”, żądza już nietylko usunięcia ich z Dalekiego Wschodu, ale także posiadania ich krain, zalewu Europy przez rasę żółtą.

A w miarę wzrostu tych apetytów w masach wzrastała niecierpliwość, która też udzieliła się wkońcu kierownikom Związku. Wyraz „Czandu”, będący z początku tajnym hasłem przemytników

opjum, stał się symbolem snów rozkosznych, które miały się urzeczywistnić, i powtarzał się coraz częściej i coraz bardziej nagle.

Wreszcie, jak to się zdarza często w organizacjach tajnych, dufnych w swą siłę i nie liczących

- -

się ze względami, krępującymi rządy oficjalne — gdy Znicz wszczął w parlamencie europejskim agitację za zamknięciem granic Europy dla Azjatów, Związek palaczy opjum postanowił działać na własną rękę.

Za jego to sprawą pacyfiści i altruści europejscy zwalczali tak gorliwie trzeźwe projekty przewidującego posła polskiego, gdy jednocześnie w głębinach Azji powstawały ogromne zastępy armji ochotniczej, przygotowywały się całe floty statków powietrznych, a rządy państw azjatyckich pod naciskiem potężnych wpływów musiały zamknąć oczy na to, co się pod ich bokiem działo. Gdy zaś wszelkie podziemne sposoby zwalczania agitacji Znicza zawiodły i gdy poseł polski zadał przeciwnikom swoim cios decydujący przez zdobycie tajnej ustawy Palaczy opjum — Związek postanowił użyć środka terroru, aby odwlec uchwalenie prawa przeciwko Azjatom, dopóki Bełtys lama, ów duchowy, choć milczący jeszcze kierownik wojny świętej przeciwko Europie, nie wyda hasła do marszu Mongołów na Zachód.

A Bełtys milczał rozmyślnie.

Znał dobrze poczynania Związku i jeżeli nie przeciwdziałał porwaniu córki Znicza, to właśnie

dlatego, że zgadzało się to z jego planami, że czuł lepiej, niż kierownicy Związku, iż masy azjatyckie przesiąkły już zupełnie jego duchem, gwałt zaś Palaczów opjum stanie się pożądanym incyden-tem dla wtrącenia Europy w wojnę z Azją.

- —

Opanowani po krótkim oporze Ela, Lecrane i Montluc stracili — jak przypominamy sobie — przytomność pod wpływem gazu odurzającego. Odurzenie musiało być silne, przyszedłszy bowiem do siebie, spostrzegli, że przeniesiono ich do helikoptera azjatyckiego i że leżą rozciągnięci ze skrepowanymi rękami i nogami na wygodnych, miękkich kanapach długiej i wąskiej kajuty, oświetlonej łagodnym światłem, płynącym z półkul matowych, przytwierdzonych do pułapu. Przy wąskim składanym stole, zajmującym środek kajuty, siedziało dwóch Azjatów, zamieniając od czasu do czasu urywane zdania. Pierwszy, oprzytomniał Lecrane. Otworzywszy oczy, przez czas dłuższy nie mógł sobie zdać sprawy, co się z nim dzieje. Powoli jednak powracała pamięć, w umyśle odtworzył mu się obraz napadu i krótkiej walki i wreszcie, powiódłszy okiem po kajucie i siedzących przy stole Azjatach, tudzież dosłyszawszy lekki odgłos śmig helikoptera w ruchu, domyślił się reszty. Leżał jednak jeszcze nieruchomo, choć czuł, że uwiera go coś mocno w biodro, na którym leży, a skrepowane z tyłu ręce nie pozwalają usunąć przeszkody. Przymknął wreszcie znów oczy, aby zastanowić się nad spo-

sobami wybrnięcia z tej przygody, ale ból w biodrze nie pozwalał zebrać myśli. Nagle przypomniał sobie, że obdarzony jest niezwykłą właści-

wością, którą niekiedy produkują się sztukomistrze. Oto potrafił tak ściągać mięśnie w stawach rąk i wydłużać stawy, że mógł wydobyć ręce nawet z silnie ściągniętych więzów. Będąc jeszcze studentem, odkrył tę właściwość swoją przy ćwiczeniach gimnastycznych i demonstrował ją nieraz zdumionym kolegom. Teraz przypomniał ją sobie i postanowił spróbować, czy jeszcze nią włada, choćby dla przekonania się, co go tak uwiera.

Wyprężył więc poza plecami skrępowane ręce, ściągnął mięśnie, wydłużył stawy prawej ręki i niedostrzegalnym ruchem zaczął wysuwać ją z więzów. Serce zabiło mu radośnie, przekonał się bowiem, że ręka wysuwa się zupełnie swobodnie. Po chwili była wolna, Wówczas opuścił ją cicho, i nieznacznie na poduszki kanapy i podsunął pod siebie.

Zaledwie jednak dotknął twardego przedmiotu, który mu tak dokuczał, ogarnęło go gwałtowne wzruszenie. Otworzył oczy. Azjaci siedzieli wciąż przy stole, zajęci rozmową.

Z niezmierną ostrożnością, aby nie zwrócić ich uwagi, wysunął znaleziony przedmiot z pod siebie i wkrótce trzymał go już w ręce.

Oczy jego, zwrócone na Azjatów, błysnęły dziwnie. Jedna jeszcze sekunda, a leżeliby obaj bez

życia.

Ów przedmiot, trzymany obecnie w zaciśniętej kurczowo dłoni młodego inżyniera, był bowiem

- -

jego własnym dziesięciostrzałowym pistoletem pneumatycznym najnowszego systemu, bronią zabójczą, nie wydającą wcale huk, jak dawne pistolety, nabijane prochem. Lekki trzask, podobny do kłaśnięcia, pocisku, wypadającego z lufy, oto wszystko, co zwiastowało działanie tej broni. Widocznie podczas rewizji — a że Azjaci przeszukali kieszenie więźniów, tego dowodem był dla Lecrane'a odczuwany w kieszeni na piersiach brak portfela — pistolet ten wysunął się na miękkie poduszki kanapy i pozostał tam niespostrzeżony. — Strzelić, czy nie strzelić? — zakotłowało w mózgu inżyniera.

Ale przyszła rozwaga. Nie wiedział, wielu jeszcze Azjatów znajduje się w helikopterze. Ela i Montluc nie odzyskali może jeszcze przytomności. W razie więc nawet pokonania załogi byłby pozostawiony własnym siłom, nie wystarczającym dla kierowania wielkim statkiem. A jeżeli podczas walki pociski uszkodzą maszynę? Jeżeli wreszcie drugi helikopter Azjatów znajduje się w pobliżu i zaalarmowany będzie przez walczącą załogę sygnałem elektrycznym?

Wszystkie te względy zdecydowały Lecrane'a. Odzyskany pistolet schował nieznacznie do kieszeni, oswobodzoną rękę wsunął z powrotem do więzów, poczem podniósł się i siadł na kanapie.

Na ruch ten więźnia obaj Azjaci zwrócili się ku niemu.

— -

Lecrane utkwiał w nich wzrok śmiały i spytał po francusku:

— Co znaczy ten gwałt, panowie?

Na dźwięk tych słów, Ela i Montluc podnieśli się także szybko z kanap, na których leżeli dotychczas bez ruchu, jeden zaś z Azjatów odparł spokojnie, również w języku francuskim:

— Jesteście zakładnikami.

— Z jakiego powodu? — zawołał inżynier zdumiony.

— Dowiedcie się o tem wkrótce.

— O wykup wam chodzi? — nalegał Lecrane.

— Dowiedcie się o tem wkrótce — powtórzył zimno Azjata.

— Bez względu na to, czego sie dowiemy — zawołał Lecrane, podniecony — nikczemna ta zbrodnia nie może ujść wam bezkarnie. Cała potęga sfederowanej Europy stanie w obronie naszej przeciwko wam, dzicy Azjaci!

Na te słowa oczy obu Mongołów błysnęły złowrogo, pohamowali się jednak i nie odpowiedzieli ani słowem.

Ela i Montluc przyglądali się tej scenie przerażeni. I ich umysły pracowały bezowocnie nad rozwiązaniem zagadki tej tajemniczej i zuchwałej napaści niemal w sercu Europy, na szlaku, który zdawał się tak bezpieczny. Gdy więc Lecrane zwrócił się do Azjatów z zapytaniem o jej zna-

czenie, czekali z zaciekawieniem odpowiedzi, w miarę jednak rozwijającego się dialogu ogar-

niał ich niepokój coraz większy, skoro zaś usłyszeli namiętny okrzyk Lecrane'a, zaparli oddech, gdyż byli pewni, że dozorczy rzucają się na skrepowanego inżyniera.

Zamiast wszakże spodziewanej Walki, w kajucie zapanowała głęboka cisza. Tylko szum śmig helikoptera i szelest powietrza, ocierającego się o kadłub pędzącego statku, tworzyły przeciągłą melodię bez końca.

Ela, która na ostatnie słowa ukochanego zerwała się z kanapy i, zapominając o skrepowanych nogach, chciała pośpieszyć ku niemu, zachwiała się i osunęła zpowrotem na poduszki. W oczach jej stanęły łzy gniewu i bezsilności, a drżące wargi powtarzały okrzyk narzeczonego: "

— Dzicy Azjaci, dzicy Azjaci!

Minęła może godzina wśród tej ciszy, gdy otworzyły się drzwi, wiodące do przedniej części statku, i ukazała się w nich kosooka głowa trzeciego Mongoła.

Jak się można było domyślać z intonacji głosu, zaglądnący pytał o coś, a na pytanie to jeden z obecnych w kajucie Azjatów odparł krótko:

— Ułan daba! — poczem głowa pytającego znikła za drzwiami i znów cisza zaległa kajutę.

Ela, leżąca najbliżej tych drzwi, dosłyszała wyraźnie odpowiedź i tajemnicze wyrazy utkwily jej w pamięci.

— Ułan daba, ułan daba? — powtarzała w myśli i nagle przypomniała sobie, że gdzieś czytała,

— -

czy też słyszała, iż ułan znaczy po mongolsku czerwony, kto wie zatem, czy rzucone przez dozorcę wyrazy nie oznaczają nazwy miejscowości, w której samolot ma wylądować?

Spojrzała na narzeczonego, ale twarz jego zasłaniaли Azjaci, siedzący przy stole, Montluca zaś wcale dojrzeć nie mogła, gdyż kanapa jego znajdowała się wprost za jej głową w głębi kajuty.

Wreszcie ogarnęło ją ciężkie znużenie, a choć postanowiła sobie mocno, że mu nie ulegnie, to jednak, zaledwie przymknęła oczy, myśli jej zaczęły się mącić, blednąć — i zasnęła.

Obudził ją nieznośny ból w skrepowanych rękach i nogach. Z piersi wyrwał się jęk cichy i uniosła się na poduszkach.

Już światło rodzącego się dnia przenikało do kajuty przez obszerne okna. Lecrane i Montluc siedzieli na swych kanapach. Na pobladłych, znużonych ich twarzach znać było tłumiony gniew.

Azjaci stali przy oknie, wpatrzeni w przestrzeń. Nagle jeden z nich przechylił się naprzód i zawołał:

— Ułan daba!

Ela zapomniała o bólu. Okrzyk ten i oczy Azjatów, wpatrzone gdzieś w głąb, za okno, potwierdzały jej nocne domysły. Domysły te zamieniały się teraz w pewność. Przynajmniej wie, dokąd lecą.

Jednocześnie Lecrane uniósł się z kanapy i wpatrzył chciwie w okno. Przy wzrastającym świetle

- -

dziennem widać było w dole zarysy gór. Zarysy te stawały się coraz wyraźniejsze i zdawały się zbliżać ku statkowi. Widocznie helikopter opuszczał się w dolinę.

Tak było istotnie. Wkrótce błękit niebios zniknął i widniały już z obu stron statku tylko czerwone zbocza górskie.

Młody inżynier tak zapałzył się w ten widok, że nie spostrzegł, iż głowy Azjatów zwróciły się ku niemu, i po chwili leżał powalony na poduszki kanapy.

Ela krzyknęła przeraźliwie, a jeden z Azjatów nacisnął guzik elektryczny, tkwiący w ścianie. Rozwarły się drzwi, wiodące do przedniej części statku. Jeszcze dwóch Mongołów wpadło do kajuty i, rzuciwszy się na jeńców, przewięzało im oczy chustkami, podanymi przez dozorców.

I znów słyhać było tylko szum śmig helikoptera. Trwało to jednak już tylko chwilę, bo nagle statek drgnął lekko i szum śmig ustał.

Więźniowie usłyszeli szybkie kroki i otwieranie drzwi statku. Do kajuty wpadł prąd świeżego powietrza, a z nim obce głosy. Nie ulegało wątpliwości, że statek stanął u celu podróży.

Do kajuty musiało wejść jeszcze kilka osób, zapewne obcych, bo słyhać było liczne kroki, ożywioną wymianę zdań i okrzyki, jakby zdziwienia. Nagle więźniowie uczyli, że są chwytni silne-

mi rękoma, unoszeni przez postacie, cuchnące

- —

potem i brudem, i spuszczeni ze schodków samolotu.

Gdy wreszcie odwiązano im chusty, zasłaniające oczy, a natomiast przewiązano temi chustami usta, znaleźli się usadowieni na długiej ławie, oparci plecami o krawędź stołu, stojącego w typowej izbie chaty rosyjskiej.

Oba okienka izby zasłaniały okiennice, z pułapu zaś zwieszała się starodawna żarowa lampa elektryczna, oświetlając żółtym blaskiem piec obszerny, ikony w kącie, ściany bielone, a na jednej z nich wprost przed siedzącymi przyrząd radiotelefoniczny z telekinematografem.

U każdego końca ławy stanął zbir z obnażoną szablą w ręce.

Ubrany wytwornie po europejsku Mongoł zbliżył się do radiotelefonu. Wywiązała się długa rozmowa telefoniczna w języku mongolskim, poczem rozmawiający odszedł za stół.

Więźniowie nie mogli widzieć, co się tam dzieje, ale słyszeli namiętne, szybko rzucane słowa. Zapewne toczył się spór o nich. Stopniowo spór łagodniał, i wreszcie jeden z mówiących przystąpił do telekinematografu, połączonego z telefonem głośno mówiącym.

Więźniowie drgnęli i wyprostowali się na ławie. Serca ich zabiły gwałtownie, a rozgorączkowane oczekiwaniem oczy przywarły wprost do telekinematografu, bo Azjata mówił po francusku, wzy-

wając Warszawę, a w niej posła Adama Znicza.

— -
I zakołysały się, biegnąc w przestwór, fale elektryczne, przeleciały w mgnieniu oka tysiące kilometrów i trafiły do celu.

Przez chustę, zakrywającą usta Eli, wyrwał się jęk cichy, zatrzeszczały sznury, krępujące jej ręce, cała postać przechyliła się ku przodowi.

W czarnej, pudełkowej ramie telekinematografu ukazał się tak dobrze jej znany gabinet ojcowski, a w nim droga postać ojca, obok zaś Parker a i w głębi d-ra Chwostka.

I zaczął się znany już nam dialog.

Ze wzruszeniem, wstrząsającym dusze, z oddechem zapartym słuchali go więźniowie, i przebiegł ich dreszcz zimny, gdy usłyszeli zapowiedź Azjaty. Ela jednak na widok d-ra Chwostka przypominała sobie nagle wyrazy, słyszane w samolocie, i wiedząc, jak głuchy lekarz biegle czyta z ruchu warg, postanowiła, bądź co bądź, zawiadomić swoich o miejscu, w którym wylądował, jak przypuszczała, helikopter azjatycki.

Udało się jej wreszcie oswobodzić usta ruchem dolnej szczęki i wymówić dobitnie, choć milcząco, dwa razy:

— Ułan daba, Ułan daba!

Czynność ta zajęła ją do tego stopnia, a powodzenie tak podnieciło, że nie myślała już prawie o strasznej groźbie, rzuconej przez Azjatę.

Zapowiedziany kwadrans zwłoki wydawał się jej dostateczny, aby przybyła odsiecz.

Jeżeli wszakże Ela zamieniła się cała w słuch

i z biciem serca oczekiwała chwili, w której rozlegną się kroki na dworze i obrońcy wpadną do izby, nie rozumiejący zaś po polsku Montluc wodził wzrokiem pytającym po towarzyszach niedoli, to Lecrane, usłyszawszy groźbę, jakby stęzał pod jej wpływem. W sercu jego zamarła bojaźń i niepokój. Czuł, że nadchodzi chwila rozstrzygająca, że należy przynajmniej drogo sprzedać życie, jeżeli nie odnieść zwycięstwo. Prawa jego ręka wydłużyła się i zwęziła tak, że sznury zwisły na niej zupełnie swobodnie. Znajdujący się za ławą stół nie pozwalał widzieć tego siedzącym ztyłu Azjatom. Także stojący po lewej stronie Lecrane'a Mongoł nie dostrzegł, że dłoń więźnia, wysunawszy się z więzów, podniosła się bez najmniejszego ruchu łokcia ku kieszeni i oparła na lędźwi, gotowa do rzutu.

W chacie panowała cisza, przerywana tylko od czasu do czasu krótkimi, urywanymi zdaniami Azjatów za stołem. W powietrzu unosił się błękitny dym i czuć było odurzającą, aromatyczną woń palonych przez nich papierosów.

Napróżno Ela wyteęzała słuch. Z poza chaty nie nadlatywał odgłos najmniejszy. Wiekiem wydawało się jej to oczekiwanie, a gdy wreszcie jeden z Azjatów ruszył ku ścianie z radjotelefonem, drgnęła przerażona i błagalnie spojrzała na narzeczonego.

I oto znów ukazał się w ciemnej ramie znany obraz. Znów ujrzała drogą postać ojca i wzrok

jego, utkwiony w nią z niewymownem umiłowaniem.

Gdy wszakże usłyszała krótki, stanowczy wyraz: Nie! — padający z ust ojcowskich, wszystko zakręciło się jej przed oczyma.

Chciała krzyknąć, ale głos zamarł jej w piersiach.

Widziała jeszcze, że stojący przy jej narzeczonem Mongoł pada na podłogę i że Montluc uderza głową drugiego.

Ogarnął ją strach. Ostatnim wysiłkiem woli zerwała się z ławki. Męcące się myśli jej nie zdawały już sobie sprawy z rzeczywistości. Zdawało się jej, że może przecież stanąć u boku tego ojca, którego widzi tak blisko. Rzuciła się więc, słaniając, ku obrazowi telekinematografu, ale opuściły ją już siły. Straciła przytomność i padła, uderzając o szafkę radjotelefonu.

Gwałtowny ten wstrząs aparatu przerwał połączenie z Warszawą.

I dlatego to Znicz, Parker i dr. Chwostek straciii z przed oczu dalszy ciąg dramatu, rozgrywającego się w chacie rosyjskiej u podnóża Ułan daba.

ROZDZIAŁ VIII.

PILOT CHANA DŻASSAKTU.

Lecrane załatwił się szybko. Już czterech Mongołów leżało bez życia, rażeni kolejno, zanim zdążyli się opamiętać, błyskawicznymi strzałami z pewnej ręki inżyniera. Jeden tylko jeszcze, powalony przez Montluca, walczył z lotnikiem, przyciskającym mu głowę całym ciężarem ciała. Jeszcze jeden strzał i ostatni zbir wyprężył się także nieruchomo. Przeciąć więzy Montluca wyrwaną z rąk Mongoła szablą było dziełem jednej chwili. Dokonawszy tego, Lecrane zwrócił się ku narzeczonej.

Dopiero wówczas spostrzegł przechyloną ciemną szafkę radjotelefonu. Wznowienie jednak połączenia z Warszawą nie miało celu.

Uniósłszy przy pomocy ciężko dyszącego je-

szcze pilota omdlałą Elę, oswobodził z więzów jej rękę, poczem, zbadawszy troskliwie, czy nie jest raniona, pozostawił ją pod opieką towarzysza, sam zaś pośpieszył ku drzwiom w głębi izby. Przez chwilę nasłuchiwał pilnie. Ale i zewnątrz panowało milczenie. Wówczas otworzył drzwi

— -

ostrożnie i wychylił głowę. W małej sionce, dzielącej izbę od podwórza, nie było nikogo.

Stwierdził to odrazu, drzwi bowiem, wiodące z sionki na dwór, stały uchylone, i wpadające przez otwór światło dzienne oświetlało ją dokładnie. Przystąpił więc próg i ruszył ku drzwiom zewnętrznym. Ale zaledwie wyjrzał przez nie,

oczy jego zaświeciły radością, serce zaś zabiło gwałtownie.

W odległości kilkunastu kroków od chaty, w ci«szy wczesnego poranka, wiejącego jeszcze chłodem, stał wspaniały, wysmukły helikopter — zapewne ten sam, który ich tutaj przywiózł — zasłaniając swym kadłubem widok dalszy.

Lecrane ośmielony wychylił głowę przez drzwi. W tejże chwili doleciał go cichy szmer z poza chaty. Cofnął się więc szybko. Teraz szmer wzmógł się nagle, wnet jednak ustał, aby znów się powtórzyć jeszcze dobitniej. Tym razem in«żynier uśmiechnął się i wyjrzał śmiało.

Pod ścianą na przyzbie siedziało czterech Mongołów, uzbrojonych w karabiny i szable, i, pochyliwszy głowy na piersi, chrapało spokojnie. Ogarnął ich mocny sen poranny widocznie po całonocnym czuwaniu.

Inżynier rzucił okiem na helikopter. Drzwiczki, wiodące do wnętrza statku, były otwarte, a od proga ich zwieszały się schodki. Na prawo i lewo od chaty widniał gęsty żywopłot na dość wysokim nasypie. Z poza niego dopiero nadlatywa-

ły zdaleka odgłosy budzącego się życia: porykiwanie bydła, parskanie koni, bek owiec, nawoływanie czabanów.

Nie było chwili do stracenia. Spojrzał raz jeszcze na śpiących Mongołów. Przez mózg przemknęła mu myśl:

— Jeszcze pięć niezawodnych kul w pistolecie

i szabla w ręce!

Pokrzepiony nią, zawrócił i, przyłożywszy palec do ust, skinął na Montluca.

Na znak ten pilot uniósł z ławy wciąż nieprzytomną Elę i ruszył ku drzwiom.

Lecrane był już na dworze i, wymierzywszy pistolet ku śpiącym Mongołom, czekał.

Gdy wreszcie Montluc stanął na progu, inżynier wskazał mu wzrokiem helikopter.

Lotnik zrozumiał niemy rozkaz i skierował się wprost ku drzwiczkom statku, a stanąwszy przy nich, podniósł na rękach zemdloną, bo Lecrane zdążył już nadejść i, wspiąwszy się szybko po schodkach, wyciągał z progu kajuty ręce po drogi ciężar.

A Mongołowie na przyzbie, pochyleni naprzód i oparci jeden o drugiego, spali wciąż spokojnie. Lecrane pochwycił Elę i cofnął się z nią do kajuty. Montluc jednym skokiem znalazł się za nim wewnątrz statku, ściągnął schodki i zamknął ostrożnie metalowe drzwiczki, poczem obaj, ułożywszy Elę na kanapie w kajucie, pośpieszyli na przód statku do komory maszyn. Wpadłszy tam,

stanęli bez ruchu, pod ścianą bowiem na wąskiej wyściełanej ławie spał mężczyzna w skórzanym ubraniu pilota. Jeden rzut oka wystarczył, aby poznać w nim Europejczyka.

Lecrane wydobył szybko z kieszeni schowany już pistolet i podszedł do śpiącego, Montluc zaś rzucił się ku maszynerji, nacisnął lewar jeden

i drugi, zaszumiały śmigły i helikopter, drgnąwszy, uniósł się prostopadle w powietrze.

Dopiero wówczas jeden ze śpiących pod ścianą chaty Mongołów podniósł leniwie głowę i zaspaniem oczyma powiódł po statku, ujrawszy zaś, że unosi się w powietrze, zerwał się z przyzby, budząc przez to swoich towarzyszków, i spojrzał w stronę drzwi chaty.

Śpiący w helikopterze Europejczyk ocknął się również i siadł na ławie, ujrawszy zaś wymierzony ku sobie pistolet, pobladł i podniósł szybko ręce do góry.

Widocznie tak był zdumiony nieoczekiwanym zjawiskiem, że nie mógł słowa przemówić. Tylko usta drżały mu nerwowo, a przerażony wzrok utkwił w twarzy Lecrane'a.

Lecz trwało to tylko sekundę, bo młody inżynier spytał obcesowo:

- Kim pan jesteś?
- Pilotem tego helikoptera.
- Na służbie u Azjatów?
- Tak, u chana Dżassaktu.
- Teraz my jesteśmy tu panami.

— Tem lepiej.

Słowa te zdumiały Lecrane'a, co widząc, obcy zawołał pośpiesznie:

- Bo mam już dosyć tych Mongołów!
- Chcesz więc nam służyć przeciwko nim?
- Oczywiście, choć nie mam pojęcia, jakim cudem znaleźliście się tutaj. Wystarcza mi, że

jesteście Europejczykami.

Mówiąc to, uśmiechnął się przyjaźnie.

Lecrane'a wszakże zastanowiły słowa obcego.

— Jakto? — spytał. — Wszak przywieziono nas tutaj tym helikopterem.

Pilot Azjatów otworzył szeroko oczy.

— Czy być może? — zawołał, i znać było, że mówi szczerze. — Ale skądże mogłem wiedzieć o tern, skoro zakazano mi pod groźbą śmierci wyglądać ze statku po lądowaniu, dopóki nie otrzymam pozwolenia?

W tej chwili otworzyły się drzwi kajuty i stanęła w nich Ela.

— Zdołu strzelają do nas! — zawołała, spoglądając zdumiona na nieznanego.

Na te słowa Lecrane skoczył do okna.

Przed helikopterem, na tle jasnego porannego nieba wznosiły się ogromne, czerwone zbocza górskie, obniżające się szybko, a hen, tam głęboko widniały jeszcze ciemne punkciki mrowia ludzi, z pośród których wytryskiwały co chwila błyskawice strzałów.

— Prędzej, prędzej w górę! — wołał inżynier od okna.

Montluc nacisnął lewar, ale już i nieznanomy pilot pośpieszył mu z pomocą.

Zawarczały śmigła statku pędem szalonym i w jednej niemal chwili czerwone zbocza znikły gdzieś w dole, a przed zbiegami naszymi otworzył się bezmiar niebios.

— W jakim kierunku mamy lecieć? — krzyknął rozgorączkowany Montluc.

— Na zachód, tylko na zachód, w stronę Europy! — odpowiedział na to nieznajomy i schwytał za koło sterowe.

— Gdzież więc — zawołał Lecrane, zwracając się do pilota chana Dżassaktu — dowiózł nas helikopter twego chana?

— Do doliny u podnóża góry Ułan daba w pobliżu granicy Rzeczypospolitej Syberyjskiej.

— W takim razie — wtrąciła radośnie Ela, którą Lecrane trzymał już w objęciach, gdyż na pięknej twarzy córki Znicza znać było ślady strasznych przejść nocy ubiegłej, — w takim razie wiedzą już w Warszawie, gdzie nas szukać. Wszyscy trzej mężczyźni spojrzeli na nią zdumieni, opowiedziała więc im szybkimi słowami, jak z rzuconych przez Azjatę w kajucie wyrazów domyśliła się nazwy miejscowości i jak, ujrawszy postać d-ra Chwostka na ekranie, zdołała chustką usunąć z warg i wyrazy te powtórzyć milcząco. Zaledwie skończyła, a już tak niespodziewanie

- —

pozyskany trzeci towarzysz ucieczki wołał uradowany:

— Doskonale! Dzielna z pani kobieta. Nie wątpię, że już was szukają, że już eskadra samolotów europejskich dąży w tę stronę. Niech pan telefonu je natychmiast — dodał, zwracając się do Lecrane'a — niech pan da znać, że znajdujecie się w drodze. Aparat stoi za panem.

Całe zachowanie się mówiącego tchnęło taką szczerością i energią, że Lecrane uważał go już za swego i jednym skokiem znalazł się przy aparacie radiotelefonicznym.

Ela, którą był puścił, prosząc, aby powróciła do kajuty, nie usłuchała prośby narzeczonego. Przejmował ją strach na myśl, że znajdzie się sama tam, gdzie spędziła noc tak okropną, zamiast więc wyjść, usiadła na wyściełanej ławie, z której pilot chana Dżassaktu spędziło wtargnięcie Lecrane'a i Montluca do helikoptera.

Tymczasem młody inżynier telefonował już w przestwór, zawiadamiając władze polskie o ocaleniu, tudzież o kierunku lotu helikoptera. I wnet nadpłynęła z przestworu wiadomość radosna, iż na spotkanie zbiegów podąży całą siłą maszyn polska eskadra lotnicza, do której przyłączają się po drodze samoloty rosyjskie.

W komorze maszyn helikoptera zapanował nastrój optymistyczny. Uczucie ogromnej ulgi ogarnęło wszystkich. Wiedzieli już, że pomoc zbliża

się ku nim i że oni ku niej pędzą, oddalając się coraz bardziej od niebezpieczeństwa.

I teraz dopiero trójca nasza odczuła, jak dokucza jej głód i pragnienie. Gdy Montluc wyraził to głośno, przypominając, że od kilkunastu już godzin nie mieli nic w ustach, nowy towarzysz podróży odparł wesoło:

— Ależ natychmiast zaradzimy temu! — i otworzył szafkę, przytwierdzoną do ściany.

Po chwili kawa i konserwy w blaszankach, rozgrzewających się automatycznie przy otwieraniu, chleb i wino znalazły się na ławie obok Eli, która podjęła się roli gospodyni.

Podczas tego posiłku, Lecrane musiał opowiedzieć narzeczonej szczegóły ucieczki.

— A ja — zawołała z widoczną ulgą, gdy skończył — sądziłam, ocknąwszy się w kajucie, że miałam sen straszny i że leżę tak od wczoraj. Dopiero spostrzegłszy, że nie mam więzów na rękach i że jestem sama w kajucie, domyśliłam się, że musiało zajść coś, o czym nie wiem, zerwałam się więc z kanapy i spojrzałam w okno. Helikopter znajdował się już wysoko, zdążyłam jednak dojrzeć jeszcze w głębi chatę, a przed nią kilku Mongołów. Jeden z nich wybiegł właśnie z drzwi chaty widocznie podniecony i wskazał w naszym kierunku, poczem wszyscy zaczęli strzelać z karabinów. Jedna z kul przebiła szybę w pobliżu mej głowy, odskoczyłam więc od okna i wpadłam tutaj. Opowiadaniu Lecrane'a i Eli towarzyszyły wy-

buchy gniewu i oburzenia ze strony obcego pilota, pracującego teraz gorliwie przy maszynerji statku. Wreszcie, gdy Ela skończyła, zawołał:

— I ja służyłem takim rozbójnikom! Ale mam przynajmniej tę satysfakcję, że ci trzej, z którymi rozprawić się chciałem już dawno, ponieśli karę zasłużoną.

— Nie byli to jednak ci — zauważył Lecrane, zwracając się do Montluca — których widzieliśmy

w Scheveningen i którzy napadli na nasz helikopter. Nieprawdaż?

Montluc skinął potakująco głową, a obcy pilot, słysząc słowa inżyniera, przerwał nagle pracę.

— Nasz helikopter — rzekł — nie był wcale w Scheveningen i nie staczał żadnej walki w powietrzu. Musicie mi to wyjaśnić.

Lecrane, zdziwiony tem zagadkowym oświadczeniem, opowiedział treściwie dzieje pobytu z Ełą w holenderskich kąpielach morskich i napad dwóch helikopterów azjatyckich na jego statek w drodze powrotnej do Warszawy.

Pilot słuchał uważnie, poczem mówił zwolna, jakgdyby kombinował jeszcze w myśli przebieg zdarzeń:

— Teraz rozumiem wszystko. Chcieli zmylić pościg w razie, gdyby spostrzeżono ich zbrodnię. Wczoraj w południe opuściliśmy miejsce chwilowego postoju: chatę, kupioną od kolonisty rosyjskiego w dolinie Ułan daba, dążąc na zachód, gdy

zaś wieczór nadszedł, otrzymałem rozkaz krążenia na znacznej wysokości, na nieuczęszczanych prawie szlakach, mniej więcej pomiędzy Smoleńskiem a Moskwą. Noc była już głęboka, gdy rozległ się sygnał radjotelegrafu, a wkrótce potem szepił się z nami — bo helikoptery ich są tak urządzone, że mogą szepiać się w powietrzu — inny statek. Dostrzegłem też wkrótce ruch pomiędzy obu statkami, ale — jak wspomniałem — zabroniono mi surowo wyglądać w takich razach

z helikoptera, a zresztą zajęty byłem przy maszy-

nach. Zdarzyło mi się jednak już przedtem być świadkiem takich manewrów i, pomimo wszelkich zakazów, dojrzałem wkońcu, że moi Azjaci przenoszą z jednego statku na drugi skrzynki i paczki, sądziłem więc, że i tym razem odbywa się taka wymiana. Lecz z opowiadań waszych wnoszę, że to was przenoszono, poczem helikoptery rozleciały się w różne strony, ja zaś otrzymałem rozkaz podążenia jak najszybciej zpowrotem do Ułan daba. Zrozumiecie zatem moje zdumienie, gdy obudzony szumem silników i śmig, ujrzałem przed sobą dwóch Europejczyków, z których jeden przykłada mi pistolet do czoła!

Uśmiechnął się na to wspomnienie i spojrzał na inżyniera, który siedział znów przy aparacie radiotelefonicznym, opowiadającym o wrażeniu, jakie w całej Europie wywołało porwanie córki znanego posła polskiego i jej narzeczonego, o interwencji rządu Europy sfederowanej i konsterner-

nacji rządów azjatyckich, wypierających się wszelkiego udziału w tym gwałcie.

— A ja — rzekł pilot chana Dżassaktu, wysłuchawszy relacji inżyniera — podejrzewałem już dawno, że Mongołowie coś knują!

— Jakżeś się pan do nich dostał? — wtrącił Montluc, zaciekawiony.

— Prawda, nie przedstawiłem się wam jeszcze. Ale sami przyznacie, że w chwilach takiego pod-

niecienia, jak ta, którą przeżywamy, łatwo o tętn zapomnieć.

Jestem Szwajcar, Jan Stretter z Lozanny, z zawodu pilot i mechanik lotniczy. Będąc w roku ubiegłym w Genewie, dowiedziałem się od przyjaciela, że pewien bardzo bogaty książę azjatycki: chan Dżassaktu, poszukuje zdolnego pilota i mechanika. Udałem się więc pod wskazanym adresem nie dlatego, aby mi było źle w Europie, boć wszyscy mamy teraz chleba poddostatkiem, ale lubię bardzo podróże, uśmiechnęła mi się więc myśl zobaczenia nowych krain i ludzi.

Posadę otrzymałem bez trudu. Z początku było mi bardzo dobrze. Ciągłe w ruchu, ciągle w podróży niemal z krańca w kraniec świata, płacony i odżywiany doskonale, nie miałem nic do zarzucenia moim Azjatom. Po pewnym czasie, gdy poduczyłem się już nieco mongolskiego języka i Azjaci moi przekonali się, że znam się na rzeczy i służę im wiernie, spadł na mnie zaszczyt nielada. Mianowano mnie kierownikiem szkoły pilotów.

- —
Dziwna to była szkoła! W obszernej dolinie pomiędzy ogromnymi górami w głębinach Mongolji, gdzieś na granicy Tybetu, ujrzałem prawdziwy obóz armji lotniczej z setkami samolotów i licznymi budynkami, które nie wiem doprawdy, jak tam wystawiono i zaopatrzone w maszynerje, potrzebne do budowy i naprawy samolotów, bo góry te są tak niedostępne, że do doliny przedostać się można tylko drogą powietrzną. Tam to osiadłem

i zająłem się nauką młodych Mongołów. Uczyli się bardzo pilnie, z niepojętą wprost wytrwałością, a liczba ich wciąż wzrastała. Spadali, możnaby powiedzieć, z nieba całymi dziesiątkami. Przybywały też wciąż nowe samoloty, często z pilotami europejskimi, zwabionymi, tak jak ja, chęcią poznania Azji. Niestety, wątpię, aby którykolwiek z nich wrócił kiedykolwiek z tej doliny tajemniczej!

Pracy miałem dużo, niemniej jednak pozostawało mi jeszcze nieco czasu wolnego, aby się rozseirzyć w tym środowisku zagadkowym.

Przedewszystkiem chciałem wiedzieć, komu właściwie służę. Odpowiadano mi stale: Jesteś sługą chana Dżassaktu! Dziś wszakże wątpię, aby wogóle książę ten istniał, bo nigdy nie widziałem ani osoby jego, ani stolicy. Lecz nie traciłem cierpliwości i powoli, krok za krokiem, doszedłem prawdy. Stwierdziłem niezbicie, że nie służę jednemu panu, lecz jakiejś organizacji potężnej, i że coś się tam szykuje przeciwko Europie. Bo choć

Mongołowie milczeli także, gdym ich pytał o powód olbrzymich przygotowań lotniczych, albo zamiast odpowiedzi wyśpiewywali swą świętą formułę: „Om mani padme hum”, którą każdy prawowierny lamaita musi powtórzyć kilkanaście tysięcy razy dziennie, aby być zbawionym, to jednak poprostu w powietrzu unosiło się hasło: „Na zachód, na zachód!”, i nie mogłem nie dosłyszeć rozmów na ten temat, prowadzonych szep-

tem przez młodzież mongolską podczas godzin odpoczynku. Niemal codziennie wymieniano ze zcją zabobonną jakiegoś Bełtysa lama, a na dźwięk tego nazwiska zapal ogarniał wszystkich. Raz nawet w nocy, gdy leżałem na posłaniu w izbie obok warsztatów, a na dworze pod niebem gwiazdzistem rozlegał się szmer rozmów młodych Mongołów i ktoś wymówił: Bełtys lama! — z dziesiątków może piersi wyrwał się cichym jękiem i zadrżał w powietrzu nocnym wyraz: Czandu! — w którym poznałem hasło, powtarzane często przez Azjatów przy spotkaniu z innymi samolotami azjatyckimi w czasie mych licznych podróży poprzednich. Miałem jednak wkrótce dowiedzieć się jeszcze więcej.

Jestem mechanikiem z zamiłowania. Zwłaszcza zajmuje mnie żywo sprawa szybkości samolotów. Wciąż pracowałem nad tem i, dzięki szczęśliwemu pomysłowi, zbudowałem helikopter, przewyższa jacy szybkością wszystkie inne systemy, jakimi rozporządzałem na lotnisku.

— Jesteście właśnie — dodał, zwracając się do słuchającej go trójki — na tym helikopterze i bez mojej pomocy byłoby wam trudno poradzić sobie z nowościami, które w nim zaprowadziłem. Ale mniejsza o to, dość, że Azjaci nas nie dogonią! Po tej uwadze, przy której uśmiechnął się triumfalnie, ciągnął dalej:

Oczywiście, uradowany osiągniętymi wynikami, pochwaliłem się niemi przed towarzyszami pra-

cy, a skutek był taki, że kazano mi przebudować jeden z lekkich helikopterów według mego pomysłu, gdy zaś był gotów, opuściliśmy dolinę. Mówię: opuściliśmy, bo ze mną wsiadło do statku pięciu Azjatów. Odtąd zaczęła się wędrówka nadzwyczajna. Przelatywaliśmy, jak orkan, z jednej miejscowości do drugiej.

Z początku myślałem: opjum, bo teraz nie ukrywali już przede mną, że dostarczanie do najdal-

szych zakątków Azji tego narkotyku, dowożonego Bóg wie skąd przez inne samoloty, jest ich zajęciem i że należą do bractwa Palaczów opjum. Widocznie byli przekonani, że nigdy już nie wyrwę się z ich rąk, że krążyliśmy tylko w krainach azjatyckich, nie zaglądając do Europy.

Korzystając tedy ze względnej wolności, zacząłem bacznie przyglądać się tłumom, gromadzącym się niewiedomo skąd i jak dokoła naszego helikoptera na każdym postoju, i wreszcie spostrzegłem zdumiony, że nie tylko opjum ściąga te tłumy, że

- -

wprost jakiś szal żywiolowy ogarnął Azjatów, że z oczu ich wyziera niecierpliwość dzika, pytanie namiętne: Kiedy?

Doznawałem wrażenia, że po tych tłumach przebiega potężny prąd magnetyczny, że działają pod wpływem jakiegoś nakazu niewidzialnego, obojętni na politykę swych rządów, utrzymujących stosunki przyjazne z Europą, i znów zdawało mi

się, że słyszę okrzyk: Bełtys lama!

Wówczas to usłyszałem po raz pierwszy nazwisko posła polskiego, Znicza, wymówione przez tych Azjatów, których rozkazów musiałem słuchać, a którzy przywieźli was do Ułan daba, będącego, jak mi się zdaje dzisiaj, także wielkim punktem zbornym Azjatów, i dowiedziałem się o jego akcji.

Nie zdając sobie sprawy z następstw, jakie to za sobą pociągnie, wtrąciłem raz nierozważnie do ich rozmowy uwagę, że widocznie i ojciec pani musi wiedzieć o tem wrzeniu, ogarniającem Azję przeciwko Europie, którego istnienie zdołałem sam już stwierdzić.

Omiał, że nie przypłaciłem życiem tych lekko-myślnych słów. Azjaci rzucili się na mnie z podniesionymi pięściami. Ale snadź byłem im jeszcze potrzebny, bo skończyło się na groźbie śmierci, jeżeli na przyszłość odważę się podczas lądowania wyrzeć z helikoptera lub podsłuchiwać rozmów przez nich prowadzonych. Od tego czasu traktowali mnie, jak szpiega. Wciąż byłem strze-

- -

żony przez uzbrojonych Mongołów i niepewny życia.

Możecie sobie wyobrazić, jak namiętnie od tego czasu obmyślałem sposoby ucieczki z rąk mych katów i z jaką radością ujrzałem przed sobą Europejczyków, choć czułem lufę pistoletu na czole! — A przecież — wtrąciła Ela — mógł pan uciec, pozostawiony sam w samolocie, gdy nas wynie-

siono do chaty?

— Nie byłem sam — odparł na to Stretter. —
Pozostawiono przy mnie uzbrojonego Mongoła,
który, jak teraz przypuszczam, spostrzegł, że za-
snąłem głęboko, i wyszedł znudzony do swoich.
A zresztą, nie sądziłem, żeby wszyscy opuścili sa-
molot, oprócz bowiem strzegących was Azjatów,
znajdowało się tu jeszcze trzech innych, mogli za-
tern pozostać w kajucie, ja zaś byłem zupełnie
bezbronny. Bądź co bądź, dobrze się stało tak, jak
się stało, jeżeli zaś moja obecność pomogła wam
do ucieczki, to jakże jestem wam wdzięczny za
wyrwanie mnie z niewoli!

Przy tych słowach powiódł wzrokiem radosnym
po towarzyszach podróży. Nagle utkwiał oczy
w zwierciadle, przytwierdzonem ukośnie przed
kołem sterowem, i roześmiał się głośno.

Ela, Lecrane i Montluc spojrzeli na niego zdzi-
wieni, lecz wystarczyło kilka słów, aby zrozumieć
ten wybuch radości.

Zwierciadło mianowicie było zakończeniem pe-
ryskopu, przez który pilot mógł widzieć, siedząc

- —

przy kole sterowem, cały przestwór niebios przed
i za helikopterem.

— Patrzcie, patrzcie — wołał, wskazując na po-
łyaskującą szybę — już śladu nawet niema po Mon-
gołach!

Istotnie, najmniejsza nawet plamka nie mąciła
spokoju niebios za pędzącym na zachód helikop-
terem.

Oto jednak już nowy okrzyk wyrwał się z piersi Szwajcara: „

— Nasi, nasi lecą! Jeden, dwa, trzy... dziesięć, co za gromada!

Zbiegowie utkwili znów wzrok w zwierciadle i głośne: Vive la Pologne! — odbiło się o ściany statku, bo od zachodu ukazało się na niebie mnóstwo czarnych punkcików, rosnących szybko.

— Co ich jest, co ich jest! — wołała Ela, kiaszcząc w dłonie.—Chyba cała Europa pośpieszyła nam na ratunek.

I rzeczywiście, niepodobna już było zliczyć tego mrowia nadlatujących olbrzymim wachlarzem statków powietrznych.

Zdawało się, że pędzą na wyścigi, odległość bowiem pomiędzy nimi a helikopterem Azjatów, przesyłającym teraz swym zbawcom depesze radosne, zmniejszała się tak szybko, że upłynęło zaledwie kilkanaście minut, a już nasz helikopter wpadł w to mrowie.

Wówczas otoczyły go kołem i, zawróciwszy, pędziły już z nim razem w stronę Warszawy,

ROZDZIAŁ IX.

KONIEC BEZTROSKI.

Miasto-olbrzym zadrżało.

Beztroskę zastąpiła troska nagła, dławiąca.

Wypadki bowiem rozwijały się szybko.

Najpierw podały dzienniki sensacyjną wiadomość o zagadkowym porwaniu córki Znicza i jej narzeczonego na jednym z najbardziej uczęszcza-

nych szlaków powietrznych. Wiadomość, pełna jeszcze zastrzeżeń i omówień, zdawała się nieprawdopodobna. Ale upłynęło zaledwie kilka godzin, gdy usłyszano o strasznej groźbie, rzuconej przez Azjatów posłowi polskiemu, i o interwencji rządu sfederowanej Europy, a wkrótce potem czytano już o odwadze Lecrane'a, ucieczce, wyprawie polskiej eskadry lotniczej, wreszcie o powrocie porwanych.

Gdy zaś prasa podała opowiadanie pilota szwajcarskiego, cudem wyzwolonego z rąk mongolskich, — prysły ostatnie złudzenia, zadrżały serca beztroskie, zrozumiano ostrzeżenia Znicza i pojęto nareszcie niebezpieczeństwo, zagrażające Europie!

I parlament wersalski zareagował szybko.

— -

Zaledwie kilka dni upłynęło od wypadków, opisanych w rozdziale poprzednim, a już izba posłów i senat Europy sfederowanej, wysłuchawszy sprawozdania posła warszawskiego z dotychczasowego przebiegu zajść, tudzież opinii komisji spraw zagranicznych — nietylko uchwały zamknięcie granic Europy dla Azjatów, lecz zażądały także od rządów państw azjatyckich natychmiastowego rozwiązania niebezpiecznego związku, ujęcia i ukarania jego kierowników, tudzież urzędowych prośbin za gwałt popełniony.

Najgorliwsi nawet pacyfiści i altruści nie śmieli protestować, choć jednocześnie z wysłaniem not do rządów azjatyckich państwa Europy sfedero-

wanej zarządziły mobilizację sił zbrojnych, aby być wpogotowiu na wszelki wypadek. Aczkolwiek ogół widział w tem zarządzeniu tylko manewr dla zastraszenia Azjatów, nie chcąc wierzyć poważnie w możliwość wojny, to jednak było ono potrzebne, jak tego dowiodły zajścia na terenie azjatyckim, wywołane przez zamach Związku palaczy opjum.

Rządy państw Azji, dowiedziawszy się o porwaniu córki Znicza i jej narzeczonego, a następnie o wypadkach w dolinie Ułan daba, zebrały się na« tychmiast na narady, to też, gdy nadeszła nota Europy sfederowanej, miały odpowiedź gotową. Odpowiedź ta stwierdzała przede wszystkim głębokie ubolewanie rządów azjatyckich z powodu uchwalenia przez parlament wersalski prawa,

wytwarzającego naprężenie pomiędzy rasą żółtą i białą.

Następnie, zapewniając kategorycznie, że rządy azjatyckie nie mają nic wspólnego ze „zbrodniczym” Związkiem, odpowiedź wyrażała radość z powodu wydobycia się córki Znicza i jej narzeczonego z rąk „rozbójników”, tudzież zadowolenie z położenia trupem trzech, jak się okazało, wybitnych przywódców Związku, a wśród nich „niebezpiecznego agitatora i wichrzyciela, niejakiego Futse, którego dawno już miano na oku i śledzono”.

Wkońcu rządy azjatyckie przyrzekały solennie ująć i ukarać z całą surowością pozostałych kie-

równików Związku, oraz przeprosić rząd Europy sfederowanej w sposób, jaki ten uzna za stosowny. Zaledwie jednak prasa europejska zdołała podać notę powyższą, wyrażając radość z zakończenia zatargu, a parlament wersalski obradował nad formą przeprosin i beztraska Europa odetchnęła swobodnie, gdy oto radjotelegraf i telefon zaczęły przynosić wiadomości piorunujące.

Wiść o zabiciu przez inżyniera europejskiego trzech przywódców tajnego Związku wywołała potężne wrzenie w całej Azji mongolskiej. W niektórych miejscowościach wybuchły rozruchy przeciwko Europejczykom. Kilkunastu Europejczyków zamordowano. Reszta uciekała w popłochu do stolic pod opiekę posłów i eskadr europejskich. Ale i te jeszcze depesze zawierały ustępy uspokajające, gdyż zaznaczały jednomyślnie, że

- -

rządy azjatyckie okazują wszelką pomoc zbiegom i wysyłają wojsko do miejscowości zagrożonych. Dopiero następnego dnia przyszło ostateczne rozczarowanie i spotęgował się niepokój mas europejskich, nadleciały bowiem wiadomości o wybuchu buntów wojskowych w kilku państwach azjatyckich i o krwawych walkach z wojskami wiernymi rządowi. Walki te prawie wszędzie kończyły się zwycięstwem rewolucjonistów, popieranym przez masy. A nie zapadła jeszcze noc, gdy radjotelegraf przyniósł nie tylko potwierdzenie powyższych depesz, ale i świeże wiadomości o wybuchu wprost żywiołowego przewrotu w ca-

łej Azji mongolskiej, przewrotu, szerzącego się pod hasłem: Na zachód, do Europy!

Tej nocy mieszkańcy państw europejskich ułożyli się do snu głęboko wzruszeni. Trawiło ich gorączkowe pytanie: Co jeszcze straszniejszego przyniesie im dzień następny?

I rzeczywiście, z rana nadeszła wiadomość, przewyższająca wszelkie ponure domniemania, gasząca ostatnią iskierkę nadziei.

„Najście nowego Czingiszana i całej Azji na Europę!” — brzmiały tytuły w dziennikach, głośiły wszystkie radjotelefony publiczne.

Niejaki Bełtys — donosiły depesze — opat cichego monasteru altajskiego, uchodzący za chubuchana i nowe wcielenie samego Buddy, a wywierający już od dłuższego czasu wpływ magiczny na rzesze mongolskie, ogłosił się nowym cha-

chanem, t. j. wielkim chanem, przybrał imię Czingisa, przypasał miecz Czingisowy i rusza na nowy podbój Europy. Już zaprzysięgły mu posłuszeństwo wszystkie ajmaki mongolskie i lamowie tybetańscy, już otaczają go csałany -) niezliczone, już u steru państw azjatyckich stanęły rządy rewolucyjne, popierające nowego Czingisa i oddające mu do rozporządzenia arsenały, armje i floty azjatyckie; już ruszyły całe okolice i bez żadnego wypowiedzenia wojny, jakgdyby nie istniały prawa międzynarodowe, pierwsze zastępy Azjatów przekroczyły Ural!

Nie dziw, że wobec takich wiadomości Warsza-

wa zadrzała, ba, zawyła z przerażenia!

Reakcja była okropna. Ustała chwilowo wszelka praca, ogłupiałe tłumy zaległy parki, place i ulice, bezradnie oczekując dalszego rozwoju wypadków. Niektórzy przezorniejsi z mieszkańców pakowali ruchomości, spoglądając trwożnie w niebiosy, czy nie nadlatują samoloty azjatyckie, inni szlochali i zawodzili głośno. Nagłe podniecenie ogarnęło wszystkich. Ktoś rzucił w tłumy hasło: „Rozgromić Azjatów, wygnać ich z miasta!” Ale już od trzech dni kosookie, żółtolice postacie znikły z ulic Warszawy, wzburzona więc olbrzymia fala ludzka, przeprawiwszy się na prawy brzeg Wisły, runęła na dzielnicę azjatycką.

Dzielnica ta jakby wymarła. Poznikali z niej lu-

-) Ajmak — księstwo, csałan — puJk.

dzie, poznikały barwne flagi i maszty, ulice były puste i ciche. Zdawało się, że cała jej ludność zdołała już uciec, ale okna i drzwi zabarykadowane, ale druty, zamykające wszystkie wyloty ulic, świadczyły, że przewidziano tu napaść i zamieniono tę część miasta w twierdzę.

Awangarda napierającej fali ludzkiej, złożona z wrzaskliwych wyrostków, rzuciła się do zrywania drutów, zagradzających ulice, lecz nierozsądny ten krok kosztował drogo napastników. Przez druty przebiegał żywy prąd elektryczny, zabijający śmiałków, i kilkunastu wyrostków legło bez życia.

Ryk wściekłości rozległ się w tłumach. Fala cofnęła się jednak tylko poto, aby jeszcze zażarciej naprzeć z zebranymi naprędce do rozwalania morderczych przeszkód belkami, deskami i kamieniami. W tej chwili wszakże z zabarykadowanych okien niewidzialne ręce zaczęły razić nacierających pociskami kulistymi, rozpryskującymi się przy uderzeniu. I nie upłynęło minuty, a już szalejąca fala odskoczyła, uciekając w popłochu, trującą bowiem gazy, wypełzając tumanami z rozbitych pocisków, powalały na bruk dziesiątki i setki odurzonych napastników.

Kres obłączeniu położyły wreszcie oddziały policji miejskiej w maskach przeciwgazowych, odgradzając żywym murem dzielnicę azjatycką, zawezwane zaś ambulanse zbierały zabitych prądem i odurzonych gazami.

Zamierzony pogrom skończył się klęską tłumy, podjudzonego nierozważnym hasłem, miał wszakże ten skutek dodatni, że zbudził w masach, zapomniany i uśpiony pod wpływem długotrwałego pokoju i dobrobytu, zapął do walki z nadciągającymi hordami. To też, gdy na murach miejskich zjawily się odezwy rządu, wzywające pod broń milicję krajową, pośpieszono do lokalów mobilizacyjnych, aby spełnić obowiązek obywatelski.

Jeżeli jednak większość poczuwała się do tego obowiązku, to nie zabrakło też w olbrzymim mieście malkontentów, a na czele ich stanął wnet,

oczekujący tylko na taką okazję, przeżytek wszelkich demokracji, Narcyz Alfons Ludek.

Dawno, jak wspomnieliśmy, przeżyły się już idee ludowładztwa, uroszczenia, że pierwszy lepszy analfabeta ma prawo ferować wyroki na Arystydesów, że „lud”, choćby najciemniejszy, władcą jest z racji swej liczby, wreszcie ów podział ludzi na jakieś odrębne gatunki — klasy, nienawidzące się wzajemnie. Oświata powszechna i gorzkie doświadczenia zrobiły swoje, pchnęły ludzkość na drogę panowania rozsądku w rządach, lecz nie mogły, niestety, jeszcze wypłenić najgorszego wroga ładu i prawdziwego postępu: ćwierć i pół inteligencji, tych ludzi zbyt leniwych do istotnej kultury ducha, okrzęsanych duchowo tylko powierzchownie, a zaliczających siebie także do inteligencji, choć z natury rzeczy byli jej zä-

ciętymi wrogami, bo raziała i gniewała ich, zarozumiałych niedouków, wszelka wyższość urnysłu, przeciwstawiająca się im i zbijająca z tropu argumentami, których sami nie byli w stanie zbudować. Lubowała się więc ta warstwa ludzi w górnolotnych, jaskrawych frazesach, w krasomówstwie, grającem na namiętnościach, pustem i jałowem, ale działającem na ich wyobraźnię, w połowę jeszcze lub trzeczczwartych brutalną i prostacza.

W środowisku tem Ludek był apostołem.

Postawny, wymowny, odcytany, bez skrupułów, zakochany w sobie i pewny siebie, z manierami

i próżnością kabotyńską, sprawiał wrażenie na tych pół- i ćwierć- główkach, gdy szermował fajerwerkami frazesu w imię praw „ludu”. W istocie jednak potrzebował tego „ludu”, w tym „ludzie” tylko widział zaspokojenie swych ambicji, nie mogąc zdobyć uznania w kołach prawdziwie inteligentnych, które też szkalował przy każdej sposobności.

Zwłaszcza względem Znicza żywił zawiść i nienawiść gwałtowną, jakkolwiek swego czasu szukał oparcia i uznania w szeregach jego właśnie stronników.

Poznany wszakże, jako głowa pływaka i bez charakteru, skazany był w tym środowisku na odgrywanie roli tolerowanego pionka. Doznawszy więc raz i drugi porażki w starciu słownym z posłem warszawskim, opuścił szeregi tego, którego już

nazywał mistrzem, z głuchą nienawiścią. W sercu, bo nic bardziej nie rozdrażnia takich charakterów, jak poczucie własnej niższości.

Przeniósł się tedy do obozu altruistów i pacyfistów, a wyszperawszy w starych kronikach górnolotne hasła ludo władztwa, jechał śmiało na tym koniku

Znalazł też legjon zwolenników wśród tych ćwierć- i półinteligentów, będących zawsze w opozycji w stosunku do tego, do czego sami nie dorośli, zachwycających się dosadnością wyrażenia, tudzież wszelkim kabotyńszczyzną, który od niepamiętnych czasów potrafił panować nad nimi. Teraz zaś przy-

łączyło się jeszcze do tego uczucie strachu przed wstrząśnieniami, mogącymi wytrącić ich z tak wygodnego toru beztroski.

Od chwili pierwszych wystąpień Znicza przeciwko Azjatom, sfery te, nie mogące zrozumieć istoty zatargu i nie umiejące kroczyć prostą drogą myślową, a wskutek tego dopatrujące się we wszystkich działaniach mężów stanu celów ubocznych, niskich, wykombinowały sobie, że poseł warszawski działa dla pewnych ukrytych korzyści osobistych, a gdy zatarg zaostrzył się groźnie, całą winę tego przypisały jemu. Prostem zaś wynikiem takiego rozumowania stało się hasło zażegnania, bądź co bądź, zatargu i osiągnięcia porozumienia z Azjatami.

Nadeszła tedy dla Narcyza Alfonsa Ludka chwila, na którą długo oczekiwał.

Po parkach i po placach publicznych rozbrzmiewały już jego piorunujące frazesy.

Z rozwichrzoną lwią grzywą, zarzucając dramatycznym ruchem na ramię poły długiej oponczy, w którą się stroił, i wygrażając pięściami, perorował o rzekomej niesprawiedliwości, znoszonej przez „lud”, któremu nie dano wypowiedzieć się bezpośrednio o zatargu, mogącym kosztować życie setek tysięcy i milionów ludzi.

— Spójrzcie tylko — wołał, wskazując na niebiosy, po których szybowały już na wschód eskadry samolotów polskiej armji powietrznej — jak lecą bracia nasi, wysłani na śmierć przez zachłan-

ność nacjonalistyczną naszego posła warszawskiego!

W chwilach takich interwenjowała policja, rozpędzając gapiów, ale „trybun ludowy”, otoczony przez gromadę zwolenników, którzy zdążyli już utworzyć klub „Pokoju i dobrobytu”, przenosił się szybko z miejsca na miejsce, znajdując zawsze chętnych słuchaczy wśród obywateli, przerażonych nadciągającą wojną.

Wreszcie na walnej naradzie twórców nowego klubu, postanowiono zwołać nazajutrz po otrzymaniu wiadomości o najściu Azjatów wielki „wiec ludowy” pod hasłem: „Precz z narzuconą wojną!” — do tej samej hali, w której tak niedawno Znicz przemawiał o „Cudzie nad Wisłą” i przepowiadał możliwość ponownej wojny ze Wschodem,

Ta też okoliczność, że przepowiednia sprawdziła się tak szybko, dawała Ludkowi powód do insynuacji, jakoby już wówczas Znicz działał w zamiarze wywołania wojny.

Rząd polski, obarczony ogromem pracy i odpowiedzialności wobec rozwijających się błyskawicznie wypadków, nie zważał na agitację warszawską ostatniego Mohikanina demagogji, jak nazwały Ludka niektóre pisma humorystyczne. I Znicz, dzielący teraz swój czas pomiędzy posiedzenia parlamentu wersalskiego, a narady ministrów polskich, na które był stale wzywany, wysłuchiwał w przerwach bez wzruszenia relacyj

Parkera o działalności Ludka.

Z chwilą wszakże nadejścia już zupełnie pewnych danych o żywiołowym ruchu Azjatów, z czego wypływała konieczność zapewnienia wewnętrznego spokoju w kraju dla skutecznego zorganizowania obrony, rząd, przybrawszy automatycznie charakter dyktatury, ogłosił stan wyjątkowy i zawiesił swobody konstytucyjne. Stało się to w chwili, gdy twórcy klubu „Pokoju i dobrobytu” rozlepiali po mieście plakaty, zapowiadające nazajutrz wielką manifestację uliczną i wiec w hali obchodowej.

Znicza, powracającego właśnie z sesji parlamen-

— -

tu wersalskiego, zawiadomił o tem przyjaciel jego, Parker. Poseł słuchał w milczeniu słów naczelnika policji, wreszcie spytał:

— Więc zakażecie wiecu?

— Oczywiście! — zawołał Parker. — Rad jotelefon i telekinematograf rozniosłyby go natychmiast po kraju i gadanina Ludka mogłaby w każdym razie osłabić siłę moralną narodu.

— A gdybym — rzekł na to poseł po chwilowem zastanowieniu — poprosił, aby wiecu nie zakazywano?

Naczelnik policji spojrział zdumiony na mówiącego.

Znicz uśmiechnął się.

— Dziwi cię — rzekł — moja propozycja, muszę więc wyjaśnić ci powody tego, napozór dziwnego kaprysu. Oto chciałbym skorzystać ze spo-

sobności i raz jeszcze wyjaśnić krajowi sytuację.

— Więc poszedłbyś na to zebranie?

— Stanowczo! Aby zaś rzeczy nie odwlekać, pomówię zaraz z ministrem.

Po chwili, połączony telefonicznie z ministrem spraw wewnętrznych, przedstawił mu swój plan i po krótkiej rozmowie zwrócił się znów do przyjaciela:

— A zatem manifestacja uliczna przeciwko wojnie odbyć się nie powinna, gdyż mogłaby wywołać starcia pomiędzy obywatelami. Wiec natomiast nie będzie zakazany. Możesz w tym duchu

wydać rozporządzenia swoim podwładnym i za«wiadomić prasę. O mnie jednak ani słówka, rozumiesz?

Nazajutrz, pomimo coraz groźniejszych wieści, nadchodzących ze Wschodu, i coraz większego zdenerwowania, ogarniającego miasto, wielka hala obchodowa znów zapełniła się szczelnie. Tym razem jednak nie było w niej skupienia i powagi. Gorączkowe podniecenie wycisnęło swe piętno na zebranych i objawiało się przygłuszoną wrzawą oraz nagłymi wybuchami okrzyków.

Grzmot oklasków powitał Narcyza Alfonsa Ludka, gdy stanął na estradzie. Przez chwilę stał, rozgarniając długimi palcami lwią grzywę i spoglądając, jakby w głębokim zamyśleniu, na oczekujące słów jego tłumy.

Zaczął wreszcie mówić.

Mówił cicho, głosem smutnym, pełnym ubole-

wania, szlochając niemal nad losem biednego „ludu” Europy, zmuszonego znów do porwania za broń i przelewania potoków krwi na polach walki. Ale w miarę jak mówił, głos jego wzbierał, potężniał, jakby podniecony oburzeniem i gniewem, a zaciśnięte pięści rąk wyciągniętych znaczyły energicznymi uderzeniami w powietrze gorętsze ustępy mowy.

— A to wszystko — wołał do potakujących mu

oklaskami słuchaczy — dlatego, że was odtrącono, że „klika” zarozumiałców rozporządza się losami Europy, gardząc „wołą ludu”. Bo któż, jeżeli nie oni, rozpętał to dzikie widmo krwawej wojny, któż, jeżeli nie oni, wzniecił ten pożar w Azji? Widocznie zależało im na tem. Drażnili i podjudzali lud azjatycki, dopóki nie doprowadzili go do rozpaczki, dopóki nie wywołali żywiołowego odruchu! A ty, ludzie, cierp za to, płąć krwią i życiem!

Ale czas jeszcze, obywatele, kres temu położyć. Czas jeszcze wyciągnąć bratnią rękę do Azji... Dawnemi czasy brzmiało piękne hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” Ja wołam dzisiaj do was: Ludy Europy łączcie się, powalcie tyranów! Bo gdy „lud” wielkim głosem przemówi, padną, jak drzewa wichrem strzaskane, gwałciciele woli jego. A wówczas porozumiemy się łatwo z braćmi naszymi ze Wschodu. Powtarzam: Czas jeszcze, obywatele, do wielkiego, zgodnego czynu! Precz z „kliką”! Precz z narodowemi żni-

czarni, które rozniecają tylko pożary! Co nas obchodzi barwa skóry? Wszyscy jesteśmy braćmi! Wszyscy mamy prawo do życia....

— I głodu! — zagrział nagle głos potężny i Znicz stanął na estradzie.

Wszedłszy do hali, gdy wszystkich oczy zwrócone były ku mówcy, i precisnąwszy się przez szeregi zasłuchanych adjutantów Ludka, stanął obok niego, zanim zdolali się opamiętać.

W hali zapanowała nagle cisza głęboka. Bo i mówca zamilkł, osłupiały niespodziewaniem z jawiskiem, i słuchacze czekali zdumieni, co z tego wyniknie, i Znicz, przerwawszy mowę warchoła, spoglądał przez chwilę spokojnie na zatłoczoną wisdownie.

Wreszcie otworzył usta.

— Obywatele! — zaczął. Ale w tejże chwili z rozmaitych kątów odezwały się najpierw nieśmiało, a potem coraz głośniejsze okrzyki:

— Precz, precz! Nie chcemy!

I Ludek posunął się wyzywająco do posła.

Znicz jednak nie drgnął, czekając na uspokojenie się wrzawy, a gdy wreszcie uciszyło się nieco, zawołał:

— Musicie! Bo wojna już rozpoczęta wbrew naszej woli, bo wróg już nadciąga, a tu pod bokiem waszym w azjatyckiej dzielnicy stolicy Polski milicja konfiskuje w tej chwili znalezione tam w ukryciu samoloty i bomby trujące, na cóż przeznaczone, jeżeli nie na zniszczenie siedzib wa-

szych?

Okrzyk zgrozy wyrwał się z tysięcy piersi. Straszna nowina wywarła swój skutek: przejęła i tak zaciekawiła słuchaczy, że gdy Ludek, korzystając z chwilowej przerwy w mowie Znicza, wysunął się znów naprzód i, zaciskając gniewnie pięści, zaczął coś mówić, zewsząd odezwały się okrzyki:

— Dostyc, dostyc! Niech mówi poseł!

A gdy pomimo to nie ustępował, gestykulując rozpaczliwie, powstała taka wrzawa, że kilku najwierniejszych adjutantów „trybuna ludu” musiało odciągnąć go w głąb estrady, gdzie padł, drżąc z gniewu, na krzesło.

Natychmiast uspokoiła się widownia, a Znicz mówił dalej:

— Ostrzegałem was, obywatele, przed groźcą niebezpieczeństwem, bo widziałem je lepiej niż wy w beztrosce waszej... Ta nawała straszna, która ciągnie do nas ze Wschodu, to nie dzieło rządów Europy. Wieki pracowały na nią, a groźba jej wzrastała w miarę, jak zwiększał się wasz dobrobyt.

Tu mówca streścił przebieg historyczny zdarzeń z czasów ostatnich, a pomnąc, że przemawia w chwili tak krytycznej i że głos jego rozlega się z tej hali po całym kraju — mówił z zapalem tak potężnym, z taką siłą argumentacji, że zdołał opanovać nawet te mózgi, które się tu zebrały, aby przeciwko niemu wystąpić.

Tylko Ludek nie dał się przekonać.
Siedząc na krześle, z rękoma skrzyżowanymi na
piersiach, przechylony wtył, mierzył z podełba
wzrokiem nienawistnym przeciwnika w oczekiwa-
niu odpowiedniej chwili, aby zbić jego argumenty.
W miarę jednak rozwijania się obrazu, kreślo-
nego spiżowemi słowami przez Znicza, czuł, że
grunt usuwa mu się pod nogami, że nie podoła już
frazesem naj górnolo tnie jszym tej prawdzie, któ-

ra biła z ust posła warszawskiego. Ale w takim
razie gdzież przyszłość jego i reputacja? Jak wy-
brnie z tej matni, w którą wróg wpycha go coraz
głębiej?

To też wrzał, pozornie jeszcze spokojny, niena-
wiścią ślepa, potworną. Nienawiścią, wyłączają-
cą możliwość ukorzenia się przed światłem praw-
dy, przed oczywistymi argumentami.

Nienawiść jego doszła do szczytu, gdy poseł,
gardząc bliskiem sąsiedztwem tego, który wiec
zwołał i spodziewał się odnieść na nim triumf i sta-
nąć na czele przewrotu w Europie — kończył z nu-
tą głębokiego żalu w głosie:

— I oto znaleźli się ludzie źli i przewrotni, prze-
żytki minionych chorowitych wieków, którzy
w obliczu takiego niebezpieczeństwa, jakiego Eu-
ropa nie zaznała od lat tysiąca, gotowi są dla za-
dosycuczynienia zwyrodniałej ambicji podważyć
jedność Europy, wywołać walkę bratobójczą.

Osądźcie ich sami, obywatele!

Narcyzowi Alfonsowi Ludkowi krew uderzyła

do głowy, czerwoną płachtą zakryła oczy, i zanim jeszcze Znicz zdołał zwrócić się z wezwaniem do słuchaczy, „ostatni Mohikanin demagogji” zerwał się z krzesła, ręka jego sięgnęła do kieszeni i wynurzyła się z niej natychmiast, uzbrojona w pistolet automatyczny.

Nie zdołała wszakże wznieść się do strzału.

Zwisła nieruchomo, zdętwiała zupełnie.

Na twarzy Ludka malowało się przerażenie

i rozpaczliwy wysiłek. Znać było, że się zmaga z jakąś siłą niepojętą, ale napróżno, bo oto pistolet, jakby wyciśnięty z dłoni bezwładnej, padł na podłogę estrady.

Jeden z wysłańców Parkera znalazł się natychmiast przy Ludku i, nacisnąwszy nogą pistolet, schwycił skonfundowanego „trybuna” za bary. Jednocześnie zaś Znicz, usłyszawszy łoskot przedmiotu, padającego na podłogę, zwrócił machinalnie wzrok w tę stronę i jednym rzutem oka objął sytuację.

Z zimną krwią podszedł do osłupiałego przeciwnika, dobył pistolet z pod przyciskającej go stopy policjanta i, wznosząc broń do góry, pokazał ją tłumom, które już zerwały się na nogi wśród wrzawy ogłuszającej.

Znicz dał znak ręką, że chce mówić.

Wrzawa ucichła w jednej chwili.

— Oto — zawołał poseł, potrząsając pistoletem — jedyny argument takich ludzi!

Widownia zagrzmiała burzą oklasków.

Ale mówca dał znak ręką, gdy zaś oklaski nagle umilkły, rzekł głosem poważnym:

— Oklaski są zbyt liczne. Jeżeli zrozumieliście mnie, obywatele, to niech każdy spełni swój obowiązek względem kraju, bo czekają nas chwile ciężkie!

Stojący w pobliżu estrady pod filarem, podpierającym amfiteatr, dr. Chwostek skinął głową. Przed chwilą jeszcze z jego głęboko osadzonych

— -

ciemnych oczu, tkwiących uporczywie w postaci Ludka, tryskały iskry.

Oczy te przeszywały warchoła, śledziły ruch jego najdrobniejszy, a gdy ręka Ludka wynurzyła się z kieszeni, uzbrojona w pistolet, przylgnęły do niej, jak magnes ze stali...

Teraz oczy starca znów przygasły i przygarbiła się postać jego.

Skinąwszy głową, jakby dla przytaknięcia słowom Znicza, odwrócił się i wyszedł z hali, a z ust smutnie uśmiechniętych padły ciche słowa:

— Cylon przeciwko Pitagorasowi.

ROZDZIAŁ X.

WOJNA.

Przed iluż to laty August Comte zapowiadał koniec wojen? A jednak...

Wieści o przekroczeniu Uralu przez pierwsze zastępy Azjatów sprawdziły się niebawem.

Nadchodziły już nawet szczegóły starć ludności rosyjskiej z najeźdźcami.

Gdzie niegdzie zdołano odeprzeć intruzów, obronić przed nimi ziemię i dobytek, przeważnie jednak liczba i zaciętość najeźdźców brały górę. Azjaci wdzierali się coraz głębiej w ziemie rosyjskie.

Lecz wszystkie sprawozdania, choć często chaotyczne, stwierdzały jedno, mianowicie, że nie był to jeszcze najazd zorganizowany, jeno kupy bezładne, które pod wpływem hasła, rozlegającego się teraz po całej Azji, ruszyły, ogarnięte szałem, na własną rękę w nadziei bogatych łupów, zanim nadciągną hordy z dalszych okolic lądu azjatyckiego.

Ale niedługo już trzeba było czekać i na wiadomość o zorganizowanej akcji. Za ledwie bezład-

ne awangardy najeźdźców posunęły się o kilkadziesiąt kilometrów naprzód, gdy nadleciała wiadomość o zjawieniu się nad terytorjum Rosji europejskiej pierwszych eskadr azjatyckiej floty powietrznej i tuż za nią — o ruszeniu na Zachód nowoczesnego Czingisa we własnej osobie na czele niezliczonych csałanów.

Europa była gotowa na przyjęcie gości.

Główna broń nowoczesna: floty powietrzne, złożone z eskadr ciężkich i lekkich, obejmujących krążowniki i transportowce, balony sterowe, tudzież samoloty wywiadowcze, torpedowe, gończe i inne — stały w punktach strategicznych, za-

opatrzone w mater jały bojowe, a nawet wywiadowcy polscy, na których to z takim patosem wskazywał Ludek swym słuchaczom, ruszyli już na Wschód.

Polska, jako najbardziej zagrożona, znalazła się pierwsza na stanowisku.

Osiągnąwszy nareszcie po długiej i ciężkiej walce z wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi potęgę, zdołała zadziwiająco szybko, dzięki właściwej Polakom lotności umysłu i miłości kraju rodzinnego, wyzyskać swe bogactwa naturalne, rozwinąć swój przemysł, handel i rolnictwo. Rozumiej ąc zaś z bolesnego doświadczenia doniosłość pogotowia wojskowego, postawiła armję swą na wysokości nowoczesnych wymagań.

Zaspokoić wymagania te wogóle nie było łatwo, w sztuce bowiem wojowania nastąpił prze-

wrót zupełny. Olbrzymi rozwój lotnictwa i żeglugi podwodnej, zastosowanie elektryczności we wszystkich kierunkach, udoskonalenie broni chemicznej i owej nowej broni: promieni palących, o których przebąkiwano już podczas wielkiej wojny światowej, a które przewidział wizjonerski umysł angielskiego powieściopisarza, H. G. Well-

sa -) — wszystko to zmieniło sposób prowadzenia wojen.

Gdy przedtem walczono na ziemi i na wodzie, teraz walki rozgrywały się głównie w powietrzu i w głębinach morskich; gdy przedtem o powodze-

niu rozstrzygały niezliczone zastępy piechoty i dziesiątki tysięcy potwornych dział—teraz główną broń stanowiła armja powietrzna i laboratorium fizykochemiczne.

Jeżeli wszelako z jednej strony umysł ludzki wysiłał się na tworzenie nowych narzędzi zniszczenia, to z drugiej — wynajdywał też coraz po-

mysłowsze sposoby obrony przeciwko niosącym śmierć narzędziom, przez siebie wynalezionym. Wprost przerażające wydawały się następstwa wprowadzenia do sztuki wojowania znanych gazów i płynów trujących — wnet jednak znaleziono przeciwko nim odtrutki, a odpowiednio urządzone i wentylowane schroniska podziemne zapewniały mieszkańcom miast bezpieczeństwo. Niesłychaną trwogę wywoływały swego czasu te-

-) H. G. Wells. The War of the Worlds.

- —

lemechaniczne samoloty torpedowe, wypuszczane bez pilotów i mogące rzucać torpedy w ściśle oznaczonym miejscu po przelecie setek kilometrów ze stacji, położonej w głębi kraju. A jednak wynaleziono sposoby neutralizowania działalności fal elektrycznych, okrywania całych miast siecią prądów niewidocznych, paralizujących zdradzieckie ciosy, zadawane zdała.

I pomimo wszelkich wysiłków zautomatyzowania dzieła zniszczenia, pomimo olbrzymich poste-

pów techniki, rozstrzygał o losach walki zawsze jeszcze nie automat, lecz człowiek żywy, nie maszyna, choćby najdoskonalej zbudowana, lecz umysł ludzki.

A jeżeli kto w tych zapasach największą stratę ponosi, to ta spokojna, cicha żywicielka ziemia, nad którą przeciągała burza wojenna; ta ludność wiejska, nie posiadająca urządzeń obronnych, kładziona pokotem przez gazy, rujnowana przez pociski lub trupy potworów skrzydlatych, walczących gdzieś tam ponad nią w niebiosach.

To też — tak samo, jak przed wiekami — na wieść o nowej, straszliwej wojnie, ludność ta opuszczała i teraz osiedla swoje, szukając schronienia w murach miejskich.

Niebawem i Warszawa miała ujrzeć znów, jak niegdyś, tłumy tych uchodźców, napelniających wrzawą i zgiełkiem jej ulice.

Stało się to nawet daleko szybciej, niż przypuszczano. Bo pomimo przygotowania się Europy

na przyjęcie nieproszonych gości, goście ci okazali się daleko liczniejsi i silniejsi, niż przewidywały najśmielsze obliczenia.

Szybko przynieśli o tem wiadomość wywiadowcy polscy. Wyleciawszy daleko poza granice Polski na wschód, północ i południe, wszędzie spotykali już samoloty Azjatów i cofające się przed nimi placówki rosyjskie. Kilku wywiadowców, którym powiodło się dolecieć w głąb Rosji i powrócić stamtąd szczęśliwie, widziało nawet całe

ogromne obozy mongolskie na ziemi rosyjskiej. Nie umiano narazie wytłumaczyć sobie tego zjawiska, bo spodziewano się uporczywej obrony ze strony Rosjan przed zalewem azjatyckim, wkrótce jednak wyjaśniło się wszystko, zadając nowy cios przewidywaniom o przebiegu wojny. Zawsze bierna, niewolnicza, napoły mongolska ludność Rosji zaniechała oporu, weszła w rokowania z najeźdźcami! „Nie sprzeciwiać się złu” — wzarło się w krew tego narodu.

Polska stała się tedy jeszcze raz przedmurzem rasy aryjskiej. Na jej terenach miały się jeszcze raz rozstrzygnąć losy Europy!

Wprawdzie poddanie się Rosjan skróciło front obronny Federacji europejskiej, jednakże, wobec wyników pierwszych starć, walka zapowiadała się ciężka.

Słynne od wieków, ze względu na znaczenie

strategiczne,

twierdze polskie: Grodno, Brześć,

Łuck, Dubno, Równe, dalej miasta takie, jak Wil-

no, Nowogródek i Pińsk, wreszcie na terytorjum już rosyjskiem: Borysów i Mińsk, zamienione, zgodnie z wymaganiami nowoczesnymi, na ogromne obozy lotnicze, były obecnie — razem z twierdzami rumuńskimi na linji Dniestru — stacjami wypadowemi dla flot powietrznych całej Europy. Wobec ogromnej szybkości lotu nowoczesnych statków powietrznych — kilka godzin wystarczy-

ło, jak już zaznaczyliśmy poprzednio, na przelecenie w poprzek nad całą Rosją europejską — akcja obronna musiała być również szybka i stanowcza i nie mogła ograniczać się na zgubnym wyczekiwaniu nieprzyjaciela. I właśnie w tej chwili stara maksyma szermierska, że najlepszą obroną jest uderzenie, okazała się najprawdziwsza.

Wypadały więc z twierdz polskich eskadry powietrzne jedna po drugiej, aby nie dopuścić wroga do granic Polski, i ścierały się z nadciągającą cizbą.

Z początku były to tylko istne walki harcerskie samolotów w powietrznym przedpolu. Po trzech dniach wszakże tych dorywczych zapasów, przyrzędy radjotelefoniczne wywiadowców doniosły o nadciąganiu pierwszej ciężkiej eskadry azjatyckiej.

Natychmiast od Bramy Smoleńskiej, opanowanej już przez polską armję powietrzną, poszybowała na wschód pod dowództwem admirała Warskiego eskadra krążowników powietrznych, której przy-

padł zaszczyt stoczenia pierwszego wielkiego boju o całość Europy.

Statki tej eskadry przypominały kształtem dawne zeppelin-y, były jednak znacznie smuklejsze i wypełnione niepalnym helem. Ich siłę motorową stanowiły propulsory gazowe, dopiero teraz powszechnie używane we flotach powietrznych, choć zalecane już w r. przez Esnault-Peltérie'go.

Zastąpiły one dawne silniki rotacyjne, nadające nie

bezpośrednio, lecz za pośrednictwem śmig, ruch postępowy statkowi, gdy tymczasem przy użyciu nowych propulsorów wyzyskiwano bezpośrednio bez straty na działania uboczne niemal całą energię gazów wybuchowych, zyskując przytem na szybkości i zmniejszając znacznie wagę statku. Opancerzone świeżo wynalezioną masą, chroniącą je od zabójczych promieni palących, i uzbrojone w działa pneumatyczne, będące ulepszeniem dział takich, wynalezionych już pod koniec XIX wieku przez oficera armji amerykańskiej, Żalińskiego, tudzież w torpedy powietrzne, płynęły te lśniące kolosy w przestworzu szykiem, przypominającym klucz żórawi.

Piękny poranek letni złocił już niebiosą. Tam w dole, nad budzącą się ziemią pełzały jeszcze białe opary, tu zaś, na wysokości tysiąca metrów złote piomienie ogromnej kuli wschodzącego słońca mknęły w powietrzu, niezamąconem najmniejszą chmurką, i dopiero napotkawszy kadłuby złowro-

gich ptaków wojny, odbiły się w nich jaskrawą czerwienią krwi czy pożogi.

Z wysuniętych daleko naprzód lekkich samolotów wywiadowczych nadleciała krótka depesza:

— Eskadra nieprzyjacielska na widnokręgu!

A zaledwie podchwyciły ją aparaty krążowników, gdy z krążownika admirałskiego „Warszawa” poleciał do całej eskadry rozkaz iskrowy:

— Pamiętajcie, że walczycie o honor Polski i wolność Europy!

Na górnym pokładzie „Warszawy” stanął admirał Warski ze swym adjutantem, i obaj skierowali lornety ku wschodowi.

Przez chwilę panowała cisza. Na wschodzie ukazały się czarne punkciki, szybko pędzące ku eskadrze.

— Wywiadowcy wracają — rzekł admirał, odejmując od oczu lornetę.

— A oto i nieprzyjaciel, admirale — dodał adjutant, trzymający wciąż jeszcze lornetkę przy oczach.

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, a już i gołym okiem dostrzec można było na jaskrawem tle niebios, jakby rozplywające się w promieniach słońca, sylwetki statków nieprzyjacielskich.

Admirał przyglądał się im badawczo wzrokiem sokolim. Ale jeden już rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że nadlatująca eskadra jest daleko potężniejsza niż polska.

Czy zadrżało na ten widok serce wodza?

Tego nie wyczytałby nikt z jego twarzy, na której malował się kamienny spokój.

— Słońce razi, skrócić ku południowi — rzekł spokojnie i opuścił pokład.

Rozległ się świst przeciągły i pierwszy pocisk przeleciał luką pomiędzy dwoma statkami polskimi.

Odpowiedziały natychmiast krążowniki polskie i rozpoczęła się bitwa.

Około dziesięciu kilometrów dzieliło obie eska-

dry.

Eskadra polska, skręciwszy na rozkaz wodza ku południowi, aby uniknąć rażących prosto w oczy promieni słonecznych, rozciągnęła się wachlarzowato. Zwrócone teraz dziobami ku nieprzyjacielowi, dla niewystawienia na cel długich kadłubów, polskie okręty powietrzne raziły wroga salwami ze swych dział pneumatycznych. A choć działa strzelały bez huku i dymu, to jednak wzmagający się wciąż świst śpiewny pocisków i torped powietrznych, tudzież buczenie, jakby olbrzymiego roju pszczół, wywołane przez wstrząśnienia kadłubów statków, wreszcie trzask pękających w powietrzu granatów zwiastowały, że toczy się bój coraz zawziętszy.

Operujący na prawem skrzydle i wysunięty najbardziej ku nieprzyjacielowi, dzielny krążownik „Lwów”, rażony już kilkakrotnie przez Azjatów, buchnął kłębam dymu i płomieni, a po chwili, przechyliwszy się mocno naprzód, runął, kozioł-

kując, w przepastną głębię. Dokoła niego, a wkrótce powyżej ukazało się na tle nieba kilkadziesiąt małych postaci. Byli to pozostali przy życiu członkowie załogi „Lwowa”, którzy, zaopatrzeni w automatycznie działające spadochrony, spadali teraz zwolna na ziemię.

Ale i strzały polskie nie chybiały celu, bo także dwa krążowniki azjatyckie spadły już potrzaskane, dwa zaś inne, ciężko uszkodzone, wycofały się z linii bojowej.

Przestrzeń pomiędzy walczącymi stronami stała się tymczasem coraz mniejsza. Już tylko kilka kilometrów dzieliło eskadry walczące i widać było, jak eskadra azjatycka, przewyższająca jeszcze dwukrotnie eskadrę polską liczbą statków, wydłuża się coraz większym półkregiem, starając się najwidoczniej okrążyć przeciwnika.

Nagle jednak ze wszystkich krążowników polskich trysnęły strugi gęstego dymu i, rozszerzając się i łącząc, utworzyły zasłonę, zakrywającą zupełnie eskadrę polską przed oczyma Azjatów. Utajone chwilowo poza tym kłębiącym się murem, statki polskie zmieniły natychmiast szyk bojowy. Część ich, stanowiąca lewe skrzydło, zawróciła w mgnieniu oka ku północy, nadwreżone zaś utratą „Lwowa” i dwóch innych jeszcze krążowników, które ciężko uszkodzone musiały opuścić linię bojową, prawe skrzydło cofnęło się za środek i wspólnie z krążownikami środka utworzyło jedną długą linię, biegnącą prostopadle ku

wschodowi, poczem z zawrotną szybkością runęły jeden za drugim, jak strzała wypuszczona z łuku, wprost na zasłonę dymową, przedarły się przez nią i uderzyły w sam środek eskadry azjatyckiej, rozdzierając ją na dwie części. Jednocześnie polskie siły rezerwowe, trzymające się dotychczas zdaleka od linii walki, a złożone z pięciu krążowników lekkich i samolotów bojowych, posunęły się naprzód, skrzyły ku południowi i, zajmując miejsce krążowników prawego skrzydła, ruszyły również

w bój. Wreszcie i lewe skrzydło, zawróciwszy już od północy, uderzyło z tej strony na wroga.

Teraz zawrzała już walka zbliska i zmienił się jej charakter.

Gdy dotychczas uczestniczyły w boju tylko krążowniki, zaopatrzone w wielkie dzieła dalekonośne i przyrządy do wypuszczania torped, to z chwilą zwania się obu flot rozsunęły się częściowo górne pokłady statków i w otworach tych ukazały się zgrabne sylwetki samolotów gończych.

Ze zwinnością jaskółek lekkie te statki tryskały wysoko w powietrze, aby następnie spadać, jak jastrzębie, na grzbiety kolosów walczących, rażąc je pociskami wybuchającymi i strzałami karabinów maszynowych.

Niejeden jednak z tych zwinnych ptaków, zanim zdołał rzucić się na krążownik upatrzony, przewracał się w powietrzu i padał bez życia wdół, przeżarty strasznymi promieniami palącymi. Niejeden też, spotkawszy się w drodze z podobnym

sobie ptakiem nieprzyjacielskim, staczał z nim walkę, i często oba obezwładnione spadały na ziemię, roztrzaskując się tam na miazgę.

Nieliczne tylko dosięgały celu, ten jednak, który zdołał tego dokonać, mścił się za swych towarzyszy dotkliwie. Rażony pociskami palącymi krążownik można było uważać za stracony.

Tak oto na tysiące stóp nad ziemią wrzała walka straszliwa.

Rozdarta na dwie części flota azjatycka sta-

wiała dzielnie czoło zajadłej eskadrze polskiej. Okazało się, że nie tylko przewyższa przeciwnika liczbą, że nie tylko posiada wszelkie nowoczesne urządzenia techniczne, ale także rozporządza nieznanymi środkami bojowymi. Tak na przykład krążownik „Gdańsk”, choć posiadający, jak inne, pancierz, zabezpieczający go przeciwko promieniom palącym, rozpadł się, skruszony poprostu w tajemniczy sposób na drobne części, i niewielu tylko ludzi z załogi jego ocalało przy pomocy spadochronów automatycznych.

Słabła więc stopniowo eskadra polska, pomimo ożywiającego ją ducha bohaterstwa, ale sztab generalny polskiej armji powietrznej, usadowiony w zajętych z powodu zdrady Rosjan Borysowie, czuwał nad losami bitwy, widząc jej przebieg i otrzymując bez przerwy depesze radjotelefoniczne z pokładu „Warszawy”.

Admirał Warski odczuł chwilę krytyczną, to też, zanim biorący górę Azjaci zdolali dokonać

działa zniszczenia, na placu boju zjawiała się, prując szalonym pędem przestwór, pomocnicza eskadra francuska, wysłana na front polski, gdy tylko najazd azjatycki stał się pewnością i zanim inne państwa europejskie zdołały wyekwipować dostatecznie swoje floty powietrzne.

Przodem sunął ostry, jak igła, potężny krążownik najnowszej konstrukcji „Châlons sur Marne”, jakby przypomnienie pamiętnego boju, stoczonego przed wiekami przez plemiona romańskie z za-

stępami Attyli (r.).

Ochroniany przez świeżo wynalezioną sieć magnetyczną, odchylającą uderzenia torped powietrznych, pluł, lecąc, sam podobny do pocisku, pociskami elektrycznymi, wytwarzającymi przy uderzeniu straszne wyładowania elektryczne o sile piorunów.

Za nim pędziły: „Paris”, „Arras”, „Reims”, „Verdun” i „Strassbourg”, niezrównane kolosy bojowe.

Zmieniła się postać rzeczy.

Choć dotychczas jeszcze nie użyta rezerwa floty azjatyckiej wstąpiła teraz dopiero w bój i runęła na nadlatującą eskadrę francuską, to jednak rozmach Francuzów był tak potężny, że rezerwowe statki azjatyckie musiały się cofnąć ku głównym siłom, a eskadra francuska złączyła się z polską. „Chalons sur Marne” utworzył wnet ogromną lukę dokoła siebie. Rażony piorunami jego nieprzyjaciel ustępował pośpiesznie.

Krażownik francuski miał już cel upatrzony:

Trzy krążowniki azjatyckie rzuciły się właśnie na „Warszawę”. Polski statek admirałski znalazł się, jak w matni. Spostrzegł to „Chalons sur Marne” i dzięki zawrotnej szybkości wręcz przeciął w połowę długości swym ostrym dziobem najbardziej zagrożający „Warszawie”, a zagrażający mu drogę, krążownik azjatycki. I zanim Azjaci zdążyli użyć dział swoich, spadał już w dwóch odłamach w głębie, a „Chalons sur Marne” znalazł się obok

„Warszawy”, odpędzając swemi piorunami dwa pozostałe krążowniki azjatyckie.

Zwycięstwo flot europejskich zdawało się już niewątpliwe, gdy do bitwy wtrącił się ogromny azjatycki krążownik admirałski „Tajfun”, kierujący dotychczas zdała jej przebiegiem. Z niego to musiały padać owe tajemnicze pociski kruszące, bo z chwilą, gdy znalazł się na linii bojowej, dwa jeszcze krążowniki francuskie i jeden polski rozsypały się, skruszone niemal jednocześnie.

Admirał Warski zadrżał na ten widok. Jeszcze chwila, a nieprzyjaciół weźmie górę. Nagle jednak nad olbrzymim „Tajfunem” zjawiły się wysoko sylwetki wysmukłe dwóch samolotów gończych i runęły wdół, jak kamienie.

— Stracone! — przemknęło przez myśl Warskiego.

Lecz nie, bo oto, dotknąwszy niemal grzbietu olbrzyma, jak jaskółki wody, przesunęły się nad nim i znów poszybowały wgórę.

Z tułowia „Tajfuna” buchnął dym i płomień. I widać było, jak olbrzym walczy z grożącym mu niebezpieczeństwem, bo z wnętrza tryskać zaczęły strugi płynu gaszącego. Nie zdołały wszakże zażegnać niebezpieczeństwa, bo zawziętym lotnikom powiodło się raz jeszcze zawrócić i runąć z wyżyny, rażąc powtórnie pociskami krążownik. Tym razem razy musiały być śmiertelne, bo „Tajfun” zakołysał się, jak pijany, zadrżał i, ostatnim jeszcze wysiłkiem utrzymując równowagę, osunął się

ku ziemi, buchając płomieniami.

Ale z atakujących samolotów jeden już tylko wzbił się w przestrzeń. Drugi zniknął w odmęcie bitwy.

— Bohaterzy! — szepnął wódz.

A pokonana eskadra azjatycka już się cofała.

Gdzie niegdzie tylko walczyły jeszcze oddzielne krążowniki, jakby pragnąc wyczerpać przed odwrotem resztę amunicji, gdzie niegdzie też uwi-jały się jeszcze, jak zajadłe osy, drobne, chyże samoloty, staczające zacięte pojedynki. Lecz stopniowo zwiększała się pomiędzy nimi odległość i wkońcu eskadra azjatycka rozplynęła się w oparach na widnokregu.

Pierwszą bitwę powietrzną wygrały eskadry Europy sfederowanej, utrzymawszy plac boju i nie dopuściwszy najeźdźcy do granic Polski.

O pościgu jednak wroga, o zgnębieniu go zupełnem nie mogło być mowy.

Odniesiono wprawdzie zwycięstwo, ale za cenę

- —

ogromną. Prawie połowa walczących okrętów powietrznych legła na placu boju, z pozostałych zaś przy życiu ani jeden nie uniknął większych lub mniejszych uszkodzeń. To samo tyczyło się samolotów bojowych. Tam zaś w dole, gdzie wylądowały statki lazaretowe Czerwonego Krzyża, leżały wśród szczątków krążowników i strąconych

samolotów poszarpane lub spalone zwłoki setek marynarzy powietrznych, a drugie tyle rannych

przenoszono do lazaretów.

Pomimo to w głównej kwaterze witano entuzjastycznie powracających bohaterów, a cała Europa rozbrzmiewała już radością na wieść o pierwszym zwycięstwie nad Azjatami.

Powracała beztroska. Śmiały się tłumy i oklaskiwały dźwięki marszów triumfalnych, wesoło trzepotały flagi w blaskach zachodzącego słońca, a gdy noc zapadła, tysiące rakiet strzelało w niebiosach gwiazdziste.

Admirał Warski słuchał raportu swych podwładnych.

— Kto byli — spytał — ci dwaj lotnicy, których bohaterstwu zawdzięczamy strącenie „Tajfuna”?

Kapitan krążownika „Poznań” wyprostował się i odparł z widoczną dumą w głosie:

— Lotnicy „Poznania”, admirał: porucznik Józef Bobrowski i ochotnik francuski, inżynier Juljusz Lecrane. Ten drugi jednak zginął.

Mgła smutku przesunęła się po męskiej twarzy

- -

wodza, opanował jednak wzruszenie i rzekł głosem już spokojnym:

— Obaj zasłużyli na awans i krzyże wojskowe. Pierwszemu przypnę krzyż jutro z rana przed frontem załogi twego statku, kapitanie. Drugiemu przypniemy krzyż taki niestety tylko na trumnie. Dwa dni minęły dopiero od bitwy powietrznej pod Borysowem, a już nadleciały do stolic europejskich depeche wywiadowców o wyładowywa-

niu na ziemi rosyjskiej przez powietrzne transportowce azjatyckie pierwszych pułków mongolskich. Przeto floty powietrzne Europy ruszyły natychmiast dla przeciwdziałania temu niebezpieczeństwu.

Niestety, zadanie to było trudne. Na całej linii od zatoki Fińskiej do Kijowa uwijały się w przestworzu tak liczne zastępy azjatyckich statków powietrznych wszelkiego typu, że choć kilkakrotnie dochodziło do krwawych bitew, w których męstwo europejskich wojsk lotniczych święciło prawdziwe triumfy, to jednak każdą lukę, wytworzoną w powietrznym froncie Azjatów, wypełniały niezwłocznie nowe ich statki. Floty więc europejskie musiały wciąż wznawiać uderzenia, wyczerpując swe siły.

Znaczenie zwycięstwa, odniesionego pod Borysowem, malało z dniem każdym.

Okazało się teraz dobitnie, jak skwapliwie korzystały państwa azjatyckie z przykładu, dawanego im w ciągu stuleci przez zbrojącą się wciąż Europę, jak przewyższyły ją nawet, dzięki ogromnej liczbie rąk roboczych i zasobom. Dopóki wszakże każde z tych państw stanowiło oddzielną jednostkę, broniącą swych granic przed sąsiadami, to siła takiej jednostki nie mogła zagrażać pod żadnym względem potędze Europy sfederowanej. Obecnie, gdy rządy wszystkich tych państw legły pod obuchem rewolucji, a władze rewolucyjne poddały się bezwzględnie tajemni-

czemu tchnieniu, wzywającemu je do walki z Europą — siły zjednoczone kontynentu azjatyckiego wzrosły do potęgi olbrzymiej, wobec której Europa stanęła zdumiona.

I oto ta potworna fala ludzi posuwała się krok za krokiem, pod ochroną żywego muru swej floty powietrznej, ku granicom Polski.

- Wysiłki, zjednoczonych flot powietrznych Europy hamowały tylko szybkość tego naporu, ale powstrzymać go nie mogły.

Płynom i gazom trującym, miotanym obficie na główne drogi najścia, umieli Azjaci przeciwdziałać skutecznie, boć byli pojętymi uczniami Europy, a przytem posiadali również w swem mro-wiu umysły genialne i ponadto odwieczne wynalazki, które teraz dopiero zastosowali na wielką skalę.

Wreszcie u granic Polski stanęła z głuchem,

przeciągiem dudnieniem grzmotu najnowsza broń bitewna: ogromne czołgi, twierdze ruchome, zabezpieczone przeciwko działaniu promieni palących, tudzież przeciwko gazom i płynom trującym.

Upojenie zwycięstwem polsko-francuskiej floty powietrznej dawno już zgasło.

Jakże uzasadnione były obawy Znicza!

Poseł warszawski stał się teraz, w chwili tak groźnego niebezpieczeństwa, duszą obrony. Gdy samolot posła stawał przed gmachem parlamentu wersalskiego, już sam jego widok wlewał otuchę

w serca zaniepokojonych deputowanych, a gdy, zatrzymawszy się zaledwie parę godzin w Warszawie, Znicz zjawiał się na najbardziej zagrożonych punktach granicy wschodniej, magiczna siła jego wymowy potęgowała opór.

Przeciwko ruchomym twierdzom azjatyckim stanęły takie same twierdze sfederowanej Europy i codziennie już ścierały się ze sobą.

Sieć min podziemnych, założonych wzdłuż całej granicy, ukryte baterje dział pneumatycznych i samoloty torpedowe przyprawiały najeźdźców o ciężkie straty. W luki jednak, potworzone przez wybuchy, wjeżdżały z irytującą szybkością nowe zastępy czołgów, bo zarekwirowane w Rosji urządzenia bojowe dały Azjatom gotowy materiał do walki, tak, że mogli niezwłocznie wypełniać straty, nie oglądając się na dowóz z Azji.

W takich razach dochodziło też często do starć

zbliska. Strzelając bez przerwy, podjeżdżały do siebie te potwory pancerne i wreszcie uderzały, zwieraly się w uściskach śmiertelnych i nieraz pękały oba od straszego uderzenia, a wówczas z wnętrza twierdz potrzaskanych, jak z legendowego konia trojańskiego, wysypywali się wojownicy i zawiązywała się walka ręczna.

Pękały granaty, nurzały się we krwi bagnety, zwieraly się ramiona, kąsały zęby, uderzały kolby, noże, oskardy i młoty.

Stykały się krańce: ostatni wyraz bojowej techniki nowoczesnej z brutalną siłą mięśniów cza-

su troglodytów.

Wypuszczony warunkowo na wolność, za poręką Znicza, Narcyz Alfons Ludek musiał stanąć w szeregach milicji narodowej.

Za niestawienie się groziła jedna tylko kara: śmierć. Przeto z głuchą nienawiścią w sercu do tych, którzy jego zdaniem byli sprawcami wojny z „braćmi” Mongołami, a z kabotyńskim gestem rezygnacji wziął karabin do ręki i, przyłączony do załogi sześciodziałowego czołga-twierdzy „Grom”, znalazł się wnet na froncie.

Tu już perorować i nawracać towarzyszków broni nie śmiał, bo w gruncie rzeczy był tchórzem, a dyscyplina wojskowa na froncie bojowym nie znała miłosierdzia. Zato musiał wysłuchać w tłumie innych żołnierzy natchnionej mowy Znicza, wzywającej do obrony ziemi ojczystej i całej Europy.

Zpodełba patrzył na mówcę, którego nienawidził serdecznie i zato, że poręczeniem swoim uwolnił go z więzienia, gdzie siedziałby bezpiecznie. Jak groch od ściany, odbiły się od serca jego słowa pośła, przypominające, jak to od wieków Polska stała na rubieży dwóch cywilizacji, jak pilnowała czujnie, podobna psu wiernemu — używając wyrażenia Sienkiewicza — progów Europy.

Cóż go obchodziły, zapoznanego „trybuna ludu”, te słowa, skoro nie żywił wrogich uczuć względem Azjatów, a Polska, jako całość odręb-

na, interesowała go tak mało; skoro czuł się strasznie pokrzywdzony, że zamiast żyć jeszcze długo, długo w beztrosce i dobrobycie, pławić się w uznaniu ćwierć i półinteligentów, musi walczyć dla sprawy, której nie uznaje, i być wystawiony na śmierć z ręki ludzi, zupełnie sobie obojętnych?

Ale oto „Grom” potoczył się ciężko naprzód przeciwko następującym Azjatom. Działa jego wyrzucały z długich gardzieli pocisk za pociskiem, a od czasu do czasu gwałtowny wstrząs i trzask głuchy zwiastował, że pocisk nieprzyjacielski uderzył w pancerz czołga - twierdzy.

Ludek nie wiedział, co się tam dzieje nawewnątrz, nie należał bowiem do artylerzystów, uwijających się na górnych pomostach przy działach, lecz, zaliczony do saperów, czekał przy świetle lampy, zamknięty wraz z kilkudziesięciu

towarzyszami w dolnej kazamacie, której strzelnice nawet pozasuowano na rozkaz dowódcy i nasłuchiwał z bijącym sercem i z przekleństwem na wargach głuchego turkotu silników i taśm metalowych, przewyciężających przeszkody gruntu, wzdrygając się przy każdym wstrząsie lub przechyleniu się czołga.

Wzrastał w nim gniew na sprawców tej jego niedoli, drażniły głosy towarzyszków, robiących głośne uwagi lub nawet żartujących z sytuacji.

Cóżby dał, gdyby ta twierdza zapadła się gdzieś pod ziemię, lub gdyby znalazł otwór, którym mógłby się wyśliznąć, wyjść z tego piekła i odetchnąć świeżem powietrzem!

Myśl ta wierciła mu uporczywie mózg, gdy rozległ się straszny łoskot i trzask, rozdarła się przednia ściana kazamaty i w ogromnej szczelinie utkwiała szara, połyskująca masa: dziób czołga nieprzyjacielskiego.

Ludek runął wraz z resztą żołnierzy na podłogę, lecz padając, ujrzał jeszcze przy żółtem świetle lampy potrzaskane, rozpaczliwie skrecone ciała tych kolegów, którzy siedzieli przed chwilą przy rozdartej ścianie. A nie ochłonął jeszcze z tego wrażenia, gdy ogłuszający huk wstrząsnął znów kazamatą. Czuć było, że „Grom”, pchnięty wstecz, szoruje podwoziem po nierównym gruncie, wreszcie przechylony zatrzymuje się nagle. Jednocześnie zgasła lampa, płonąca dotychczas pod pulapem. Ciemność ogarnęła przerażonych żołnie-

rzy, zбитych teraz w gromadę wskutek przechylenia się czołga.

Ludka ogarnął strach okropny. Deptany i popychany, klnąc rozpaczliwie, torował sobie pięściami i łokciami drogę, aby wyrwać się ze ścisku. Lecz oto rozsunęły się drzwi w tylnej ścianie, i szeroki potok światła dziennego oświetlił przerażone, spocone twarze skupionych żołnierzy, cienkie strugi krwi, spływające po przechylonej podłodze, i rozwaloną ścianę ze sterczącym w niej

dziobem azjatyckiego czołga.

Po schodkach, wiodących z górnego pomostu, wpadł do kazamaty komendant „Gromu”.

— Naprzód! — krzyknął głosem rozkazującym i wyskoczył pierwszy przez rozsunięte drzwi.

Pozbierawszy rozrzuconą broń, żołnierze rzucili się za nim. Pchnięty przez innych, Ludek znalazł się, sam nie wiedział kiedy, na chropowatym ściernisku, oświetlonym jaskrawo promieniami słońca, a zawadziwszy nogą o własny karabin, runął, jak długi, na ziemię. Gdy zaś, podrapany ścierniami, zerwał się na nogi, pierwszą jego myślą było zawrócić i ukryć się w czołgu, bo inni żołnierze odbiegli już dość daleko. Przeszkodziło mu w spełnieniu tego tchórzowskiego zamiaru zjawienie się kilku artylerzystów z oficerem, zbiegających jeszcze z górnego pomostu.

Rad nie rad musiał biec z nimi.

Z azjatyckiego czołga, tkwiącego dziobem w „Gromie”, waliły, jak z krateru, kłęby żółtego

dymu. Czołg był rozwalony od góry zupełnie, a dzieła zniszczenia musiała dokonać torpeda samolotu, który krążył jeszcze nad polem, i snadź nikt z załogi azjatyckiej nie ocalał, skoro nie było ani śladu życia. Zato w odległości paruset kroków od „Gromu” wrzała walka. W szczerem polu sterczały dwa przewrócone czołgi, a dokoła nich uwiijały się postacie walczących. Ku nim to biegł jego oddział.

Zziajani żołnierze pędzili z oficerem na czele.

Już można było rozróżnić Azjatów, strzelali więc do nich biegnąc, ale już i kule azjatyckie brzęczały dokoła.

W sam czas przybywała pomoc, bo załoga prze«wróconego czołga polskiego ulegała przeważającej liczbie przeciwnika. Jeszcze tu i owdzie ścierały się gromadki żołnierzy w walce ręcznej, ale Polacy cofali się już krok za krokiem, topniejąc prze-
rażająco.

W chwili krytycznej na kark Azjatom wpadli żołnierze „Gromu”. Dzikim wyciem przyjęli ten atak Mongołowie, a napierani z dwóch stron, bo i garstka cofających się Polaków rzuciła się teraz znów na nich, zdawali się być zgubieni, gdy na ich okrzyk odpowiedział gromkiem echem taki sam dziki wrzask od strony „Gromu”.

Widocznie załoga kazamaty rozwalonego torpedą czołga azjatyckiego nie wyginęła, jak mylnie przypuszczało dowództwo „Gromu”, lecz nie mogła wydostać się narazie z uwięzi, dopiąwszy zaś

tego po dłuższym wysiłku, rzuciła się na odsiecz swoim.

A strzelała celnie, bo coraz gęściej padał żołnierz polski na ściernisko. Dokoła Ludka, który w odmęcie walki i pod wpływem strachu wypróżniał machinalnie swój karabin, strzelając naoślep, robiło się coraz luźniej. Słyszał głucho stęknienia, widział padających kolegów, czuł krople zimnego potu, ściekające mu z pod hełmu na oczy i strzelał, strzelał bez przerwy, starając się dostać pod

osłonę przewróconych czołgów.

Wreszcie, sięgnawszy po magazyn zapasowy, nie znalazł już żadnego. Wypróżnił ostatni! Rozejrzał się więc obłąkanym wzrokiem dokoła, jakby szukając pomocy, i spostrzegł przerażony, że z całej załogi „Gromu” on jeden stoi jeszcze nietknięty. Ze wszystkich stron leżeli martwi lub ciężko ranni jego towarzysze, a w odległości zaledwie kilkunastu kroków otaczali go, dysząc ciężko i szczerząc zęby w upojeniu zwycięstwa, żołnierze azjatyccy.

Na ten widok zadygotał cały i instynktownie, ruchem machinalnym, wyciągnął ręce przed siebie, aby rzucić karabin.

— Zdawajcia, zdawajcia! — wrzeszczeli po rosyjsku Mongołowie, i okrzyk ten przewiercał mu mózg, przenikał do każdego nerwu.

Rozejrzał się raz jeszcze szybko, czy istotnie jest już sam wśród zaklętego kola wrogów.

Nie, nie był sam. Spoglądały na niego badawczo

rozwarłe szeroko źrenice zabitych i umierających.

One widzą i sądzą!

Pod tem wrażeniem Ludek uczuł gorące rumieńce na twarzy.

I nagle w tej kanalji, w tym tchórze i warchole obudziło się uczucie wstydu, powstał bunt, ocknęła się duma.

Gdzieś tam, w zakątku serca odezwała się krew przodków, zakwiliło przywiązanie synowskie.

I ruchem błyskawicznym ująwszy karabin za lufę, ruszył na wroga.

Wysoka, szczupła postać jego, o długich nogach górowała nad drobnymi, krępymi Mongołami. Jednym susem przesadził przestrzeń, dzielącą go od najbliższych żołnierzy azjatyckich.

Straszny był w tem zapamiętaniu, to też Azjaci cofnęli się szybko, ale kolba karabinu, świsnąwszy w powietrzu, dosięgła hełmu najbliższego, strzaskała go i sama odpadła złamana.

A już dwadzieścia karabinów mierzyło w pierś Ludka.

Wówczas stanął, wyprężył się w całej długości, podniósł rękę ku niebu, jakby dzierżył w niej sztandar swej wiary, i krzyknął głosem potężnym:

— Niech żyje Polska!

A w tejże chwili zachwiał się i runął na twarz, przeszyty kulami.

I było mu przebaczone...

— -

Czołgi azjatyckie posuwały się z wolna, ale stale naprzód.

Już cała sfederowana Europa skupiła swe siły na froncie wschodnim. Na całej przestrzeni od morza Bałtyckiego do morza Czarnego nie było zakątka, którym nadciągający nieprzyjaciół mógłby prześliznąć się bezkarnie, czy to na ziemi, czy też w sferach podobłocznych. Wszystkie zdobycze nowoczesnej techniki wojennej znalazły tu zastosowanie. A jednak czołgi azjatyckie posuwały się

naprzód, a za niemi ciągnęły działa, piechota,
chmary dzikich jeźdźców i wreszcie nieprzelicz-
ne tłumy ze wszystkich krańców Azji, dążące na
nowe osiedla. Skrzypiały koła arb niemal takich
samyh, jak za czasów Attyli, rżały konie, ryczały
stada bydła i wielbłądów, i głucha wrzawa ciągną-
cych milionów rozlegała się po równinach Rosji.
Na czele tego mrowia w otoczeniu chanów,
no jonów i łamów, śród lasu sztandarów i godeł, je-
chał na przepysznym rumaku nowoczesny Czin-
gis z bułatem wielkiego najeźdźcy w ręku, ponury
i dumny. Biła od tej postaci potęga ogromna, roz-

chodziły się z niej jakby nici niezliczone olśnię-
wających blasków, pociągających za sobą rzesze.
Pomimo szczytne bohaterstwo jednostek, a na-
wet całych oddziałów, armje sfederowane ustępo-
wały przed zalewem azjatyckim.
Padł Borysów, padł Mińsk, hiobowa wieść
o przekroczeniu granic Polski przez Azjatów
wstrząsnęła Europą.

Pewnej zaś nocy flotylla samolotów azjatyckich
o propulsorach gazowych, nie podlegających dzia-
laniu obronnych fal elektrycznych, przedarła się
aż w okolice Warszawy.

Wprawdzie żaden z nich nie wrócił już do swo-
ich, ale wieść o śmiałym raidzie rozeszła się sze-
roko, a wzrastając po drodze do potwornych roz-
miarów, pomimo zaprzeczeń i sprostowań władz

wojskowych, wywołała popłoch i przygnębienie jeszcze większe wśród mieszkańców miasta - obbrzyna.

Najgorsze przeczucia ogarnęły ludność, wiara w skuteczność obrony zanikała....

Znicz załamał ręce.

Lecz oto czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu.

Odwrócił się. Przed nim stał dr. Chwostek.

Surowa, poważna twarz starca spoglądała na niego z wyrazem wyrzutu.

— „Choćby — mówił słowami psalmisty — stanęły przeciwko mnie wojska, nie będzie się bało serce moje: choćby powstała przeciwko mnie bitwa, w tern ja nadzieję pokładać będę”.

— Nadzieja... — zaczął gorzko poseł.

- I wiara! -- przerwał mu starzec.

ROZDZIAŁ XI. KŁĘSKA EUROPY.

Na całym olbrzymim froncie od Dźwiny do Dniestru toczyła się bitwa, wobec której najgroźniejsze chwile wielkiej czteroletniej wojny światowej mogły uchodzić za błahostkę.

Bitwa w powietrzu i na ziemi, bitwa ptaków drapieżnych i bestyj leśnych, lecz obdarzonych rozumem, zdolnością tworzenia, sposobami ujarzmania sił przyrody.

Walczyły o lepsze gazy i płyny trujące, daleko-nośne działa pneumatyczne, czołgi-olbrzymy, promienie palące, potworne postacie ludzi, zakapturzonych od stóp do głowy, fantastyczne okręty

powietrzne i lekkie, jak jaskółki, samoloty, a wszystko to dyszące żądzą powalenia przeciwnika.

Miasto-olbrzym wrzało od świtu do późnej nocy. Nieskończonymi szeregami przeciągały nad niem okręty powietrzne, bądź to dążące na front, bądź to przewożące w głąb Europy rannych i chorych z frontu. Bez przerwy dudniły samochody; mknęły pociągi elektryczne, dowożące żywność, broń

i amunicję dla ogromnych armij, w parkach i na placach ćwiczyły się drużyny milicji, a warsztaty i fabryki, przystosowane do potrzeb wojny, nie przerywały dniem i nocą pracy.

Przedstawiciele wszystkich armij europejskich, witani entuzjastycznie przez ludność Warszawy, nadawali jej wyraz jeszcze bardziej kosmopolityczny. Brak tylko było tak popularnych do niedawna twarzy Azjatów, wysiedlono bowiem wszystkich do obozów koncentracyjnych, urządzonych na Śląsku, a dzielnicę ich zajęto na cele wojskowe. Spodziewano się też ujrzeć żołnierzy amerykańskich, liczone bowiem, że w wielkiej Rzeczypospolitej zaatlantyckiej znajdzie się znów mąż tak szlachetny, jak Woodrow Wilson, i zniewoli swój naród do podania ręki Europie.

Ale Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, obejmujące obecnie całą połąć Nowego Świata od wybrzeży oceanu Lodowatego aż po granice Meksyku, będącego już członkiem federacji państw amerykańskich rasy łacińskiej, odgrywały dotych-

czas rolę biernego obserwatora w tej strasznej walce Europy z nawałą azjatycką.

Wprawdzie w tem państwie potężnem, gdzie tkwiły tak bardzo zakorzenione ideały wolności, odezwały się teraz, jak przed laty, głośne nawoływania zapalczywych umysłów do pośpieszenia na pomoc Europie; nawoływania podniecone jeszcze przez odwieczny wstręt rasy anglosaskiej do przedstawicieli ras o innej barwie skóry, a zwła-

- —

szcza do Mongołów — rząd jednak amerykański miał uzasadnione powody do uporczywego trwania w pozycji raz zajętej.

Przedewszystkiem skłaniała go do tego sytuacja polityczna inna, niż podczas wielkiej wojny z przed półtora wieku.

Wówczas Japonia należała do państw sprzymierzonych, t. j. stała po tej stronie, po której Ameryka zdecydowała się w końcu stanąć także. Teraz zaś zatarg Stanów Zjednoczonych z Japonją zaostrzał się z dniem każdym, Japonja bowiem, dumna z wchłoniętej tak szybko cywilizacji europejskiej, a jednocześnie przeludniona do ostateczności, upominała się natarczywie o wolny wstęp na terytorjum amerykańskie dla swoich obywateli. Japończycy opanowali już nawet dzięki licznym swym kolonistom wyspy Hawajskie i zagarnęli protektorat nad Filipinami, zagrażając bezpośrednio zachodnim wybrzeżom Ameryki Północnej.

Poza tem Ameryka, zamknąwszy swego czasu

zupełnie granice swe przed inwazją biedoty europejskiej, odosobniła się zazdrośnie od Europy, wiodąc życie własne, bogate i stawiające ją ponad wytworem kultury europejskiej.

Bo też istotnie wytworzyła kulturę własną, specyficzną, opartą na kapitale ducha, pełnego energii i przedsiębiorczości, a będącą według niektórych badaczy skutkiem odrębnych warunków atmosferycznych i klimatycznych, według zaś in-

nych — następstwem emigrowania na ten nowy ląd przez długi szereg lat żywiołów silnych, odważnych, rzutkich i niespokojnych, dla których Europa była za ciasna i nie przedstawiała już do Statecznego pola dla wyładowania drzemającej w nich siły.

To odosobnienie Ameryki wzmogło się—wbrew przypuszczeniom altruistów — jeszcze bardziej z chwilą, gdy dążność do zrzeszenia się objęła też Europę i skryształizowała się tam wreszcie pod postacią Federacji państw europejskich. Teraz bowiem do uczucia wyższości przyłączyła się jeszcze pewna podejrzliwość, że zjednoczona Europa ze chce rywalizować z postępem, osiągniętym przez Amerykę we wszystkich dziedzinach.

Wszak postęp ten, zwłaszcza na polu zdobyczy techniki, był tak uderzający i wspaniały, że już przed dwoma wiekami zdumiał starą Europę, a nie

ustawał przecież ani na chwilę w swym rozpędzie i doszedł do wyników, których dzisiaj można by-

ło zazdrościć jeszcze daleko więcej, niż dawniej. Strzegła więc Ameryka swych zdobyczy, a strzegła ich tem bardziej, im więcej zaostrzał się jej stosunek do Japonji. Nauczona doświadczeniem, nabytem po stracie wysp Hawajskich i Filipińskich, i przekonawszy się, że idee powszechnego pokoju i rozbrojenia nie osiągnęły nigdzie wyników pożądaných i że, pomimo tak usilnej agitacji pacyfistów i altruistów, popłacało zawsze tylko trzymanie się starej zasady: *si vis pacem, para*

bellum—udoskonalała niezmordowanie swe środki obronne. Że zaś nigdzie nie rozwinął się tak, jak tam, duch wynalazczości i szybkiego wyzyskiwania zdobyczy technicznych, doszła więc Ameryka pod względem urządzeń wojskowych do wyników niesłychanych.

Coprzawda, przebąkiwano cośnieważ na lądzie europejskim o tych cudach amerykańskich, nikomu jednak nie powiodło się uchylić rąbka ich tajemnicy. Amerykanie bowiem, którzy złożyli dowody genialności na tyłu polach wiedzy ludzkiej, teraz, gdy zaszła tego potrzeba, umieli też genialnie strzec swoich wynalazków przed okiem niepożądanem.

Oto nawet te dwie amerykańskie eskadry obserwacyjne, które stanęły od chwili najazdu Azjatów na Europę po raz pierwszy na wodach europejskich: jedna na morzu Północnem, a druga — na Śródziemnem, były zagadką dla Europejczyków.

Złożone z dziwacznych, ogromnych okrętów, przypominających kształtem olbrzymie wieloryby, które w miarę potrzeby mogły operować, co zresztą rozpowszechniło się już także w innych krajach, na powierzchni lub w głębi morza, nie dawały nikomu dostępu do siebie, choć intrygowały wszystkich tak swym dziwnym wyglądem, jak również niewidocznym uzbrojeniem. Załogi tych okrętów, drobne w porównaniu do załóg dawnych kolosów morskich, ale zato złożo-

— -

ne z ludzi wyborowych, interesowały się bardzo przebiegiem walk na lądzie europejskim, ale uchylały się stale od wygłaszania swych opinii, twierdząc, że przysłane są na wody Europy tylko w charakterze obserwatorów. Karność pod tym względem panowała wśród nich ogromna.

Wkońcu więc uznano przybyszów za ludzi zimnych, samolubnych i obojętnych na losy ludzkości i zrozpaczonej Europy.

Azjaci tymczasem parli na Zachód całą potęgą, przewyższając ogromnie liczbą materiału ludzkiego sprzymierzeńców zachodnich, pod względem zaś zasobu środków technicznych i prowadzenia wojny nie ustępując im, jak już wspomnieć Hśmy, zupełnie.

Ale co jeszcze bardziej zdumiewało wodzów Europy, to niesłychana zaciętość i nieokiełznany fanatyzm, z jakim ta azjatycka horda parła gromadnie na Zachód.

Jakkolwiek w Europie wszyscy zdolni do nosze-

nia broni śpieszyli do szeregów, bo tego wymagało prawo, któremu byli posłuszni, to jednak w sercach ich pozostawała tęsknota do dobrobytu i beztroski, do których byli tak przywykli; choć spełniali sumiennie obowiązki żołnierzy, to jednak każdy pragnął, by wojna skończyła się jak najprędzej i aby mógł wrócić do swych larów i penatów.

Inaczej działo się w Azji. Ogarnął ją szal. Nie-sam owita siła odrywała mil jony ludzi od ognisk

domowych, pchała ich i ciągnęła na Zachód. Wdzieli przed sobą nie koniec wojny, lecz osiągnięcie upragnionego celu. Nie znali dobrobytu europejskiego, lecz pożąдали go, a magiczna siła nowoczesnego Czingisa czarowała ich i porywała. I jakkolwiek broń europejska zmiatała dziesiątki tysięcy, na ich miejsce, niewołane, gotowe na śmierć, szły natychmiast nowe zastępy.

Widok przerażający ogromem i dzikością.

Pokonać te masy rozfanatyzowane, zadać im cios stanowczy, zdawało się niemożliwością, wyteżono więc siły już tylko dla ich powstrzymania, liczone na wyczerpanie się zapału.

Ale dotychczas i to wyrachowanie zawiodło.

Walka toczyła się szybko i ciężar naporu rozstrzygał.

I oto w pierwszych dniach września, jak grom, uderzyła w Warszawę — choć w głębi serc przewidywano, że wkońcu nadejść musi — okropna wiadomość o przerwaniu frontu europejskiego przez

Azjatów.

Przerwali go niemal w samym środku, wojska sprzymierzone ewakuowały Brześć Litewski, droga do Warszawy była otwarta!

Przypomniął się rok -ty. Tylko cud mógł zbawić Polskę i Europę.

I oto te świątynie Pańskie, w których ostatnimi czasy zbierały się tylko garstki wybrańców Ducha, świątynie, których dzwony stały się ra-

czej wezwaniem do uciech świątecznych, niż hasłem do skupienia się w modlitwie, zapełniły się znów tłumami, wzywającymi ratunku i szukającymi nadziei.

Cisza zaległa salę, w której zebrali się członkowie rady nieustającej.

Przed chwilą prezydent Rzeczypospolitej Polskiej złożył im sprawę z sytuacji politycznej.

Siedząc u szczytu wielkiego, ustawionego w podkowę, stołu, spoglądał pytająco dobrymi, smutnymi oczyma na zebranych.

Lecz wszyscy milczeli. Zmarszczone czoła, oczy w stół utkwione, palce, skubiące nerwowo papiery, rozłożone na suknie, nieruchome postawy wykazywały, że troska ogarnęła wszystkich i że szukają w mózgach swych rady, ale jej nie znajdują. Jakież mogło być wyjście z tej sytuacji?

Przez przerwę w złamanym froncie runęły takie masy Azjatów, że samym naporem obalały wszystko, co im stawało na przeszkodzie, czyniąc wrażenie niesłychanej, wyjącej powodzi, która zry-

wa najteższe tamy, zalewa najstaranniej chronione równiny.

Już dnia poprzedniego nadleciały z Waszyngtonu i Nowego Yorku depesze o wrzeniu, jakie wybuchło w Stanach Zjednoczonych pod wrażeniem przerwania frontu europejskiego przez Azjatów,

tudzież o zwołaniu nadzwyczajnej sesji kongresu.

Wiadomości te jednak nie przyniosły ulgi.

Zagłada Polski zdawała się nieuniknioną...

Do drzwi sali zapukano zlekka. Zjawił się sekretarz prezydenta, przynosząc najświeższą depeszę: „Straże przednie nawały azjatyckiej dotarły do linii Bugu”.

Szeptem przerażenia powitano nowinę i oczy wszystkich zwróciły się ku prezydentowi.

Lecz prezydent, pobladły ze wzruszenia, milczał, ścignawszy brwi. Wreszcie rozłożył ręce ruchem człowieka zrezygnowanego i szepnął:

— Ha, będziemy się bronili do ostatka!

Ciche te słowa wywołały skutek niespodziewany.

Z krzesła zerwał się, jakby poderwany sprężyną, poseł piński.

— Panie prezydencie, proszę o głos!

Mówił głosem nienaturalnym, podnieconym, jakby nareszcie przewyciężył wahanie, targające długo duszę, i postanowił wyrzucić z siebie, bądź co bądź, wszystko, co go gnębiło.

— Proszę! — odparł szybko prezydent i wyprostował się w fotelu.

— Panie prezydencie, panowie członkowie rady! Mamy więc bronić się do ostatka, to jest pozwolić, aby nieprzyjaciel przeszedł po naszych trupach dalej na Zachód, pozostawiając za sobą gruzy i zgliszcza? Widzicie przecież, co się dzieje. Front przerwany, Azjaci dotarli do Bugu, co zna-

czy, że próżne są nasze wysiłki, że za kilka dni będziemy mieli wroga tutaj i znów ogromną połać kraju zniszczoną doszczętnie. Wprawdzie ocknęła się Ameryka i może raczy istotnie pośpieszyć nam z pomocą. Ale nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje! Nie czas zwlekać. Jeżeli kto z was sądzi, że może być inaczej wobec dotychczasowego przebiegu wojny, niechże głos zabierze....

Tu rozejrzał się wzrokiem niespokojnym po obecnych i mówił dalej:

— Nie zarzucam nic dowództwu wojskowemu armij sprzymierzonych. Wiem, że zrobiło wszystko, co leżało w jego mocy, że nie zaniedbało niczego. Ale jakież rezultat tych wysiłków?.... Nie, panowie, nie wolno nam przewlekać dłużej tej walki bezowocnej, tego strasznego zniszczenia i krwi rozlewu. Żądam natychmiastowego wysłania na front Parlamentarjuszów z propozycją zawieszenia broni dla wszczęcia rokowań pokójowych. W ten tylko sposób możemy jeszcze ocalić Polskę od zguby!

Usiadł, drżąc cały, wśród okrzyków, rozlegających się wzdłuż całego stołu:

— Popieramy, popieramy! Pokój za wszelką ce-

nę! Nie dajmy zniszczyć kraju doreszty. Zanim pomoc nadejdzie, cała Polska legnie w gruzach! Stawało się jasne, że wniosek posła pińskiego

był tajonem pragnieniem ogromnej większości zebranych, to też pod wpływem ulgi, iż znalazł

się nareszcie odważny, który wniosek ten postawił, wymiana zdań podnieconych stała się powszechną i napełniła taką wrzawą salę, że gdy Znicz, dotychczas milczący, podniósł się z krzesła, prezydent musiał użyć dzwonka dla uciszenia rozprawiających.

— Rozumiem — mówił poseł warszawski — szlachetne pobudki, które skłoniły posła pińskiego do postawienia wniosku o zawarcie zawieszenia broni. Rozumiem i podzielam, ale spytam: Czy to doprowadzi do celu? Wojny tej nikt nie wypowiedział, ani z naszej strony, ani też ze strony państw azjatyckich, i nie jest to istotnie wojna we właściwym tego słowa znaczeniu. To ruch żywiołowy, wynikający ze stosunków, jakie ułożyły się na ziemi. Jak wiecie, panowie, przewidywałem to już dawno. Nie czas wszakże na rekryminacje. Stoimy wobec brutalnego faktu: zalewa nas straszna nawała Azjatów i wszelkie dotychczasowe wysiłki powstrzymania jej okazały się istotnie bezowocne, zwłaszcza wobec zdrady Rosji. Wobec tego rodzi się rozpaczliwa myśl wszczęcia rokowań. Lecz — pytam — z kim? Czy mamy do naprawienia krzywdy, wyrządzone któ-

remukolwiek z państw azjatyckich? (Poseł piński: Zamknięcie granic Europy dla Azjatów!) Wniosek o zamknięcie granic Europy przed napływem Azjatów postawiłem dopiero wówczas, gdy się przekonałem, co nam grozi. O krzywdzie niema mowy. Jesteśmy świadkami katastrofy żywioło-

- —

wej, wywołanej przez potężny choć zły genjusz, umiejący wyzyskać to, co nurtowało już dawno w sercach azjatyckiego mrowia. Ten, który przybrał symboliczne imię wielkiego najeźdźcy z przed wieków, od celu swego nie odstąpi, a prośba o zawieszenie broni wzmocni tylko jego pychę i podnieci triumfujący fanatyzm, ujawni bowiem słabość naszą i upadek ducha. Musimy zatem pomimo zwątpienia, wkradającego się do naszych serc, Walczyć do ostatka, musimy zdwoić jeszcze, jeżeli to jest możliwe, wysiłki nasze!

Już w czasie mowy Znicza do uszu zebranych zaczęły dolatywać z ulicy głuchoe odgłosy wrzawy, wrzawy dziwnie przejmującej. Zdawałoby się, że jeden olbrzymi jęk ciągnie przez ulice miasta. Gdy Znicz skończył, jęk ten stał się tak wyraźny, że kilku zaniepokojonych członków rady, a wśród nich i poseł piński, pośpieszyło do okien.

Znicz skończył, a w tejże chwili poseł piński, wskazując na okno, zawołał z gorzką ironią w głosie:

— Oto odpowiedź dla posła warszawskiego!

Wszyscy teraz rzucili się ku oknom.

Przez wyloty ulic, wiodących na plac przed pa-

łacem prezydenta, wylewał się tłum olbrzymi, złożony przeważnie z kobiet, dzieci i wyrostków, mężczyźni bowiem prawie wszyscy znajdowali się już na placu boju lub w obozach ćwiczebnych. Tłum śpieszył na plac, jęcząc i zawodząc. Wyciągały się ręce i oczy zwracały błagalnie ku pa-

łacowi. Ale w niejednym oku żarzył się bunt, a usta ciskały złorzeczenia.

Już plac zalało szczelnie morze głów, a z wyłotów ulic wciąż cisnęły się tysiące.

Przerażeni członkowie rady cofnęli się od okien. Skrzyżowały się zaniepokojone spojrzenia. Nastąpiła chwila bezradnej ciszy.

Istotnie, na wiadomość o przerwaniu przez Azjatów frontu europejskiego, Ameryka ocknęła się. Zawrzało tam, jak w ulu. Stała praca. Tłumy wyległy na ulice miast. Wszystkich ogarnęło podniecenie. Prasa, popierająca dotychczas rząd, wystąpiła nagle z artykułami, żądającymi natychmiastowej interwencji zbrojnej.

W chwili — mówiła — gdy stało się jasne to, czego nie przypuszczaliśmy, mianowicie, że Federacja europejska nie oprze się nawale azjatyckiej — należy zapomnieć o wszystkim, co dzieliło dotychczas Amerykę od Europy.

Bo pogrom Europy, to zagłada cywilizacji, z której i Ameryka wyrosła, a do tego dopuścić nie możemy!

Musimy więc pośpieszyć i to natychmiast z pomocą zagrożonej Europie!

Niech rząd nasz ujawni potęgę militarną Ameryki, pokaże, co przygotował dla śmiazków, wywołających raz jeszcze wojnę światową, a wów-

czas zapewne i Japonja nie pokusi się o zaczepianie Ameryki.

Tak mniej więcej brzmiały artykuły dzienników amerykańskich, a przebijająca z nich pewność, że siły Ameryki wystarczą, aby uczynić to, czego nie mogły dokonać połączone armje Europy, wywołała entuzjazm wśród tłumów.

Nikt jednak nie przypuszczał, aby artykuły, pomieszczone w prasie w tej krytycznej chwili, były dziełem samego rządu.

Tak bowiem było w rzeczywistości. W miarę, jak upadała nadzieja, że Europa potrafi odeprzeć najazd azjatycki, rząd amerykański zaczął rozumieć doskonale niebezpieczeństwo, zagrażające całej rasie białej. Pomimo to wzdragał się do ostatniej chwili wystąpić czynnie, gdyż środki, które przygotował był na wypadek wojny w warsztatach i laboratorjach swoich w tajemnicy przed całym światem, były tak straszne, że postanowił użyć ich tylko w ostateczności dla obrony własnej, gdyby Ameryka zaatakowana była bezpośrednio, co mogło nastąpić, jak przypuszczał, jeno ze strony Japonji.

Dziś jednak zmieniła się sytuacja. Zagłada groziła całej aryjskiej cywilizacji.

Zrzucił więc z siebie odpowiedzialność za skutki i w inspirowanych artykułach prasy zapowie-

dział swe wystąpienie.

Już następnego dnia, po otrzymaniu w Amery-

- —

ce okropnej wiadomości, zebrał się w Waszyngtonie kongres na sesję nadzwyczajną.

Rzeczowe, trzeźwe obrady trwały niedługo.

I tu bowiem przestały panować dawne demokratyczne porządki. O sprawach państwa rozstrzygał głos ludzi, znających głęboko jego potrzeby.

Zrozumiano całą grozę niebezpieczeństwa, dla którego zażegnania raz na zawsze nie można już było kierować się względami humanitarnymi.

I oto w chwili, gdy w Warszawie odbywało się przygnębiające posiedzenie rady nieustającej, w stolicy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, wśród głębokiego wzruszenia zebranych, powiadomionych poufnie przez rząd o okropnych skutkach tego kroku, zapadła jednomyślnie decyzja rozstrzygająca.

Bezradna, straszna cisza przygnębienia zalegała jeszcze salę obrad rady nieustającej, gdy przerwał ją dźwięczny sygnał telefonu iskrowego i głos donośny:

— Pan prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej!

Wszyscy zerwali się ze swoich miejsc i zwrócili ku wielkiemu pudełkowemu telekinematografowi, przytwierdzonemu do ściany w końcu długiej sali. Na ekranie widniała już trybuna kongresu Stanów

- —
Zjednoczonych, owinięta wielką flagą gwiazdistą, na niej zaś, oparta rękoma o pulpit, dobrze znana postać prezydenta wielkiej Rzeczypospolitej Amerykańskiej, otoczonego z obu stron trybuny i w głębi zwartym zastępem ministrów, senatorów i posłów.

Na wszystkich twarzach malowało się skupienie ducha i odczucie powagi sytuacji.

— Panie prezydencie i panowie przedstawiciele Rzeczypospolitej Polskiej! — mówił po francusku prezydent Stanów Zjednoczonych, składając zebrany ukłon skinieniem głowy. — Opatrzność zrządziła, że przypadł mi w udziale zaszczyt, którego doniosłość głęboko odczuwam, zawiadomienia Federacji państw europejskich, a przede wszystkim zagrożonej bezpośrednio Polski, o powziętej właśnie przez zjednoczone na wspólnym zgromadzeniu: senat i izbę posłów Rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej jednomyślnej decyzji pośpieszenia z pomocą Europie w tym krytycznym momencie.

Współczuliśmy od początku najazdu azjatyckiego szczerem sercem Europie, ale ociągaliśmy się z powzięciem tej decyzji, w nadziei, że może powiedzie się wam samym złamać potęgę wroga białej rasy. Skoro jednak widzimy, że nie jesteście w stanie pokonać go, co grozi zagładą cywilizacji europejskiej, musimy stanąć u waszego boku i użyć przeciwko najeźdźcom środków, które wiedza dała nam w ręce. Środki to straszne, niech

— -
jednak odpowiedzialność za użycie ich spadnie na głowy sprawców całego tego nieszczęścia.

Tu zatrzymał się widocznie wzruszony.

Milczeli też słuchacze, z jednej strony wzruszeni niemniej od mówcy, z drugiej zaś — niepewni owoców tej zapowiedzi wobec bliskości wroga.

Ale mówca już się opanował i, podniósłszy głos, kończył:

— Wobec decyzji powyższej, eskadry nasze, znajdujące się na morzach europejskich, otrzymały rozkaz rozpoczęcia niezwłocznie przeciwko wspólnemu naszemu wrogowi akcji, której skutki, jak sądzimy, nie każą na siebie czekać.

Skończył, ale i teraz także panowało wśród senatorów i posłów polskich ponure milczenie.

Niezwykła zapowiedź rozczarowała, zawiodła srodze wszystkich. Bo, jakże? Gdzie wysiłki całych armij lądowych i flot powietrznych, tysiące dział i czołgów okazały się bezskuteczne, tam miały poskromić potężnego, rozporządzającego niebywałymi siłami, wroga dwie eskadry, liczące może z parę tysięcy ludzi i stojące przy tem tak daleko od placu boju?

Zakrawało to wprost na drwiny.

Senatorowie i posłowie polscy zaciskali więc tylko zęby, aby nie wybuchnąć.

Prezydent jednak Rzeczypospolitej Polskiej, choć miały nim te same uczucia, przerwał z obowiązku milczenie i podziękował krótkimi słowy przedstawicielom narodu amerykańskiego, spo-

glądającym teraz na zgromadzenie polskie nieeo
zdziwionemi oczami, za tak „wspaniałomyślną
ich decyzję.”

A gdy i on, i obecni w sali obrad skłonili się
w milczeniu kolegom swym z drugiej półkuli,
obraz znikł z ekranu.

Wówczas dopiero rozwiązały się języki i salę
napęliła wrzawa taka, że zagłuszyła wrzawę tłu-
mu, zebranego przed pałacem prezydenta.

Najgłośniej perorował poseł piński.

— Więc mamy jeszcze czekać? — wołał. —

Słyszeliście! Dwie eskadry amerykańskie — ra-
zem z tuzin okrętów, stojących gdzieś tam na
morzu Śródziemnem i na Północnem, mają ode-
przeć najazd całej Azji na Europę? To żart, pa-
nowie, i to żart bolesny. Liczyliście na pomoc
Ameryki i oto ją macie! Dowiedzieliście się, co
o niej sądzić, z ust samego prezydenta Stanów
Zjednoczonych...

Tym razem Znicz nie odpowiadał. Myśli jego
podążyły w innym kierunku. Przypomniał mu się
dr. Chwostek, nakazujący nie tracić nadziei, na-
kazujący wierzyć.

I widział przed sobą głęboko osadzone, spokój-
ne i pewne siebie oczy starca.

Nie, ten wzrok nie kłamał. Ten wzrok widział
jasno, przewidywał przyszłość. Przed chwilą był
tego dowód oczywisty. Ameryka pośpiesza z po-
mocą, a jeżeli pośpiesza teraz dopiero, gdy siły
Europy są złamane, to z pewnością wie, że zwy-

cięży, że rozporządza środkami i zasobami, o których Europa jeszcze nie ma pojęcia!

Znicz wierzył w to teraz tak mocno, że nie czekał dłużej. Pod oknami pałacu wzmagała się buntownicza wrzawa tłumu, tam więc pobiegł, jakby pchnięty przez siłę niewidzialną.

Gdy ukazał się na schodach pałacowych, zakłótyło się mrowie ludzkie i zerwał się huragan okrzyków.

Przemówił.

Głos, z początku dławiony przez wzruszenie, potężniał stopniowo, brzmiał tak przekonywająco, tak był natchniony wiarą i pewnością, że gdy wkońcu padły słowa:

— Bądźcie spokojni, ufajcie! Wróg tutaj nie dotrze. Już Ameryka śpieszy nam z pomocą — radość i wiara biły z tych samych twarzy, które przyciągnęły na ten plac pełne trwogi, rozpacz i buntu.

A zaledwie skończył, już ukazały się dzienniki ze sprawozdaniami z posiedzenia kongresu Stanów Zjednoczonych z tekstem decyzji pośpieszenia na pomoc Europie, tudzież odbitką rozkazu, przesłanego eskadrom amerykańskim na morzach europejskich.

Jednocześnie zaś głośno mówiące telefony publiczne zwiastowały tłumom najświeższą, dziwną, wprost nieprawdopodobną nowinę:

„Dziś o godzinie -ej eskadry amerykańskie, stojące w zatoce Genueńskiej i pod Helgolandem,

a złożone z superdreadnoughtów: „Virginia”, „Massachusetts”, „Maryland”, „Rhode Island”, „New York”, „New Jersey”, „Connecticut”, „New Hampshire”, „Maine”, „North Carolina”, „South Carolina”, „Pennsylvania” i „Georgia”, rozpoczęły, nie ruszając się ze stanowisk swoich, ogień do pozycji mongolskich”.

Znicz osłupiał, nie przypuszczał bowiem nigdy, aby to, co wypowiedział przed chwilą, mogło sprawdzić się tak szybko!

Ale osłupiała też cała Europa. Wszak jeszcze dnia poprzedniego uważano by za bajkę, gdyby kto głosił, że istnieją pociski, mogące razić nieprzyjaciela z odległości, kilometrów!

A jednak było to faktem.

ROZDZIAŁ XII. ZWYCIĘSTWO.

Na początku wielkiej wojny artylerja niemiecka ostrzeliwała Dunkierkę z odległości kilometrów. Nadzwyczajna donośność dział niemieckich wywołała wówczas prawdziwą sensację. Ale wprost już osłupienie ogarnęło cały świat, gdy pod koniec tej wojny, dokładnie marca r., osławiona „gruba Berta”, dalekonośne działo marynarki niemieckiej, zaczęło ostrzeliwać Paryż z odległości kilometrów.

Laikom zdawało się to wprost nieprawdopodobne, musieli jednak wkońcu uwierzyć, wobec niezbitych danych, rzeczoznawcy natomiast nie

widzieli w tym żadnego cudu, wiedzieli bowiem, że donośność taką można osiągnąć przy działach odpowiedniej mocy i długości, tudzież przy ładunku materiału wybuchowego, któryby nadawał pociskowi wielką szybkość początkową. Niemcy osiągnęli to w swej „Bercie”. Pocisk jej posiadał szybkość początkową, metrów na sekundę. Lecz przecież już w r. Alfred Noble zbudował działko -centymetrowe, wyrzucające poci-

- -

ski z szybkością początkową, metr. na sekundę, postęp więc osiągnięty w ciągu lat nie był znów taki, aby mógł zadziwić rzeczoznawców. Niemcom jednak w osiągnięciu takiej donośności strzału przyszedł w pomoc przypadek, którego nie przewidywano. Mianowicie, przy ustawieniu olbrzymiego działka pod znacznym kątem, dochodzącym $^{\circ}$, aby pocisk mógł zatoczyć wielki łuk w powietrzu, dosięgał on wysokości kilometrów, t. j. strefy, w której powietrze jest dziesięciokrotnie rzadsze niż na powierzchni ziemi, co w odpowiednim też stopniu zmniejszało jego opór. W tej więc tak bardzo rozrzedzonej warstwie powietrza pocisk leciał szybciej, zanim przez ciężenie ku ziemi nie znalazł się znów w gęstszych warstwach atmosfery, co razem wzięte z początkową jego szybkością pozwalało mu przebyć odległość kilometrów, (w rzeczywistości jednak większą wobec łuku, który zakreślał w powietrzu) w ciągu minut z szybkością końcową jeszcze metr. na sekundę.

Zużycie jednak działa, strzelającego na tak znaczną odległość, wymagającego zatem ogromnych ładunków materiału wybuchowego, było tak znaczne, że pociski jego padały częstokroć w odległości kilonometrów, jeden od drugiego, i tylko rozległość celu, do którego zmierzały (Paryż obejmuje powierzchnię kilonometrów kwadratowych), uzasadniała zastosowanie tego bombardowania. Bombardowanie to zresztą, oprócz jednego wypadku, mianowicie

zdruzgotania przez pocisk filaru kościoła Saint Gervais podczas nabożeństwa wielkopiątkowego, wskutek czego zginęło lub rany odniosło kilkadziesiąt osób, nie wyrządziło paryżanom większych strat w ludziach, niż wypadki samochodowe podczas pokoju.

Sprzymierzeńcy, nie mając przed sobą celów tak rozległych po stronie wroga, nie widzieli potrzeby budowania takich dział. W każdym jednak razie przed samym zakończeniem wojny posiadali już działa odwetowe, niosące na odległość do kilonometrów.

Zdawało się to już rekordem, tymczasem osiągnięto następnie doniosłość i kilonometrów, a zbudowane w Ameryce powietrzne torpedy telemechaniczne dla rażenia portów przez floty wojenne działały na odległość mil angielskich, t. j. przeszło kilonometrów.

Wszystko to było jednak niczem wobec odległości, kilonometrów, z jakiej eskadry amerykańskie, stojące w zatoce Genueskiej i pod Hel-

golandem, raziły teraz front mongolski od Dżwiny do Dniepru!

Do tego celu nie mogły już służyć dawne działa, gdyż musiałyby posiadać rozmiary wprost olbrzymie i wywołałyby przy strzałach wstrząśnienia tak gwałtowne, że nie wytrzymałyby ich długo okręty, bodaj najsilniejsze, nie mówiąc o zużyciu się takich dział już po kilku strzałach. Pociski więc, które padały obecnie na Azjatów, nie były

pociskami działowymi. Nie były również kierowanymi telemechanicznie torpedami powietrznymi, ze względu na zaznaczone powyżej sposoby przeciwdziałania prądom elektrycznym.

Nadzwyczajny ich lot opierał się na tej samej zasadzie, dzięki której samoloty posiadały już propulsory wybuchowe.

Pierwowzorem pomysłu Esnaulta - Pelterie, wyzyskanego następnie przez fizyka amerykańskiego R. H. Goddarda, zamierzającego pociskami swemi dosięgnąć księżyca, była poprostu tak dawno znana wszystkim rakietą, rozpryskująca się przy wszelkich uroczystościach i zabawach tysiącami różnobarwnych iskier na ciemnym tle niebios.

Wprawdzie Goddard nie trafił pociskami swemi w naszego satelitę, w każdym jednak razie, pracując nad niemi, doszedł do wyników tak doniosłych, że oczywiście, bo taka jest natura ludzka, pomyślano natychmiast o zastosowaniu ich do mordowania bliźnich, do stworzenia na ich pod-

stawie nowej broni zabójczej.

Rakieta Goddarda, zbudowana z mocnego metalu, w kształcie krótkiego walca z lejkiem u spodu, a napełniona nie prochem zwykłym, lecz trzy razy silniejszym prochem bezdymnym, zużywała dzięki pomysłowej budowie proc. energii, wytwarzanej przez zamienianie ciepła na energię mechaniczną. Znaczenie tego można łatwo pojąć, jeżeli się zważy, że na sto kaloryj, wytwarzanych

przez spalenie się prochu w zwykłej rakiecie papierowej, zaledwie proc. zużywa się na wytworzenie energii; że w najlepszych nawet maszynach parowych wyzyskanych było tylko proc. kaloryj; w silnikach wybuchowych przy aeroplanach niepełna proc, a w słynnych silnikach Diesla, uznawanych za rekordowe — nie więcej niż proc, reszta zaś szła na marne!

W stosunku też do tego olbrzymiego wyładowania energii zwiększyła się szybkość lotu rakiety, dosięgając , metrów na sekundę, a zatem szybkości, jakiej nie posiadał pocisk najdoskonalszego działa dalekonośnego.

Ulepszając swą raketę, fizyk amerykański zastąpił jeszcze proch przez bardziej prężliwe, a nie rozpalające pocisku, gazy zgęszczone, wciąż zaś w zamiarze dosięgnięcia księżyca podzielił swój pocisk, któremu oczywiście nadał też rozmiary odpowiednie, na kilka komór, wybuchających kolejno automatycznie w miarę unoszenia się pocisku w przestwór, każdy przytem wybuch nadawał

pociskowi nową energję do posuwania się na-
przód, co później zastosowano właśnie we wspo-
mnianych powyżej propulsorach samolotowych.
Ileż to jednak lat upłynęło od czasu, gdy God-
dard pracował nad swoim pociskiem, mającym
uderzyć w księżyc? Nie dziw zatem, że teraz po-
ciski, wypadające z okrętów amerykańskich, tak
się różniły od pierwotnych, jak karabin maszyno-
wy z wielkiej wojny europejskiej różnił się ód

skałkowego muszkietu z osiemnastego wieku, jak
pocisk „Grubej Berty” od bomby lontowej.

W regularnych odstępach czasu wylatywały one
z przeraźliwym świstem z przyrządów, ustawio-
nych pod kątem kilkudziesięciu stopni, nie pozos-
tawiając żadnego śladu po sobie i, zatoczywszy
ogromny łuk w przestworzu, spadały na głowy
Azjatów ze sfer, w których króluje już geocoro-
nium, ów gaz lżejszy od azotu, bowiem takiej wy-
sokości ogromnej musiały sięgać, aby spaść na
cel upatrzony w odległości dwóch, trzech, a na-
wet czterech tysięcy kilometrów!

Amerykańscy attachés wojskowi przy armjach
Federacji europejskiej informowali dokładnie
władze swoje na zasadzie raportów wywiadowców
o położeniu frontu nieprzyjacielskiego, dowódcom
więc eskadr amerykańskich pozostawało tylko
obliczenie katu wypadowego pocisku i nastawie-
nie jego mechanizmu, aby trafił do tak odległego
celu.

Zdobywanie informacji ułatwiały także, już
w kilka godzin po rozpoczęciu akcji, posłane przez
dowództwo floty amerykańskiej na front sprzy-

mierzonych niewielkie balony fotografujące i rejestrujące automatycznie rozległość linii bojowych wroga, a wykonane z materji całkiem przezroczystej i wchłaniające promienie słoneczne, jak powietrze, niewidoczne zatem zupełnie już na wysokości paru tysięcy stóp, umieszczone bowiem w nich przyrządy rejestrujące stawały się na tej

wysokości niedostępne dla oka ludzkiego, a jednak posiadały wzrok tak bystry, jak sęp, bujający w przestworzu.

Jeżeli jednak doniosłość pocisków amerykańskich wywołała w Europie osłupienie, to znów działalność niszczycielska gazu w nich zawartego wstrząsnęła dreszczem przerażenia i zgrozy świat cały.

I wówczas dopiero zrozumiano, dlaczego Ameryka wzdragała się tak długo użyć swych środków bojowych i dlaczego wystarczyło trzynaście okrętów dla zniweczenia frontu azjatyckiego.

Czemże bowiem były owe osławione, a tak oburzające ludzkość podczas wielkiej wojny, gazy, wywołujące łzawienie, kichanie i duszenie, owe yperyty, fosgeny, chloropikryny, luizyty i im podobne trucizny lotne wobec gazu, wydobywającego się z nowych pocisków, gdy pękały, uderzywszy o ziemię? Gazu, nieznanego jeszcze zupełnie, a przeciwko któremu nie miano czasu wynaleźć środków zapobiegawczych.

Nizinami nadbużańskimi ciągnie wielka armja.
Tłumy jezdne i piesze dążą na zachód, napę-
niając wrzawą okrutną: brzękiem oręża i tupo-
tern kopyt końskich, głuchym łoskotem dział
i czołgów, wyciem i śpiewami, smętne równiny

i bory, skąpane w gorących promieniach kończą-
cego się lata.

Zgóry padają na armję cienie mrowia statków
powietrznych, ochraniających ją przed napaścią
i badających argusowemi oczami przestwór lazuru-
rowy i równiny ziemskie, tonące wdali pod opa-
rami.

Ale, jak okiem sięgnąć, i przestwór, i rozciąga-
jące się w dole niziny nieme są i puste.

Arm je sprzymierzone cofnęły się za Bug, nie
pozostawiając po sobie nic, prócz śladów obozo-
wisk i zgliszcz wiosek, nad którymi rozciągają
się jeszcze gdzie niegdzie pasma dymów i unosi
ostra woń spalenizny.

Milczą pola i łąki opustoszałe, i stawy lśniące;
z ocalałych lasów idzie poszum cichy i smutny;
gdzie niegdzie nad moczarami krąży czajka, kwiląc
żałośnie.

Leniwie zwieszają się wtył spisy oddziałów
przodowych Burjatów i Kałmuków, nahaje spo-
czywają w dłoniach beczynnice, a drobne kudłate
koniki kosookich jeźdźców wyciągają szyje, sku-
biąc trawę lub liście ocalałych krzewów.

Za nimi podąża zdaleka wrzawa tłumów coraz
gęstszych, zalewających opuszczone pola i łąki,
i lasy, szemrzące żalami.

Na czele tych tłumów jedzie wódz w orszaku
sług najwierniejszych.

Biały, jak mleko, rumak nowoczesnego Czingi-
sa potrząsa dumnie pięknym łbem. Cienkie w pę-

cinach nogi pląsają lekko, a różowe kopyta zale-
dwie dotykają ziemi. Gdy zaś czasami przysiada
nieco, jakby do skoku, na zadzie, wówczas długi,
biały ogon zamiata trawy, a srebrna, obfita grzy-
wa faluje smugami tęczowemi w promieniach
słońca.

Dumny jest z uprzęży złotej, lśniącej drogocen-
nemi kamieniami, dumny przede wszystkim
z jeźdźca, którego dźwiga na grzbiecie.

W kulbace, okrytej aksamitem purpurowym,
oparłszy na złotych strzemionach zakrzywione
w nosach buty mongolskie z żółtego safjanu, sie-
dzi nowoczesny Bicz boży, chachan Czingis, zwa-
ny już Zdobywcą świata.

Z pod złotej starożytnej misiurki, zakończonej
u góry ostrym szpicem, a której czepiec, również
ze złoconych kółek, opada mu na szyję i ramiona,
wygląda twarz dumna, ponura.

Skośne czarne oczy zapatrzyły się wdał z pod
brwi ściągniętych, nozdrza krótkiego a szerokie-
go nosa rozszerzają się od czasu do czasu, na-
brzmiewając, jakby pod wpływem targających
mózg myśli, wąskie zaś wargi poruszają się bez-
dźwięcznie słowami modlitwy, czy zaklęć.

Szeroka, krepą postać wodza zgarbiła się nieco,
to też okrywający ją lśniący chałat ze złotogłowiu,

ściągnięty w biodrach niebieskim pasem jedwabnym, sięga mu nieledwie do kostek. Lewą rękę, dzierżącą cugle, oparł niedbale na łęku kulbaki, a prawą opuścił wzdłuż biodra. Na średnim jej

palcu mży iskrami wielki rubin Czingisowy, zwartych na jelcu palców zwiesza się głównia bułata Czingisowego.

Jak stado barwnych ptaków, podąża za nim orszak sług najwierniejszych, chanów i nojonów, wodzów wszelkich plemion azjatyckich, nabożnych i uczonych łamów.

Niema prawie w tej ciżbie uniformów na wzór armij europejskich. Zato mienią się barwami tęczy kaftany i chałaty, żupany i bluzy Mongołów, Burjatów, Kałmuków, Kirgizów, Tatarów, plemion chińskich, tybetańskich i malajskich, zwerbowanych po drodze Sartów i Turkmenów; połyskuje stal krzywych szabel tatarskich i szaszek czerkieskich, jataganów tureckich i kryszów malajskich; migają buzdygany i buławy; wśród papach i kołpaków strzela tu i owdzie misiurka lub szyszak, a nawet kolczugi i karaceny starodawne okrywają niejedną pierś pod lasem sztandarów, buńczuków i godeł najrozmaitszych, szeleszczących pieśni bohaterów.

Zdawałoby się, że cała Azja, idąca za przykładem wodza, przywdziała odwieczny strój symboliczny wielkich przodków, by krasą barbarzyńską olśnić Europę.

Snadź zadumał się mocno wódz, który potrafił w dziewięćset lat po owych najeźdźcach znów

pchnąć Azję na Zachód tajemniczą potęgą ducha;
pociągnąć za sobą, jak na arkanie, niewolnych
i zahipnotyzowanych wojowników; snadź zadu-

mał się mocno witeź złowrogi, skoro nie spojrzy
nawet na sługi wierne i jedzie samotny; skoro
ten ich orszak bajeczny powściąga konie, pracę
naprzód, milczy i spogląda trwożnie na białego
rumaka, przestępującego lekko z nogi na nogę,
depcącego w płasach ziemię polską.

Zadumał się witeź złowrogi, bo serce jego ogar-
nął niepokój ciężki, niepokój dziwny właśnie
w chwili, gdy pod naporem jego ludów pękł front
sił sfederowanych, gdy otworem stanęła przed nim
droga do wrót zachodniej Europy: miasta-olbrzy-
ma — Warszawy.

Zatargał nim nagle i utkwiał w duszy cierniem
kolącym.

Niepokój dławiący, jakby przeczucie nieszcze-
ścia właśnie w chwili triumfu, jakby widok cze-
goś potwornego, co się zbliża nieznane, a przez
to straszne.

To też wąskie wargi Czingisa poruszają się mo-
dlitwą, czy też zaklęciem.

Nagle ściągnął cugle tak, że biały rumak wrył
się kopytami w ziemię.

I zadarły się łby koni orszaku, ściągnięte gwał-
townie cugłami.

Wódz nasłuchuje...

Słyszy duchem, przeczuwa nadciągające fatum.
Gdzieś zdaleka w tyle rozległ się jęk przeciągły.

Czingis wyprężył się na kulbace. Serce zakola-
tało mu żywo odczuciem spełniającego się prze-
znaczenia...

— -

A biały rumak witezia potrząsa łbem, bije różo»
wem kopytem ziemię, zuje wędzidło, z pyska pa-
dają mu na pierś śnieżną i na ziemię białe płaty
piany...

Lśniaca złotem postać Czingisa zamieniła się
w posąg.

I sto koni orszaku Czingisowego niecierpliwi się,
bije kopytami ziemię, a sto postaci jeźdźców spo-
gląda w strachu na wodza.

Bo ogarnia je lęk, bo i one słyszą już za sobą
ów jęk przeciągły, odległy trzask i wycie.

Tam musiało stać się coś strasznego!

Odwracają głowy i widzą pędzące ku sobie bez«
ładne kupy jeźdźców i piechurów. Wielu z nich
pada po drodze, aby nie powstać więcej.

Reszta dobiega zdyszana i przerażona.

— Uciekajcie — wołają, nie zatrzymując się,
zbiegowie — za nami Śmierć! Całe pułki, armje
całe padają, zalane trującym powietrzem!

Zachwiał się wspaniały orszak Czingisowy.

W zamieszaniu konie i jeźdźcy uderzają o siebie.

Nie rozumieją! Skądże wróg tam, wtyle, skoro
oni pokonali, rozbili go już zupełnie, a teraz cała
kraina polska stoi przed nimi otworem?

Lecz oto nadbiegają nowe gromadki przerażo-
nych.

— Szejtan, szejtan! — wołają pobladli i drżący.

Prysnęły tajemnicze nici, łączące ich z posepnym wodzem. Dlaczego nie zdołał zapobiec on, Zdobywca świata, temu, co się tam za nimi dzieje?

Sądził, że jest nie do pokonania, tymczasem cudem tylko uniknął tchnienia, które w ich oczach powalało tysiące ludzi, ścierało wszelkie życie z ziemi!

Cóż znaczy on, którego widzą teraz wśród zmieszanych chanów i nojonów, wodzów plemion, łamów nabożnych i uczonych?

Gdzież moc jego niesamowita? Gdzie moc jego łamów, skoro blady śmiertelnie zapadł się w kub bace, wypuścił z palców bułat Czingisowy, a rumak jego tratuje kopytem stal lśniąca?

Raz jeszcze nadludzkim wysiłkiem prostuje się witeź w siodle, podnosi głowę, zaschłemi wargami czerpie powietrze, spogląda obłąkanym wzrokiem dokoła.

Przemówi do swych najwierniejszych...

Lecz nie zdążyło wypaść słowo z ust pobladłych! Gdzieś tam w górze rozległ się dźwięk przeciągły, śpiewny.

Szybko zbliża się, rośnie, rozpraszając flotę po? wietrzną, i nagle łoskot i trzask ogłuszający skłębia orszak Czingisowy i wydobywa wycie z piersi przerażonych zbiegów.

Stają dęba konie, kurczowo ściskają cugle skuleni jeźdźcy, a z chmury ziemi, wyrzuconej w powietrze, rozszerza się tchnienie śmiertelne.

I nie upłynęło kilka sekund, a już pełen krasy

orszak, chluba Azji, z potężnym wodzem, straszliwym Czingisem pośrodku, przestał istnieć. Kismet!

W odstępach minutowych wylatywały ze swych łożysk — których każdy z okrętów amerykańskich posiadał po kilka — pociski złowrogie, dążąc ku wyznaczonemu sobie odcinkowi olbrzymiego frontu, i pomimo tak wielkiej odległości celu trafiały na oznaczone miejsce z dokładnością matematyczną.

Ze spokojem automatów pełnili służbę marynarze amerykańscy.

Wiedzieli dobrze, iż każde naciśnięcie guzika elektrycznego, wysyłającego pocisk w przestwór, wywoła śmierć może tysięcy ludzi, ale wiedzieli również, że powierzono im wielkie dzieło ocalenia cywilizacji europejskiej. Rozumieli odpowiedzialność, wobec której musiały zamilknąć w nich uczucia ludzkie.

I przez pół doby osłupiała Europa była niemym świadkiem tego, jedyne w dziejach świata, bombardowania.

Niemym i biernym świadkiem, gdyż armje jej otrzymały rozkaz cofnięcia się jak najdalej od ostatnich stanowisk swoich. Nawet wówczas, gdy po dwunastu godzinach bombardowanie umilkło, nie pozwolono im ruszać naprzód, a to nie tylko dlatego, że Amerykanie byli pewni, iż Azjatów nie ocalą przed nowym gazem żadne maski ochronne, ale i z tego względu, że gazy, wyłado-

wane z pocisków i pełzające jeszcze po olbrzymim poboju, zgładziłyby nierozważne od-

- -

działy wojska europejskiego, któreby zapędziły się w te strony.

Po upływie więc dwunastogodzinnego bombardowania ruszyła na wschód z całego frontu europejskiego tylko ogromna flota samolotów, zaopatrzona w nadesłane przez dowództwo okrętów amerykańskich bomby, napełnione zgęszczonym gazem, neutralizującym działanie gazu trującego. I znów upłynęło pół doby, zanim samoloty spełniły zadanie oczyszczenia poboju.

Już podczas tej czynności dochodziły do sztabów armij i władz polskich depesze iskrowe, donoszące o przerażającym widoku, który rozpostarł się przed oczami lotników. Dopiero jednak, gdy ruszyły naprzód samochodami i dotarły do frontu azjatyckiego oddziały sanitarne, przedstawił się im w całej grozie obraz, jakiego świat jeszcze nie widział.

Od Dźwiny do Dniestru, na terytorjum szerokości około stu kilometrów wszelki ślad życia zaginął.

Padając w szachownicę, straszne pociski nie pozwalały orjentować się wodzom azjatyckim, zaskoczonym tak nagle.

To też, objęte snem wiecznym, leżały pokodem całe armje!

Widziano tysiące żołnierzy, skulonych przy wygasłych ogniskach obozowych; oficerów, siedzą-

cych bez życia przy stołach, zastawionych posił-

— -

kiem; telegrafistów przy aparatach; kanonierów na siedzeniach dział, które nagle stanęły. Jak widma, sterczały nieruchomo, gotowe do lotu, ogromne okręty powietrzne, czołgi - twierdze, transporty amunicji, pociągi sanitarne. A gdzie za wojskiem ciągnęła cizba, chciwa osiedlenia się na rumowiskach Europy, tam w szałasach i namiotach leżały dziesiątki tysięcy sinych trupów starców, kobiet i dzieci, na błoniach zaś ogromne stada padłego bydła, owiec i wielbłądów.

Bodaj że większą jeszcze grozę budził widok miast i miasteczek, do których schroniła się ludność wiejska, sądząc, że tam będzie bezpieczniejsza.

Na Mińsk naprzykład i jego przedmieścia, gdzie ulokował się sztab jeneralny najeźdźców, padły cztery pociski.

I całe miasto stutysięczne, przepelnione uchodźcami i wojskiem, stężało w objęciach śmierci!

Jeden z pocisków padł na plac katedralny.

Dokoła ogromnej wyrwy w bruku wśród potrząskanych przez wybuch drzew, brył ziemi i kamieni widniały krwawe strzępy ciał ludzkich i zwierzęcych, dalej zaś, oparte o ściany domów, drzewa lub wozy, stały postacie ludzkie o szeroko otwartych z przerażenia oczach, jakby zastygłe, zanim się ruszyć zdołały.

Na ulicach, wiodących z placu, tak się skłębiły gromady wojska, ludu, samochodów - samolo-

tów, dział i wozów, że nie było miejsca, aby za-

- -

bici przez gaz trujący mogli upaść na ziemię. Stało więc to wszystko zwartą masą, okropne, sienne i pęczniejące w upalnym powietrzu, tamując zupełnie przejścia.

Na ulicach dalszych szukano snadź ratunku w ucieczce, bo tu samochody i wozy pędzące poprzejeżdżały mnóstwo ludzi, zanim same, straciwszy woźniców, nie poprzewracały się lub potrzaskały o ściany domów.

Poznać też było można, że niektóre samochody-samoloty wzbiły się już w powietrze, ale spadły, gdy śmiertelne tchnienie poraziło ich pilotów, miażdżąc gromady zbiegów.

Na krańcach miasta potworzyły się w bramach domów prawdziwe barykady z ciał ludzi, którzy, pochwyciwszy najcenniejsze ruchomości, usiłowali z węzełkami w rękach wydostać się w pole, padali jednak zabijani przez gazy rozpryskujących się już i tam pocisków, z wielu zaś okien zwieszały się, jak stare szmaty, nawpół wychylone postacie kobiet i mężczyzn, sądzących widocznie, że unikną na wyższych piętrach śmierci.

I unosiła się już nad całym miastem woń trupia wśród tak ogromnej ciszy śmierci, że spoglądający ponuro na ten okropny widok członkowie kolumny sanitarnej podnieśli zdziwieni głowy, gdy uszu, ich doleciał dźwięk zegara, wybijającego gdzieś spokojnie godzinę, jakby dla tego miasta nie nadeszła już godzina ostatnia!

Na całym terenie bombardowanym takie same

widoki, taka sama zagłada wszelkiego życia. Zda»
wało się, że nawet powietrze tam zamarło.

Co za okrutne zwycięstwo!

W przeciągu dwunastu godzin mil jony ludzi
przystały istnieć.

Obroną ręką wyszły z tego kataklizmu tylko
niektóre części floty powietrznej Azjatów, uno-
sząc się podczas bombardowania wysoko w prze-
stworzu. I one to, słysząc świst nadlatujących po-
cisków i spostrzegłszy przez lornety, co się dzieje
tam w dole, rozniosły na Wschód wieść o klęsce.
Struchlały wojska azjatyckie, oczekujące w głę-
bi Rosji na wszechpotężne słowo nowoczesnego
Czingisa, aby zkolei runąć na Zachód.

Ale słowa tego nie było...

Wreszcie nadleciało kilka statków powietrz-
nych z eskadry, która unosiła się nad czołowymi
oddziałami armji mongolskiej, przynosząc wia-
domość o strasznej śmierci Bełtysa i jego orszaku.
Rozprzegło się wszystko!

„A widząc Filistynowie, że umarł ich najmoc-
niejszy, uciekli”.

Gdy więc w kilkanaście godzin po zniszczeniu
frontu azjatyckiego cała europejska flota powietrz-
na poszybowała na Wschód, to gdzie niegdzie już
tylko jakaś odosobniona eskadra azjatycka do-
trzymywała jej placu, walcząc do ostatka, jakby
dla ocalenia jeszcze honoru sztandaru, a może nie
chcąc unikać przeznaczenia, które kazało jej zgi-

nać.

W dole pierzchały w panicznym strachu gromady żołnierstwa, rozpryskując się na wszystkie strony, gdy padał wśród nich pocisk z samolotu europejskiego.

Walka była skończona.

Fala mongolska, pozbawiona hipnotyzującego wpływu Bełtysa, niedoszętego zdobywcy świata, cofała się ku granicom Azji, rozbita na pojedyncze strumienie, topniejące przerażająco pod strzałami i bombami ścigających ją bez wytchnienia powietrznych flot Europy sfederowanej.

Miasto-olbrzym szalało.

Radjotelefony publiczne zwiastowały tubalnym głosem zupełny pogrom Azjatów.

Wiadomości te, nadesłane przez lotników, przejmowały grozą, grozę jednak tłumilo zupełnie uczucie ogromnej radości i ulgi.

Troska opadła, jak stary łachman, i ci, co jeszcze wczoraj obmyślali sposoby ugłaskania straszego wroga, dzisiaj pysznili się najwięcej zwycięstwem i gardłowali za zupełnym wytepieniem tych Azjatów, mieszkańców Europy, których internowano w obozach koncentracyjnych.

Tchórze nienawidzą najbardziej.

Na szczęście, agitacja ta nie znalazła wdzięcznego echa, zato, gdy jeden z dzienników zaproponował, aby urządzić eskadrom amerykańskim owa-

— -
cję dziękczynną, już następnego dnia setki samolotów poleciały nad morze Północne i nad zatokę Genueską.

Zasypywano marynarzy amerykańskich kwiatami, wznoszono gromkie okrzyki na cześć „zbawców Europy”, a warszawska rada miejska zdążyła już uchwalić w porywie wdzięczności, aby jedna z głównych ulic miasta nosiła nazwę ulicy Stanów Zjednoczonych.

Razem z radością wróciła beztroska. I znów strumienie światła słonecznego zalały wieczorem miasto-olbrzym, i znów tętniło życie bujne, pewne jutra, otrząsnąwszy się z ciężkiej zmory wojennej.

Po ulicach i parkach grzmiały orkiestry, ciągnęły krzykliwe gromady, powiewając różnobarwnymi flagami; strzelały w niebo gwiaździste ponad światła ulic rześiste ognie sztuczne.

tym jednak, który pierwszy przeczuł niebezpieczeństwo azjatyckie, otwierał na nie oczy Europy i rodaków swoich, a w chwilach zwątpienia i niebezpieczeństwa krzepił i podnosił ducha, o pośle warszawskim, Adamie Zniczu, zapomniano. Lecz Znicz nie czuł z tego powodu żalu do kogokolwiek. Zgoła nawet nie zastanawiał się nad tern. Wystarczało mu najzupełniej przeświadczenie, że spełnił swój obowiązek.

I teraz, wracając z nadzwyczajnego posiedzenia parlamentu Europy sfederowanej, zwołanego, aby podziękować in gremio rządowi amerykan-

— -
skiemu, przeniesionemu przez telekinematograf na tę stronę oceanu, myśl jego była daleka od oskarżania rodaków o niewdzięczność.

Umysł jego poszybował w innym kierunku.

Uderzyła go mianowicie granicząca ze smutkiem powaga, rozlana na twarzach Amerykan, których widział przed sobą na ekranie telekinematografu, i pojął, że ludzie ci, dalecy od niebezpieczeństwa, zagrażającego Europie, oceniali trzeźwo straszne skutki interwencji swojej. Choć więc oddali tak niezmierną przysługę cywilizacji europejskiej, to jednak nie mogli zapomnieć, kosztem jakich ofiar osiągnięto zwycięstwo.

Znicz w głębi serca odczuwał to samo. I uczucie to nurtowało w nim tak silnie, że stłumiło nawet całą radość, jaka ogarnęła go w pierwszej chwili po otrzymaniu wiadomości, że najazd azjatycki jest stanowczo i tak szybko odparty.

A im dłużej zastanawiał się nad tą stroną zwycięstwa, tym natarczywiej słyszał głos wewnętrzny wstydu i lęku.

Wszak na początku jeszcze i tej wojny, pomimo wszelkich prób zautomatyzowania jej przez najbardziej pomysłowe maszyny, zdarzały się epizody bohaterskie, chlubą okrywały się serca męzne.

A teraz cóż znaczy męstwo, odwaga, poświęcenie, gdy z odległości kilku tysięcy kilometrów mogą padać celnie straszliwe pociski, zgładzające od-

razu tysiące ludzi, nie mających sposobu obrony?

To rzeź wyrafinowana, zimna, okrutna!

Wszak za najkrwawszą uchodziła dotychczas wielka wojna światowa z przed półtora wieku. Ale cóż znaczy ta wojna, skoro dziś w ciągu dwunastu godzin ginie dwa razy więcej ludzi, niż wówczas w ciągu lat czterech?

A dalej, któż zaręczy, że w razie nawet wynalezienia sposobów obrony przeciwko i tym pociskom, nie będzie za lat kilka wytworzony w tajemnicy nowy, jeszcze genialniejszy, straszliwszy i pewniejszy sposób masowego tępienia ludzi?

Wszak możliwości tego dowiodła Ameryka właśnie teraz, gdy sądzono, że przeciwko wszelkim już środkom zabijania wynaleziono skuteczne środki obrony.

Może pewnego dnia wynajdzie kto maszynę, która, puszczona w ruch przez jedno naciśnięcie guzika elektrycznego, wypłeni cały naród, i genialny barbarzyńca zasiądzie na powalonym tronie tysiącoletniej kultury!

Temi myślami przejęty, Znicz ocknął się dopiero wówczas, gdy samolot jego stanął na terasie domu, w którym mieszkał.

Pani Ira czuwała u łoża chorej córki, na wiadomość bowiem o śmierci narzeczonego, Ela padła, złamana bólem, jak kwiat, podcięty brutalną ręką.

Ku nim więc przedewszystkiem Znicz skierował swe kroki.

W pokoju chorej zastał też d-ra Chwostka.

Pani Ira była spokojna. Przemóżny wpływ staro-
rego lekarza pozwolił jej znieść i ten cios bolesny.
Z uśmiechem nawet na poważnej twarzy powita-
ła męża.

Znicz, pochyliwszy się nad łóżkiem córki, poca-
łował ją w czoło.

Ela otworzyła oczy i, ujrawszy ojca, wyciągnę-
ła ku niemu ręce.

— Ojcze — zawołała cicho — ojcze, znów stał
się cud! Doktor mi powiedział. Azjaci uciekają!

— Uciekają, uciekają — powtórzył poseł, przy-
tułając uradowany córkę, gdyż po raz to pierwszy
od chwili, gdy zaniemogła tak ciężko, widział ją
przytomną, nie bredzącą w malignie.

— Tak, córuchno, cud — szeptał, całując bujne
jej włosy — bo i ciebie Bóg mi oddaje!

Gdy wszakże, nacieszywszy się powracającą do
zdrowia i opowiedziawszy żonie o przebiegu po-
siedzenia parlamentu wersalskiego, znalazł się
z doktorem Chwostkiem w swym gabinecie, zapa-
nowała tam chwila głębokiej ciszy, bo wkradła się
znów do serca Znicza troska, powróciło to splata-
ne w jeden węzeł uczucie wstydu i lęku, które
opanowało go było w samolocie.

Ciszę przerwał bezdźwięczny głos głuchego le-
karza.

Dziwny starzec czytał, jak zwykle, w myślach
przyjaciela.

— Tak — mówił smutno, zapatrzony wdał. —

Strasznych rzeczy byliśmy świadkami. Widziałem je, zanim nadeszły...

— Oh — jęknął Znicz — dlaczegoż Opatrzność nie odwróciła od nas tej próby!

— Jeszcze raz — mówił dalej dr. Chwostek, nie widząc ruchu warg przyjaciela — zwyciężyła siła brutalna... Następstwo tragiczne tego, co było i jest... Nie nadszedł jeszcze czas.... Widzisz, bez-troska znów triumfuje, tłum szaleje... Niewolnik namiętności... I nie może być inaczej, bo nie do-konał jeszcze dzieła swego kapitał ducha... Ale dokona. Wydobędzie z jaźni ludzkiej skarby... Otworzą się oczy i przejrzą, a emanacja miljo-nów dusz, które przejrzały, przeciwstawi złemu potęgę ducha, druzgocącą bez dział i gazów trują-cych...

Niedaleka jest ta chwila...

Nadchodzi czas, że wiedza zadziwi się i zadrży na myśl o zbrodniach popełnionych...

A wówczas nastanie Królestwo Ducha...

KONIEC.